

W. CHOJECKI

MARSZAŁKOWSKA 122

DYWANY

KRAJOWE I ZAGRANICZNE
WSZYSTKICH WYMIARÓW

PLEDY, CHUSTKI

SERWETY

FIRANKI

KOŁDRY

MATERJE

MEBLOWE

NARZUTY

NA KOZETKI NAJPIĘKNIEJSZYCH BARW I DESENI

PORTJERY, CHODNIKI

WYKWINTNE

CZEKOŁADKI

CZEKOŁADA

CUKIERKI

KARMELKI

MARMELADKI

A. KIERSKI

WARSZAWA



ST. BOKIEWICZ

TRIOLAN

MYDŁO PRZETŁUSZCZONE HYGIENICZNE JE-
DYNE RZECZYWIŚCIE UDELIKATNIAJĄCE CERĘ

Tow. Akc. FRYDERYK PULS w WARSZAWIE

DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE.



WAREZAWA

ELEKTORALNA 23 (pr. państwowy)

JUŻ
wyszedł
z
druku
i jest do
nabycia
za

Zł. 3.80

we wszystkich księgarniach

i

w księgarniach kolejowych

T-wo RUCH, S. A.

na dworcach w całej Polsce.

ROK 1925/26.



URZĘDOWY ROZKŁAD JAZDY

WAŻNY OD 5-go CZERWCA 1925 R.

ZAWIERA ROZKŁADY JAZDY NA POLSKICH
KOLEJACH PAŃSTWOWYCH, KOLEJACH ZA-
GRANICZNYCH I INNE DANE O KOMUNIKACJACH.

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA KOLEI

SPRZĄDZEN
POLSKIEGO TOW. KSIĘGARNI KOLEJOWYCH
„RUCH”

Sp. Akc.
WARSAWA, POZNAN, KRAKOW,
LWOW, WILNO, RATOWICE, GDANSK.

CENA Zł. 3.80 bez prawa pobierania dodatku.



Czardżui — pałac beka.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

Bardzo wiele pań ma tłustą, błyszczącą cerę. Aby temu zapobiedz i wadę tę usunąć, trzeba myć twarz w cienie wodzie, *otrąbkami Abaridowem*, i dodawać do wody 1 *pastylkę Alkaliczną* na 1 litr wody. Prócz tego dobrze jest rozpuścić 1 *pastylkę Alkaliczną* w $\frac{1}{8}$ szklance letniej wody i płynem tym wycierać twarz kilka razy dziennie. Przy stosowaniu tych środków, twarz nie będzie się błyszczeć i będzie matowa. O ile na twarzy zaczynają występować ciemne punkciki, t. zw. wągry, to prócz mycia twarzy *otrąbkami Abaridowemi*, trzeba stosować płyn przeciw wągrom *Pureol*.

M me ERCEDES

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich pierwszorzędnych drogerjach i perfumerjach.
Skład główny: *Warszawa, Perfumerja Perfection, Szpitalna 10.*

W Y D A W N I C T W O
KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
NAOKOŁO ŚWIATA

POD NACZELNĄ REDAKCJĄ FERDYNANDA GOETLA

Jest pismem pierwszorzędnie i bogato ilustrowanem, na którego treść składają się opisy podróży, literatura egzotyczna, artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, obszerny dział beletrystyczny, przegląd humoru, rozrywki umysłowe i t. d.

MIESIĘCZNY NAKŁAD NAOKOŁO ŚWIATA PRZEWYŻSZA
25,000 EGZEMPLARZY

co umożliwia dostarczanie czytelnikom pierwszorzędnego i ciekawego materiału w wytwornej i pięknej formie.

KAŻDY NUMER NAOKOŁO ŚWIATA ZAWIERA NA 200 PRZESZŁO SZPALTACH OKOŁO 8,500 WIERSZY DRUKU I 100 ILUSTRACJI

Każdy numer stanowi zamkniętą w sobie całość.

ILUSTRATORAMI „Naokoło Świata” są następujący artyści:

M. BEREZOWSKA, K. GRUS, JAN HOLEWIŃSKI, K. MACKIEWICZ, B. NOWAKOWSKI, PROF. SIESTRZENCEWICZ, F. SIEDLECKI, PROF. WŁAD. SKO-CZYŁAS, K. SOPOČKO, J. TOM, M. WALENTYNOWICZ, J. WOŁYŃSKI I INNI.

STAŁĄ OBSŁUGĘ FOTOGRAFICZNĄ STANOWIĄ:

ST. BRZOSOWSKI, CHUSSEAU-FLAVIENS, J. GRAUDENZ, J. MALARSKI,
Z. MARCINKOWSKI i J. RYŚ.

Adres Redakcji i Administracji miesięcznika „NAOKOŁO ŚWIATA”
Warszawa, Zgoda 12. Telefon 122-14. (Telefon ekspedycji 104-32)

F I L J E R E D A K C J I :

w Paryżu, Gebethner & Wolff 5, Rue du Cherche Midi;
w Londynie, W. C. I. The Penn Club 9 Tavistock Square

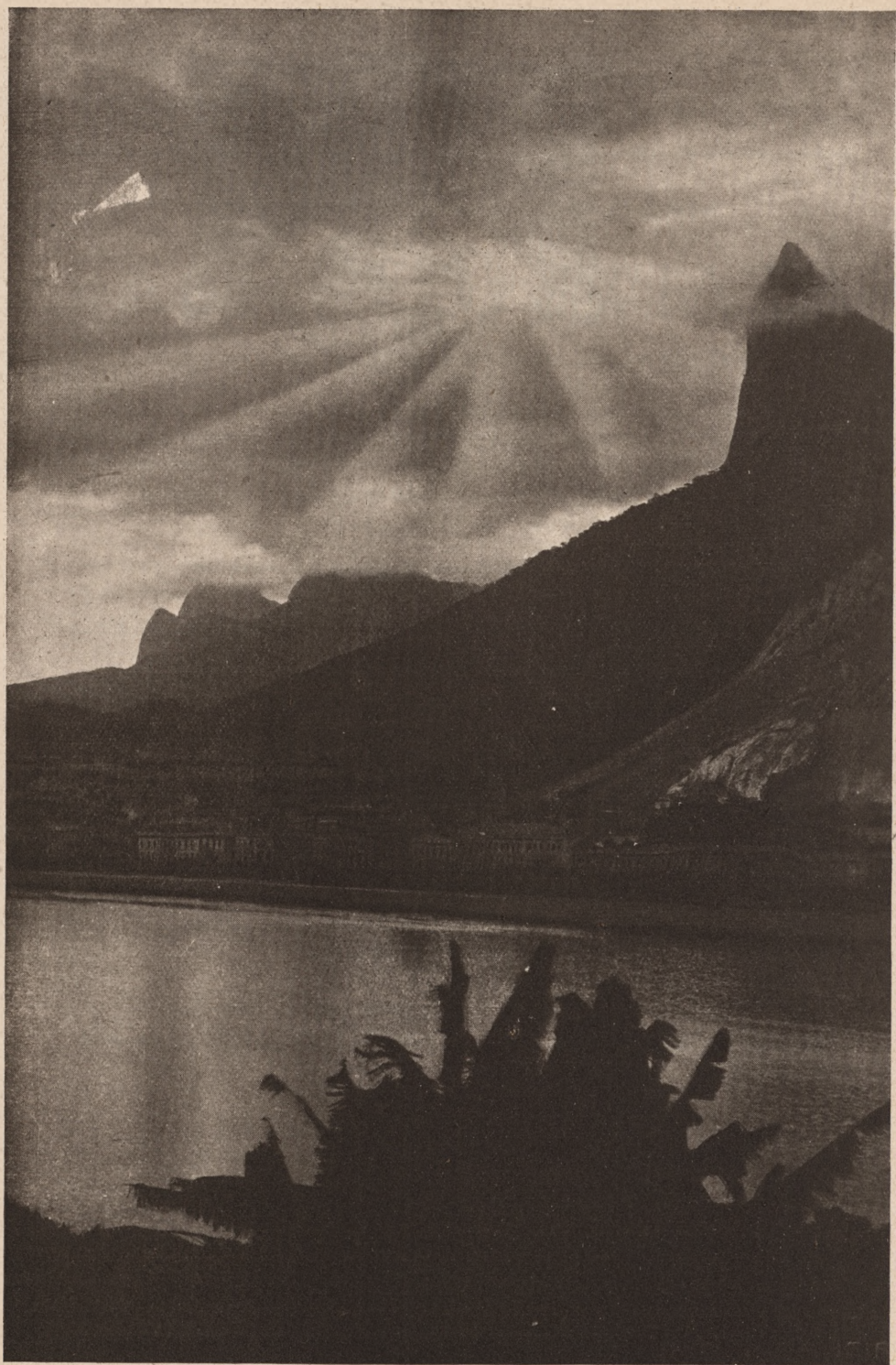
Cena numeru w kolorowej trójbarwnej okładce 2 zł. 50 gr.

PRENUMERATA kwartalna (za trzy numery z przes. poczt. w polec. opasce) 6 zł. 50 gr.

Cena okładki płóciennej na tom czterozeszytowy 2 zł. 50 gr.

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie (prócz niedziel i świąt) od godziny 1 do 3-iej.





Rio de Janeiro



Herwa — zwózką, suszenie i młócką

Pół wieku osadnictwa polskiego w Brazylii

Napisał

Paweł Nikodem

Czternaście lat w kolonii teksaskiej Panna Marja stał już kościółek, zbudowany przez pierwszych osadników polskich z Górnego Śląska w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdy we wrześniu 1869 r. do południowo-brazylijskiego portu Itajahy w stanie św. Katarzyny zawinął w drodze do Hamburga nędzny statek emigrancki „Victoria” — i wysadził na ląd, razem z przybyszami niemieckimi, udającymi się do własnych kolonij w tym stanie, grupę Polaków, przybyłych z okolic Opola na Górnym Śląsku, w liczbie 10 rodzin.

Byli to polsko-brazylijscy „pilgrims”. Pielgrzymowali oni w istocie aż dwa lata, zanim w miesiącach sierpniu-wrześniu 1871 r. przedostali się po mękach dantejskich do Parany i osiedlili w Pilarsinho, pod Kurytybą. Dwie jeszcze następne partje, 16 rodzin górnoślązaków w 1870 i 64 rodziny z Poznańskiego i Prus zachodnich w 1873 r. przeszły siłła kolonizatorów niemieckich w św. Katarzynie, lecz w ślad za pierwszą grupą zdołały przedostać się do Parany.

Patronował tym pierwszym polskim pielgrzymom na półkuli południowej, sprowadził

ich, przeniósł z Św. Katarzyny do Parany i opiekował się nimi Edmund Woś-Saporski, sam Ślązak rodem, żyjący do dziś w zaciszu podkurytybskiem, odznaczony medalem „Polski Odrodzonej”. Zestawienie osoby Wosia z postacią franciszkanina Ludwika Moczygembę, założyciela Panny Marji w Teksas, jako pionierów osadnictwa na dwóch krańcach Ameryki, aż samo się naprasza i czeka na odpowiednie pióro.

Jak ówczesni tubylcy, Luzo-brazylijanie przyjęli pierwszych Polaków? — Z podziwem! W zaświadczeniu urzędowym ze

strony zarządu Kurytyby, wydanem na imię Edmunda Saporskiego w dniu 15 października 1873 czytamy dosłownie taką opinię o pierwszych osadnikach w Pilarsinho: „...owe rodziny polskie oddają się pracy, jako znakomici rolnicy, i są bardzo wyszkolone”. Oczywiście. Ślązacy w tych czasach umieli już naogół czytać i pisać, gdy w Kurytybie na palcach można było policzyć osoby, znające się na tej sztuce. Z Polakami też dopiero pojawił się w Paranie płóg i — chleb, ten zwyczajny, czarny, wiejski bochenek, bo kabokło żył wtedy i żyje do dziś o fasoli i ryżu z mąką manjokową.

Odrzucał wtedy pierwszy osadnik polski w tej ziemi wystąpił zdecydowanie w roli pioniera i szerzyciela kultury. Za oceanem pomiatano nim, jako mniejwartościowem stworzeniem.

Tu wzięto go z miejsca za wzór i przykład. Poczuł w sobie dawną, piastową krzepkość — stał się *gazdą* w nowej części świata. Za przykładem Ślązaków przez czterdzieści lat w ścianę borów podzwrotnikowych biła uparcie, gorączkowo, fala za falą coraz nowych

napływów, siekierą i ogniem zdobywając szerokie przestrzenie. A w miarę opadania dymów, z spalonych wyrębisk wyłaniała się światu — nowa, współczesna Brazylja, tak różna od luzytańskiej, jak owa daleką była od Brazylii pierwotnej, indyjskiej. Miał słusz-

ność El. Reclus, gdy napisał: „Historja Parany jej historja jej kolonizacji”.

Imigrację do Brazylii cechuje niestałość i gorączkowość, administrację zaś brak planowości i bezradność w krytycznych momentach. W wykazach urzędowych widnieją długie i puste szeregi lat, bez znacniejszego napływu przybyszów, są natomiast lata zawrotnych liczb. Np. 1676 r. W kolonjach podkurytybskich, Pilarsinho, Abranches i Św. Kandyda osiadło w latach uprzednich 600 Polaków, wogóle zaś w okolicach miasta li-

czone na roli koło 2000 osób. Administracja prowincji parańskiej nie planowała na najbliższy termin kolonizacji na wyżynie, gdy nagle, owego roku zwała się do Kurytyby masa 4 tysięcy imigrantów z Polski. Ówczesna



Odsłonięcie pomnika „Siewcy” w Kurytybie, dnia 15 lutego 1925.



Pochód przez ulice Kurytyby na odsłonięcie pomnika „Siewcy”



Lasek pinjowy na stepie

ludność Kurytyby nie dorównywała bodaj tej liczbie. Na gwałt rzucono się do pomiarów w stronie zachodniej od miasta, a przybyśzów ulokowano w chwilowych barakach. Siedzieli w nich dwa lata o chłodzie i głodzie, wychodząc na ulice, aby uprosić kawałek chleba, aby za kilka *wentynów* sprzedać córkę. Na domiar nieszczęścia, na obóz padła zaraza: febra tyfoidalna, przyczajona w bagnach potoków Ivo i Belem, na których Kurytyba stoi. Ile osób wtedy w obozie pomarło, nikt nie wie. Źródła brazylijskie, usiłujące zatuszować skandaliczne własne niedołęstwo, przyznają tylko tyle, że „żniwo było straszne i cmentarz się przepełnił”. Taki był początek kolonii „Nowa Polonja”, założonej z 7 ośrodków pomniejszych, jak Orleana, Thomaz Coelho i t. d.

Nie był to, niestety, wypadek pojedynczy. Powtórzył się w latach słynnej „gorączki brazylijskiej” w b. Królestwie Polskiem 1890-91. W latach tych przybyło do Brazylii: „Russos” 40 tysięcy, Niemców i Austriaków 16 tysięcy. Owi Rosjanie byli wyłącznie Polakami, wśród dwóch ostatnich chłop polski stanowił większość. Tego olbrzymiego, nagłe-

go napływu sama Parana pochłoniąć nie była w stanie. Rozlał się on po pół Brazylii, stanach: Św. Ducha, Minas Geraes, Św. Pawła, Parana, Św. Katarzyny i Rio Grande do Sul. Na „Wyspie Kwiatów”, w barakach emigracyjnych w zatoce Rio de Janeiro, toczyła się zawzięta walka między dwoma interesami: polskim i brazylijskim. Z jednej strony stał rząd federalny, popierany przez poszczególne stany środkowo-brazylijskie, z drugiej bezbronny chłop, przewieziony nie na swój koszt, spragniony ziemi. Imigrant wołał uparcie o wysłanie go do Parany, wzgl. Rio Grande do Sul, administracja zaś robiła wszystko, aby skierować go do stanów Minas i Św. Pawła. Z podziwem musimy dziś przyznać: zwycięstwo odniósł chłop polski, bo tylko 10 proc. imigracji udało się rządowi skierować poza trzy południowe stany. Wypadki ówczesne znalazły oddźwięk w „Panu Balcerze” M. Konopnickiej.

Oba powyższe gorączkowe napływy poprzedziła silna, bez umiaru w środkach, agitacja przez agentów jawnych i ukrytych, finansowana przez rząd brazylijski. W drugim wypadku chodziło o uratowanie Brazylii

przed katastrofą wskutek nagłego ubytku rąk roboczych na olbrzymich plantacjach kawy i trzciny cukrowej. W roku 1888 zostało wreszcie zniesione niewolnictwo murzynów. (Niewolę Indian zniesiono 130 lat wcześniej, ponieważ czerwonoskórzy przedstawiali bardzo lichy materiał roboczy). Plantatorom zabrakło tedy naraz 600 tysięcy par rąk czarnych, trzeba je było gwałtem zastąpić nowym elementem, z zastosowaniem do zmienionych warunków. Odezвано się do Europy, przede wszystkim do Włoch i Polski. Skutek nie zawiódł oczekiwań. Nigdy przedtem ani potem nie przyjechało od jednego rozmachu tylu Włochów i Polaków. Lata 1890-91 ugruntowały siłę włoską w stanie Św. Pawła, a polską w Paranie.

Administracja kolonizacyjna i z tych przykładów nie wyniosła nauki. Ostatnie świadectwo braku przygotowania wystawiła sobie w stosunku do Polaków przy zakładaniu kolonji Cruz-Machado, tuż przed wojną światową. W barakach tamtejszych, czekając na pomiary, zmarło na choroby zakaźne kilkuset imigrantów z Lubelskiego i Siedleckiego.

Z obozowiska wspólnego siedł chłop wraz z rodziną w bór i brał w posiadanie wyznaczony mu łot, w nowszych i odleglejszych kolonjach zazwyczaj 25 ha. Pierwszą czynnością było zazwyczaj postawienie szałas, bo łoty z domami gotowymi należą do rzadkości. Potem — siekiera w rękę i walka z puszcza, olbrzymami podzwrotnikowymi, które nadomiar powiązane są ljanami do tego stopnia, że trzeba na sporym nieraz szmacie podcinać drzewa z należą ostrożnością, aby wreszcie całość przerwała sieć ljan i padła. Po spaleniu wyrębiska, wśród osmalonych kłód, następuje pierwszy siew kukurydzy, fasoli czarnej, sadzenie manjoki, kartofli i t. d. Bardzo ciężki bywa ten pierwszy przednówek. Dopiero gdy zbiór dopisze, można myśleć o poczynieniu potrzebnych zakupów do gospodarstwa i użytku osobistego. We wszystkich kolonjach początkowy handel był wymienny, obywatel się bez pieniądza, dla jego braku. Gdy trzeba było soli, zabierało się z domu kukurydżę, albo kurę, aby w sklepiu („venda”) dokonać zamiany.

Kolonje leśne posiadają ziemię od stepowych o wiele lepsze. Wskutek gospodarki rabunkowej wyczerpują się i one jednak po la-

tach kilkunastu — wyszukanie nowej ziemi staje się dla osadnika, przy przyroście rodziny, kwestją stanu. Stąd bardzo silna migracja wewnętrzna, wyludnianie niektórych starych kolonij (Caxias i Alfredo Chaves w Rio Grande do Sul), przenoszenie się w dalekie lasy i zajmowanie coraz dalszych przestrzeni, bez nowego napływu z za morza.

Kolonje, obfitujące w drzewo herwowe, „Ilex paraguayensis”, z którego wysuszonych liści przyrządza się napój, podobny do herbaty, są w cenie, poszukiwane i rozwijają się szybko pod względem gospodarczym. Herwa jest bogactwem Parany, osadnik zwie ją z wdzięczności „pszenicą brazylijską”. Olbrzymie ilości herwy importuje głównie Argentyna, poza tem Urugway i Chile. Próby wprowadzenia jej na rynek europejski zawiodły.

Wychodźca z Polski przybył do Brazylii po—ziemię. Imigracja tutejsza, w przeciwieństwie do północno-amerykańskiej, która głównie na miejscu dopiero, wskutek aklimatyzacji, przedzierzgała się z zarobkowej w osadnictwo stałe, posiadała zawsze jednolity charakter: ściśle kolonizacyjny. I jeszcze druga różnica zasadnicza między obu emigracjami uderza silnie w oczy. Do Stanów Zjedn. wyjeżdżał, kto był w stanie opłacić przejazd, jeśli zaś nie stać go było na to, próbował najpierw szczęścia „na Saksach” i po oszczędzeniu potrzebnej sumy kupował bilet okrętowy do Nowego Yorku. Do Brazylii natomiast podróż okrętem opłacał rząd brazylijski, wystarczyło mieć kilkanaście rubli, marek czy koron, aby tylko dobić do najbliższego portu oceanowego w Europie. W drodze do Brazylii dobierali się tedy owi najbiedniejsi, komornicy, bezrolni i służba dworska, element wydziedziczony i ciemny, mało z Polski dobrych wspomnień unoszący.

Brazylija zaspokoili ich pożądanie ziemi do syta. Kto zna ten głód, nie dziwno mu, że chłop, gdy wetnie się we własny kawał puszczy, przywrze doń ciałem i duszą, wszystkimi zmysłami i całym uczuciem dziedzicznego spragnienia. Wytrzyma w warunkach najgorszych, tam skąd uciekli Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, pokona dzięki bór podzwrotnikowy polskiem umiłowaniem ziemi. Każda kolonja przechodzi w początkach okres owego zaspakajania głodu ziemi, wrastania w nią,

gdy poszczególne osadniki oddają się wyłącznie własnemu gospodarstwu i poza plotem zagrody nie widzi ani sąsiada, ani dalszej gromady. Dłuższy też zwykle upływa czas, zanim nowy osadnik wyjdzie poza lot—i odczuje potrzebę gromadzkiego współżycia. Pierwszym wyrazem skupienia społecznego w dawnych kolonjach był zwykle kościół, względnie kaplica, w kolonjach nowszych natomiast najpierw powstaje towarzystwo i szkoła. A są i takie kolonie, które obywają się bez kościoła i opieki duchownej.

żącym zarazem za siedzibę danego towarzystwa szkolnego, sale do zebrań, przedstawień amatorskich i zabaw. Programem nauki jest nauczyciel, inspektorami są rodzice. Stąd też nauczyciel musi się mniej lub więcej dostosować do wymagań chlebobadców: w jednej szkole bezwyznaniowej przysłuchiwałem się lekcji „Powstanie świata według Kanta” dla oddziału 10-letnich pędraków, gdzieindziej nauczyciel-samouk bardzo pilnie uczył pancerza i katechizmu, a na okrasę dodawał „wyzse rachonki”, które u niego rozpoczyna-



Indjanki oswojone przed swym szałasem w sąsiedztwie kolonji polskiej Lucena w stanie św. Katarzyny

Szkoła stanowi, rzec można śmiało, główną troskę osadnictwa polskiego w Brazylii. Po stanach Parana, Św. Katarzyny i Rio Grande do Sul rozsianych jest około 150 szkół, z czego połowa przypada na Paragę. Rząd miejscami popiera je, miejscami toleruje, lecz nieraz zwalcza, mimo iż w żaden sposób nie byłby w stanie zastąpić ich placówkami państwowymi, tak ze względu na brak nauczycieli i środków, jak i niezajomość ze strony dzieci kolonistów języka portugalskiego. Typ, to szkołka z 30 dziećmi, mieszcząca się w budynku drewnianym, stu-

ły się od działania 100 plus 1. Uczęszczanie dziecka do szkoły trwa przeciętnie 3 lata. Jeszcze przed wojną światową większość szkółek prowadziły żywoty efemeryd, budynki szkolne, po odejściu jednego światłodawcy miesiącami i latami czekały na następcę. „Profesor”, jak tu się szumnie nazywa nauczyciela, uczył zazwyczaj tylko tak długo, póki nie zdobył intratniejszego zajęcia. Stwierdzić trzeba, że stan szkolnictwa w ostatnich latach ulega stałej zmianie na lepsze, powstały miejscowe wydawnictwa podręczników, przystosowane do warunków,

bez owych zim śnieżnych i majów kwitnących oraz hymnów cesarskich, wprowadza się do nauki programy, towarzystwa szkolne wraz z nauczycielami sfederowały się w organizacje centralne. Naczelny wpływ na ten postęp wywarło powstanie państwa polskiego.

Dwie tylko szkoły są nieco wyżej postawione i przedstawiają namiastkę szkół średnich: szkoła im. Kopernika w Marechal Mallet (bezwyznaniowa) i szkoła im. Sienkiewicza w Kurytybie (klerykalna). Ta ostatnia jest najświeższej doby i nie może jeszcze

tensywnego wykerzystania siły roboczej wszystkich członków rodziny.

Osobny dział szkolnictwa stanowią szkoły parafjalne, prowadzone przez siostry ze zgromadzenia Miłosierdzia i Rodziny Marji, pod względem pomieszczenia, środków i liczby dzieci bardzo dobrze zorganizowane. Stoi między niemi na czele szkoła sióstr R. M. w Kurytybie, której majątek wynosi około 80 tysięcy mlr., a liczba dzieci przekracza 300. Wartość szkół parafjalnych polega nie tyle na nauce, ile ciągłości pracy bez przer-



Zatoka Paranagua w Paranie (przy Antoninie)

wyказать się rezultatami w oko bijącemi, gdy natomiast szkoła maletańska, duma i oko w głowie miejscowego obozu postępowego, dała już pewien zastęp nauczycieli, mierników, buchalterów, wytwarzając w ten sposób polsko-brazylijską inteligencję.

Budżet roczny szkolnictwa wynosi około 36 tysięcy milrejsów (1 złoty—1800), licząc na szkołę po 200 mlr. miesięcznie. Jest to wyśitek znaczny, podkreślenia godny, ponieważ bardzo wielki procent imigrantów czytać i pisać nie umiał, przymusu szkolnego niema, a ciężkie warunki osadnicze zmuszają do in-

wy, nauce gospodarstwa domowego dla dziewcząt i wychowaniu wybitnie religijnem.

Towarzystw jest tyle zgoła, ile szkół, bo istnieje kilka zaledwo zrzeszeń, nie opiekujących się szkołą. Cel ich, to przedewszystkiem utrzymanie szkoły, a poza tem urządzenie przedstawień amatorskich, prowadzenie biblioteczek, nieraz pomoc wzajemna, kooperatywy i t. d. Największy Związek Polski w Kurytybie liczy około 500 członków i posiada majątek wartości 80 tys. mlr.

Towarzystwa i szkoły, jako, obok kościoła, pierwszy wyraz potrzeby skupienia spo-

lęcznego, pojawiają się w kolonjach polsko-brazylijskich dosyć późno. Ślady ich giną około 1890 r. Dopiero temperament społeczny Królewia, przybyłego w tym czasie, dał im silniejszą podstawę. Kiedy poszczególne kolonie dochodzi do zrealizowania wspólnych wysiłków w postaci towarzystwa i szkoły, ma się wrażenie, że osadnik uporał się już z własnym lotem, sąsiedzi zbierają się na naradę, lecz obejmują wzrokiem tylko kolonję, nie sięgając poza jej granice. Poczucie stanowienia ognia w wielkim łańcuchu jest jeszcze dalekie. Dlatego też próba złączenia towarzystw w zachodniej stronie Rio Grande, jedyna dotychczas, w stowarzyszenie centralne na wzór Związku Narodowego Polskiego Ameryki Płn., nie powiodła się. W ostatnich paru latach dopiero przeprowadzono luźną federację szkół, i to pod naciskiem z góry. Charakterystycznym dla tego stopnia rozwoju życia społecznego jest np. punkt 1-szy statutu towarzystwa w małej kolonii Caçador w Rio Grande do Sul: „Polacy w Brazylii łączą się w towarzystwo „Naprzód“, z siedzibą w Caçador”.—Dla członków powyższego ugrupowania niema, widać, jeszcze innych Polaków w Brazylii poza ich własną kolonją, chociaż naokoło w całym Erechimskiem mieszkają około 20 tysięcy kolonistów z Polski.

Pierwsi osadnicy odczuwali silnie brak polskiej opieki duchowej. Obecnie każdy większy ośrodek polski (z niewielkimi wyjątkami) posiada kościół własny, który szczególnie w miastach przyczynia się dodatnio do konserwacji polskości. Księża świeckich mało, większość stanowią księża, przybywający z kraju, ze zgromadzeń „Verbum Divinum” i Misjonarzy Wincentego à Paulo. Ci ostatni posiadają na miejscu nawet własnego wice-wizytatora.

Jeżeli chodzi o prasę, owo zwierciadło społeczeństwa, to jest ona prawdziwym kopciuszkiem. 3 pisma tygodniowe, 1 miesięcznik religijny, 1 kwartalnik ilustrowany, wszystko w Kurytybie, poza tem przelotne efemerydy. Nakład łączny 5090 egz. Mimowoli nasuwa się porównanie z przedwojennym Śląskiem Cieszyńskim, nie przerażającym liczbą ludności polskiej tutejszego osadnictwa i posiadającym 15 organów prasy, w czem 1 pismo codzienne. I jeszcze z Cieszyna patrzano zazdrośnie w stronę Napieralskiego!

Warunki, w jakich pracuje prasa polsko-brazylijska, zilustruje może najlepiej typowa notatka, którą nieraz w pismach tutejszych niedawno jeszcze można było znaleźć: „Z powodu choroby zecera numer wychodzi w zmniejszeniu i nastąpi przerwa przez kilka tygodni”. Typ ogólny: Drukarnia pisma mieści się w szopce drewnianej gdzieś w podwórzu, czcionki stare, zgruchotane, maszynka małego formatu odbija naraz tylko jedną, najwyższą dwie strony, wprawia ją w ruch człowiek, kręcąc kołem, jakby przy sieczkarni.

Strona redakcyjna nie wiele lepsza, pisma żyją wiadomościami z Polski, życie miejscowe odzwierciedlają w stopniu niedostatecznym. Pomyliłby się, ktoby w Polsce chciał z pism kurytybskich zapoznać się z życiem miejscowego osadnictwa. Ponieważ warunki wydawnicze są tego rodzaju, że redaktora niema z czego opłacić, więc pisma najczęściej tak jakoś same się robią, wydawca jest zarazem redaktorem, a poza tem może mieć właściwe zajęcie, więc być np. księdzem, lekarzem i t. p. Poza tem pisma kurytybskie zbyt wiele zajmują się wzajemnem zwalczaniem. Metody walki prymitywne, jak o tem świadczy wzięty od niechcenia, gwoździec, poniższy wierszyk. Dwa pisma klerykalne, prowadzone przez zwalczających się nawzajem księży, wszczynają prawdziwą monachomachję i jedno z nich zamieszcza taki płód swego nadwornego pisarza:

*„Siedzi, nie nad ruinami miasta świętego,
Lecz na sutej plebanji kościoła polskiego,
I woła do parafjan, drogich i kochanych,
Z sakiewką i duszą prorokowi oddanych...”*

Brak morza głów, aby prasa, jak i całość życia społecznego mogły się należyście rozwinąć. Gdzie tutejszej społeczności umyć się do emigracji w Ameryce Płn.! Samo przecież jedno jedyne Chicago liczy dwa razy blisko tyle dusz, ile jest wszystkich polsko-brazylijskich głów razem. Kolonia w Kurytybie, ten centralny ośrodek, z swemi 7 tysiącami Polaków, może stanąć śmiało w rzędzie ostatniej zapadłej miejsciny w Polsce.

Określenie liczbowe stanu osadnictwa jest niemożliwe, wskutek braku poważnej statystyki ze strony urzędowej, oraz ryczałtowości obliczeń z polskiej strony. Najbardziej prawdopodobna jest cyfra niespełna 200 ty-



Szkoła im. Kopernika w Marechal Mallet

sięcy, rozłożona na stany: Parana 120 tysięcy, Św. Katarzyna 25 tysięcy, Rio Grande do Sul 45 tysięcy, około 5 tysięcy w rozproszeniu po innych stanach. Trzy powyższe stany, w których rozsiadło się osadnictwo polskie, przedstawiają na stosunki europejskie łączny obszar Francji i Belgii przed wojną. Jedna głowa polska przypada na 2,8 klm. kwadr., w rzeczywistości wszakże, ponieważ połowa Parany i Św. Katarzyny stoi jeszcze pustką, stosunek ten podnosi się do 1 głowy na 2 klm. kw. W stosunku do ogólnego zaludnienia w wymienionych stanach wynoszą Polacy 5,7%, Najwyższy procent wypadu na Parana, 17,5, niższy o wiele, bo 3,7 na Św. Katarzynę, najniższy zaś, 2,0 na Rio Grande. Jeżeli cyfry te zestawimy z obliczeniami polskimi w Stanach Zjedn., okaże się, że najbardziej zbliżonemi do tutejszego przykładu są stany o imigracji ściśle rolniczej, jak Minnesota i Dakota północna, wykazujące po 6% zaludnienia polskiego. Takiego wszakże procentu ludności polskiej, jaki posiada sama Parana, to znaczy 17,5, nie ma żaden stan w Ameryce pñ., bo najbardziej polski stan Connecticut liczy tylko 13% Polaków, czyli 4,5%, mniej, niż Parana. Nie od rzeczy będzie dodać, że pierwszy i jedyny powszechny spis ludności w Brazylii, z 1920 r., który Parania przydzielił 685 tysięcy mieszkańców. epinja ogólna uważa za zanadto patryjotyczny w wygórzywaniu liczb.

Olbrzymia większość, 95% Polaków w Brazylii, to rolnicy. Malutka reszta, to robotnicy po miastach, kolejach, oraz kupcy, którzy jednak po większej części także zajmują się gospodarstwem rolnem. Przedstawiciele inte-

ligencji, mierników, urzędników, księży, lekarzy to możnaby już łatwo z pamięci wyliczyć, po nazwisku.

Szczególnie w Paranie, Polacy stali się podwaliną rozwoju gospodarczego. $\frac{3}{4}$ obszarów roli uprawnej znajduje się w polskich rękach. Gdyby ten żywiciel kraju miał kiedyś naraz wywędrować, stan znalazłby się w ruinie, cofnął o kilkadziesiąt lat. Od Luzo-Brazylijan otrzymał on tylko prawo osiedlenia się, lecz ziemię zdobyć musiał własnym ramieniem w walce z puszcza, a nieraz i czernonoskórymi.

Owo zdobywanie kraju dla cywilizacji odbywa się następującymi etapami: W głębi najdalszych puszczy, na terenach dawnych Redukcyj jezuickich, zażywa jeszcze nieograniczonej swobody Indianin, pędząc tryb życia koczowniczy i rzadko tylko stykający się z przedstawicielami rasy białej, mieszanymi czy też czystymi. Do jego obszarów przytyka pas, gdzie panem jest „kaboklo“, mieszaniec biało-czerwonocarny, prowadzący życie nawpół osiadłe. Za nim posuwa się wreszcie ławą nowy osadnik, Polak, Rusin, Niemiec czy Włoch, a jako rezultat jego pracy, powstają w ślad za nim miasteczka, miasta, wydłużają się linje dróg kołowych i żelaznych, wytwarzają się centra dla handlu międzynarodowego. Owe kręgi ulegają ciąglemu parciu naprzód w stronę zachodnią i każdy następny rozszerza się kosztem poprzedniego. Dziedzice pierwotni, plemiona indyjskie Koroadów, Botokudów, Guarany są jeszcze dziś panami znacznych przestrzeni nad rzeką Parana, lecz nie minie 100 lat, gdy pozostaną dla nich tylko rezerwacje. Luzo-Brazylijanie są panami wyłącznymi pasa drugiego, oraz mają przewagę w pasie ostatnim, stanowią większość mieszkańców miast i rezerwując dla siebie wyłącznie administrację kraju. Transfuzja krwi z lasów do miast jest stała i znaczna. Etnicznie wszakże typ Luzo-Brazylijanina jest słabszy od nowego napływu emigracyjnego z Europy, przyrost naturalny silny, lecz śmiertelność, szczególnie w puszczy, znaczna.

Etap, w którym osadnictwo polskie ma miejsce, jest właściwym faktorem rozwoju Brazylii Płd. w ostatnim stuleciu, w jego granicach odbywa się przemiana puszczy i gołego stepu w kolonje stałe. Jak Indianin



Wodospad Rio Branco w górnej części Iwahy, niedaleko kolonii polsko-ruskiej Prudentópolis



Wozy-wagony, zarazem wozy-domy, uzupełniając sieć kolejową w Brazylii

ucieka przed kaboklem, tak kabokło usuwa się przed nowo-europejskim osadnikiem, niezdolny do konkurencji z masą „bardzo wyszkoloną”. Na granicy zetknięcia wpływ asymilacyjny osadnika na tubylca jest silny. Wielu kabokli i murzynów w sąsiedztwie kolonji przyswaja sobie język polski, wszyscy zaś z konieczności znają przynajmniej najpotrzebniejsze wyrazy. Kilka lat temu do szkoły w Alfonso Penna pod Kurytybą, uczęszczał murzynek, któremu na imię dano Wojciech, przysłany tu z lasów dla odebrania początkowego wykształcenia.

O ile chodzi o Paranie, to w pasie kolonizacyjnym Polacy, do spółki z Rusinami, stanowią olbrzymią większość, w stanach zaś Św. Katarzyny i Rio Grande ustępują miejsca silniejszym liczebnie Włochom i Niemcom.

Do ośrodków miejskich Polacy weszli dotychczas głównie jako robotnicy i rzemieślnicy, z nader małą liczbą także, jako kupcy, przemysłowcy, urzędnicy i t. d. Całkiem inny stosunek obserwuje się u Włochów i Niemców, którzy handel większy i mniejszy oraz przemysł trzymają w swych rękach. Niedaleki będę od prawdy, jeżeli ustosunkowanie polityczno-społeczne w Paranie zamknę w krótkim uogólnieniu: Polacy sieją, orzą, po miastach i kolejach stanowią siłę roboczą, Niemcy i Włosi (wraz z Syryjczykami) handlują, a Luzo-Brazylijanie rządzą.

W peryferjach przemysłowo-miejskich już grozi wynarodowienie, przybysz czuje się kulturalnie słabszym od środowiska. Wysiłki pracy społecznej skierowane są tutaj przede wszystkim do obrony samopoczucia narodowego i utrzymania języka. Organizacja w tych warunkach staje się nie tylko potrzebą, ale i koniecznością, stąd też najsilniejsze i najbardziej czynne organizacje powstały w miastach: Kurytyba, Ponta Grossa, Marechal Mallet, Porto Alegre i Rio Grande (port). Zbiorowemu życiu polskiemu ton nadają po-

wyższe ośrodki, choć liczebnie słabe, a nie kolonie rolnicze.

W życiu politycznym kraju udział Polaków jest nader nikły. Istnieje tylko jedna organizacja polska o charakterze polityczno-brazylijskim, mianowicie w Porto Alegre. W Paranie, w kongresie stanowym zasiada jeden za ledwo Polak z pochodzenia, p. Modest Falarz. Osadnik nie widzi się jeszcze zmuszonym do wejrzenia w całokształt gospodarki krajowej, polityką się nie interesuje — i warstwa rządząca nie ma powodu być niezadowoloną z takiego stanu rzeczy. Rozdział pomię-



Niedziela w Hervalsinho, kolonji lubelsko-siedleckiej

dzy rządzącymi i rządzonymi jest tak wielki, jaki w Europie byłby niemożliwy do pomyślenia. Władza ustawodawcza i wykonawcza, nie mając potrzebnej styczności z nowym, niezasymlowanym elementem, stanowi dlań prawa i dekrety, a kolonista, jak również kabokło, ani myśli zaznajamiać się z temi sprawa-

mi, tak dalekimi od jego potrzeb codziennych. Skutki są nieraz kłopotliwe, jak niespodziewane zamknięcie szkoły za niestosowanie się do jakiegoś paragrafu, skonfiskowanie przez rząd majątku, z wyłączeniem od spadku dzieci, gdy rodzice mieli tylko ślub kościelny bez cywilnego i t. d.

Czy Polacy w Brazylii wynarodowiają się? Opinia w środowiskach miejskich, jak rzekłem, ton nadająca, wskazuje znaczny odsetek wynarodowionych wskutek ulegania sile asymilacyjnej miasta i ostrzega przed grożącym niebezpieczeństwem, powołując się na wzrost samopoczucia narodowego u Brazylijan. Opinia natomiast kolonij właściwych, rolniczych, nie powoduje się przykładami asymilacji w miastach i daje za przykład wnuków, w Brazylii na świat przybyłych, i nie umiejących rozmówić się po portugalsku, a w obyczajach, stroju i gwarze językowej tak naśladowujących przodków, że gdyby to drugie pokolenie brazylijskie miało kiedyś wrócić nad Wartę i

Wisłę, niktby tam nie poznał egzotycznych obywateli brazylijskich. W istocie, kolonie, położone dalek od miast i kolei, o typie rolniczym, zakonserwowały znakomicie swą polskość, mimo 30- i 40-letniego istnienia. Wystarczy przytoczyć: S. Feliciano i Guarany w stanie Rio Grande do Sul, Lucene w Św. Katarzynie i Muricy, Tomaz Coelho, Św. Barbarę, Rio Claro w Paranie. Kolonie natomiast, chociaż oddalone, gdzie rozwija się przemysł i handel, np. Św. Mateusz w Paranie, zaczynają odczuwać wpływ mieszaniny międzynarodowej, z której jedynym wyjściem jest przyjęcie jednego języka porozumiewawczego — portugalskiego.

Pięćdziesiąta rocznica osadnictwa polskiego w Brazylii zbiegła się z stuleciem niepodległości tego państwa, obchodzenem, na sposób południowy bardzo uroczyste w 1922 r., m. i. wystawą międzynarodową w Janeiro. Kolonia polska postanowiła wykorzystać okazję, aby dyplomatycznie przypomnieć zasługi chłopu polskiego około rozwoju Brazylii współczesnej, której głos przez Ligę Narodów wiele nieraz waży w sprawach europejskich, a więc i państwa polskiego.

Ze składek publicznych stanął w Kurytybie, na placu między stacją kolejową i gmachem kongresu pomnik „Siewcy”, odsłonięty

dnia 15 lutego b. r. Dzieło wyszło z pod dłuta artysty Jana Żaka, syna osadnika, rodem z Brzeżan w Małopolsce Wschodniej, który z ojcem przebył cały trud niedoli emigracyjnej, a wykazawszy zdolności, na koszt rządu tutejszego kształcił się w Paryżu i posiadał znaczny rozgłos we Francji, oraz Ameryce Płn. Kreacja artysty polsko-brazylijskiego, pełna dynamiki, odcina się nader dodatnio od wszystkich pompatycznych tutejszych figur generałów i mężów stanu, wystawionych na widok publiczny, aby olśniewały wstęgami i orderami. Syn osadnika rzucił na cokół postać Mazura bez koszuli i boso, który kroczy po zagonie i sieje...

Siewca, chłop bezimienny, jeden z dziesiątków tysięcy, który nędzę polską opuścił bez żalu, wydziedziczony syn ojczyzny, który za oceanem stworzył nowe polskie życie. Wyszedł z puszczy, aby w obliczu izby ustawo-

dawczej świadczyć o swem dziele. Pierwsze pół wieku siał — teraz może będzie... zbierał. W lazurowej toni nieba parańskiego zdaje się kołysać naokoło krzepkiej postaci siewcy nuta piosenki M. Konopnickiej, którą dzieci w wszystkich szkołach śpiewają:

„Polska krew w nas płynie,
polskie serce bije!”



Zniwo w Brazylii

FATALNA



Ilustrował J. Mucharski

— Możecie mi wierzyć, lub nie — mówił pan Gerald Wilcax, zapalając papierosa — ale zapewniam was, że wszystkie przesady, choćby najbardziej na pozór absurdalne, mają rację bytu. Wyrosłe w podświadomej sferze instynktów ludu, oparte na skrupulatnej obserwacji faktów życiowych, przeprowadzanej od niepamiętnych czasów, są one jedynym wykładnikiem działania pewnych sił nadprzyrodzonych, które w analogicznych sytuacjach przejawiają się w analogiczny sposób. Zamiast uważać przesąd za fikcję, przeciwną prawom natury, należy traktować go jako nowe prawo, dotychczas niezbadane, lecz mogące stanowić klucz do wielu zagadnień metafizyki współczesnej. Nieprawdaż, Hubercie?

Zainterpelowany w ten sposób sir Hubert Malcolm d'Harcourt, elegancki i smukły mężczyzna, który w niedbalej pozie spoczywał na kanapie klubowej, podniósł nagle głowę.

Po jego suchej, orlej twarzy przebiegł nerwowy skurcz.

— Nie mogę się z tobą zgodzić, mój drogi — rzekł zwolna, wymawiając z naciskiem każde słowo — nigdy bowiem nie wierzyłem w przesady, i ten brak wiary ocalił mnie kiedyś od niechybnej śmierci.

Konwersacja na sali ucichła raptem i kilkanaście par oczu zwróciło się z zaciekawieniem w stronę mówiącego.

— O jakież to przesąd chodzi w danym wypadku? — spytał pan Wilcax.

Baronet wstał z sofy i podszedł do współtowarzyszy klubowych.

— O fatalne własności, przypisywane trzynastce — odrzekł.

— Co sądzisz o tem?

— Jestem człowiekiem bez zabobonów.

— Każdy człowiek ma swój przesąd — odparł peremtoryjnie pan Wilcax.

Sir Hubert wzruszył niedostrzegalnie ra-



Artur podszedł do rozkładu jazdy

mionami. Usiadł na fotelu i, powiodłszy wzrokiem po zainteresowanych twarzach obecnych, zaczął mówić tak spokojnie i płynnie, jakby chodziło o wydarzenie z poprzedniego dnia:

— Było to w roku 1903. Po odbyciu wstępnej praktyki dyplomatycznej w ministerstwie spraw zagranicznych, udałem się na odpoczynek letni do Scheveningen, i przebywałem tam już od kilku tygodni, gdy pewnego poranka otrzymałem urzędowe zawiadomienie o mojej nominacji na drugiego sekretarza naszej ambasady w Paryżu. Data, od której miałem rozpocząć działalność na nowym stanowisku, przypadała nazajutrz. Nie było ani chwili do stracenia.

Tego samego dnia, o zmroku, przybyłem do Amsterdamu. Dowiedziałwszy się, że express paryski odchodzi dopiero za godzinę, rabyłem bilet i po oddaniu walizek moich pod opiekę tragarza, rozpocząłem monotonną przechadzkę po peronie. Tak minęło kilka minut. Byłem pogrążony w myślach, gdy jakaś para, która przeszła koło mnie, przykuła moją uwagę. Automatycznie spojrze-

łem za nią. Nie kobieta mnie interesowała, ale mężczyzna. Przypominał mi kogoś. Zastanawiałem się właśnie nad tem, gdzie go mogłem spotkać poprzednio, gdy nagle, podczas rozmowy z towarzyszką, zwrócił się do mnie profilem, i poznałem go momentalnie.

Był to lord Artur Craven, mój przyjaciel lat dziecińczych i kolega z ławy szkolnej w Eton. Rozdzieliły nas dopiero studia uniwersyteckie; on bowiem przebywał w Cambridge, a ja w Oxfordzie, i odtąd nie widzieliśmy się więcej. Pierwsze spotkanie po pięciu latach rozłąki!...

Chwilę potem witaliśmy się ze sobą serdecznie, obrzucając nawzajem całym stosem pytań, jak zwykle czynią dawni znajomi po dłuższym niewidzeniu ze sobą. Artur przedstawił mnie swojej żonie, czarującej Francuzce. Pobrali się przed kilkoma miesiącami. Młoda para jechała także do Paryża. Postanowiliśmy zająć wspólny przedział, a ponieważ do odejścia pociągu pozostawało pół godziny czasu, lord i lady Craven zaproponowali mi spożycie kolacji na dworcu. Z ochotą przyjąłem zaproszenie.

Zaledwie wstaliśmy od stołu, Artur podszedł do rozkładu jazdy, który wisiał na ścianie w restauracji, i zaczął czegoś pilnie szukać. Po chwili z ust jego wyrwał się okrzyk zadowolenia.

— Co się stało? — zapytałem.

Artur podszedł ku nam.

— Nie śmiej się ze mnie — rzekł — zapewniam cię, że uniknęliśmy nieszczęścia. Następnym pociąg, który odchodzi do Paryża za pół godziny, oznaczony jest numerem trzynastym. My jedziemy dwunastką. Coby to było, gdybyśmy się na przykład spóźnili?

— Brrr — wstrząsnęła się lady Craven.

Słowa Artura wystarczyły, aby uwydatnić mi w pamięci jedną z najoryginalniejszych

cech jego charakteru. Był zawsze wyjątkowo przesądny. Na ten temat powstawały między nami niebывale perypetje w latach dziecińczych. Dawno już pragnąłem dać mu dobrą nauczkę, aby wykazać całą bezpodstawność jego zabobonów, ale nigdy jakoś nie zdołałem tego uczynić. Teraz trafiała się znakomita okazja.

— Dobrze — odparłem, z pewnem zirytowaniem — żeby ci dowieść, że nie podzielam twojej wiary w feralne cyfry, zostanę tu jeszcze pół godziny i odjadę dopiero pociągiem Nr. 13. Nic mi się w drodze nie przytrafi.

Artur przyjął to początkowo za żart, ale gdy zobaczył, że trwam w swoim postanowieniu, w oczach jego odmalował się niepokój, którego nie potrafię panom opisać. Nic nie pomogły jednak najgorętsze prośby i perswazje, do których przyłączyła się i lady Craven: byłem nieubłagany. Gdy odprowadziłem oboje do wagonu, Artur ścisnął mi rękę z taką emocją, jakby mnie oglądał po raz ostatni w życiu.

Pociąg ruszył.

— Do rychłego zobaczenia w Hôtel Crillon — rzekłem z uśmiechem.

Gdy ostatnie światła odjeżdżającego pociągu utonęły w głębokościach nocy, wróciłem zwolna do restauracji kolejowej. Dworzec zdawał się wymarły. Z uśpionego miasta nie dochodził żaden szum. W sali restauracyjnej, prócz zasnętego bufetowego, nie zastałem nikogo. Byłem widocznie jedynym pasażerem, który czekał na następny expres.

Ta grobowa cisza, panująca naokoło, wywarła na mnie przykre wrażenie i wszystkie nerwy naprężyły się we mnie, jak struny. Powietrze naelektryzowane było niewidzialnem niebezpieczeństwem. Coś czyhało w mroku...

Wir najsprzecznijszych i najbardziej nie-



...ścisnął mi rękę z taką emocją, jakby mnie oglądał po raz ostatni w życiu

logicznych myśli zaczął się kotłować w mózgu. Kazałem odkorkować butelkę vermouthu i usiadłem przy stoliku, próbując zaprowadzić jakiś taki ład w głowie. Ogarnęła mnie wewnętrzna pasja.

— Co za warjaci pomysli! — rozumowałem — tracić pieniądze za bilet, marnować czas, narażać się w dodatku na nieuzasad-

niony rozstrój nerwowy, a to wszystko przez czyjeś głupie fanaberje, które w gruncie rzeczy nic mnie nie powinny obchodzić. Zamiast pozostawać teraz pod wpływem samot-

ności i pustki, rozpierałbym się wygodnie w przedziale i prowadził rozmowę z miłymi ludźmi... *Faut-il être idiot!*

Tok moich myśli przerwało miarowe bicie zegara i prawie jednocześnie z pierwszym uderzeniem na wskaźniku kolejowym zapaliły się czerwone listery.

Rapide Nr.
13. Direction:
Paris.

Przykry dreszcz przeszły mnie od stóp do głów. Dałem znak trażarzowi i, rzuciwszy pieniądze za wino na stolik, udałem się na peron.

Pociąg zajeżdżał niemal bez turkotu i stanął, jak widmo. Na czarnych bokach wagonów odcinały się nieśamowicie twarde prostokąty szyb. Ani jedna lampa nie paliła się wewnątrz.

Wskoczyłem na stopień i uchyliłem drzwiczki przedziału I-ej klasy.

Zamajaczyły w mroku blade twarze śpiących pasażerów, usłyszałem rytmiczny oddech kilku piersi... Zgrzyt otwieranych drzwi nie zbudził nikogo.

Poczułem, że włosy mi się jeżą na głowie. Upiorny strach przed czemś nieznanem chwyci-

ł mnie za gardło lodowatymi palcami. Nie, w żadnym razie nie potrafię spędzić nocy wśród tych ludzi, którzy robią wrażenie żywych trupów, nieświadomych grożącego niebezpieczeństwa...

Z szybkością błyskawicy przebiegłem wzdłuż nieruchomego pociągu i szarpałem za klamkę drzwi prowadzących do sypialnego wagonu.... Zjawia się znużony konduktor... Krótka pertraktacja, poparta szeleszczącym argumentem, i oto znajduję się w pustym przedziale sleepingu. Moje walizki leżą już na siatce. Z osłoniętej mlecznym kloszem lampy pada snop elektrycznego światła na śnieżnej białości pościeli. Jestem sam jeden.

Nastąpiła reakcja. Tętna przestały mi łotać w skroniach i krew odpłynęła od mózgu. Byłem spokojny. Lecz za to przyszło zmęczenie i zważyło mi się na barki stupudowym ciężarem Rozebrałem się w pozycji siedzącej i, zarzuciwszy na siebie pyjamę, runąłem na pościel, jak kłoda.

Ostatnim gestem świadomości zdążyłem zgasić światło.

Jak długo spałem, nie wiem. Alena-

gle w letargiczną ciszę mojego snu wdarł się przeraźliwy zgrzyt wałtownie hamowanych osi, huk tamponów wagonowych, i szmer, początkowo przerywany, który miarowo rósł, wzmacniał się, potęgował, aż wreszcie zabrzmiał dysonansową gamą różnorodnych głosów i tupotaniem bosych nóg.



.. *Faut* — il être idiot! —

Usiadłem na posłaniu, jakby dotknięty elektryczną iskrą. Wciągnąć palto było dziełem jednej sekundy. Instynkt samozachowawczy pchnął mnie ku oknu. Kilkoma uderzeniami pięści rozbiłem szybę i niemal jednocześnie, pokaleczony, stanąłem na wilgotnej ziemi.

nami. Droga zatarasowana. Nikt nie zna rozmiarów katastrofy.

Sir Hubert przestał mówić. W sali można było usłyszeć brzęczenie muchy.



Usiadłem na posłaniu, jakby dotknięty elektryczną iskrą

Dokoła mnie, na ciemnym tle nocnego krajobrazu, falowało morze nawpółrozebranych sylwetek, rozświetlone gdzieś przez różnokolorowe światła krążących w tłumie latarek. Wrzawa pancwała ogłuszająca...

Zamajaczył opodal mundur urzędnika kolejowego, który usiłował uspokoić tłumy. Jednym skokiem znalazłem się przy nim i wpiłem palcami w ramię.

— Co się stało? — wrzasnąłem.

— Nic — krzyknął mi w ucho — tylko pociąg Nr. 12 wykołcił się o kilometr przed

— Od czasu tego nieszczęścia — ciągnął dalej mówca — w którym, między innymi, zginęli także lord i lady Craven, nie zwracam uwagi na to, co mówią o trzynastce. Nie wierzę, aby...

— Przepraszam bardzo — przerwał pan Wilcax — ale to nic nie ma do rzeczy. Katastrofa zdarzyła się z pociągiem Nr. 12, a następny pociąg został przestrzeżony przez dróżników: objaw zupełnie normalny, prawda? Trudno, ażeby dwa nieszczęścia miały miejsce tej samej nocy na tej samej linii. Po-

za tem, z opowiadania Huberta wynika raczej, że fatalna trzynastka zemściła się na ludziach, którzy jej chcieli uniknąć.

Na twarzy baroneta pojawił się uśmiech.

— Jestem tak dalece daleki od wszelkich przesądów, że w krótkim czasie po katastrofie kazałem sobie wygrawerować na papierośnicy trzynastkę. I doczekałem się mimo to wszystkich możliwych powodzeń, jakich so-

bie w karjerze, lub życiu prywatnem życzyć można.

Tu sir Hubert przerwał i wyjął z zanzardza złotą papierośnicę, na której lśniła fatalna cyfra.

— Stanowczo trzynastka przynosi mi szczęście.

— To także przesąd — zakończył z triumfem nieubłagany pan Wilcax.

J. O.



Dolina Macocha

Jaskinie morawskie

Napisał

J. Czarniecki¹⁾

Dzisiejsza Republika Czechosłowacka składa się z trzech części. Na zachodzie leży równinna ziemia czeska, na wschodzie wysoko-górska Słowacja, a między nimi niby pomost wyżynna Morawa. Piękność krajobrazu jej niewysokich, a zalotnymi łukami biegnących gór, strojnych w gęste poszycie lasów jodłowych, zjednało Morawie nazwę Szwajcarii Morawskiej. To też nic dziwnego, że właśnie o wdzięku i pięknościach tych ziem będę mówić. Lecz omyliłby się ten, kto będzie sądził, że roztoczymy obraz topografii tej krainy. O nie. Celem naszej wycieczki do tej minjaturowej, „słowiańskiej“ Szwajcarii są piękności i cuda, które zazdrośnie ukryła ona we wnętrzu swych gór. We wnętrzu gór? Tak.

Proszę mi wierzyć — chwilowo — że nie nadużywam waszej ciekawości, a wkrótce wyjaśnię wszystko.

Przedewszystkiem określimy bliżej teren naszej wyprawy niezupełnie zresztą naukowej. Znajdziemy się w sercu Morawy, które nosi obiecującą nazwę „Morawsky Kras“. Serce to nieco zresztą przydługie (26 km), natomiast stanowczo za wąskie, ledwie bowiem od 2 — 5 km. szerokości, jest obszarem dewońskiego wapnia, w którego idealnej powierzchni wiele tysięcy lat trwająca erozja wyrzeźbiła fantastyczne a powabne doliny dość głębokie, bo nieraz na dobre 400 metrów. Ta rzeźbiarska praca wody nie zaspokoila jej ambicji. Postanowiła ona przeniknąć w głąb, zresztą uległych, skał wapien-

nych i stworzyć rzeczy niebywale: ogromne i piękne. Tak ogromne, że labirynt przy nich jest igraszką dziecinną. Nie będę wam tłumaczył, że owe architektoniczne zamysły naszej rzeźbiarki — wody znakomicie się udały. Jaskinie utworzone w łonie gór są arcydziełami inżynierji natury oraz jej artystycznego zdobnictwa.

To też nic dziwnego, że ludzie spieszą do tych jaskiń i spieszą tak tłumnie, że od czasu otwarcia do nich dostępu, t. j. od roku 1914, zwiedziło tajemnicze ich wnętrza 300.000 osób.

szych jaskiń. Jaskinie te tworzą trzy systemy. Jeden zwany „jaskiniami Punkny“, drugi „jaskiniami Katarzyny“, trzeci „Ostrowskimi“ (odkrył je przed 3 laty poseł ludowy Józef Sumalik). Grupy tych jaskiń znajdują się w wierzchołkach trójkąta, którego ramiona mają przeciętnie po 5 klm.

Pierwsza grupa jaskiń zwanych „punkennimi“ — od rzeki Punkny, która ongiś miała tu swoje podziemne koryto — prowadzi do przepaści — „Macocha“. Droga tym podziemnym korytarzem trwa jakieś $\frac{3}{4}$ godziny, jakkolwiek długość jego nie wynosi kilometra.



„Krapnikowa” jaskinia

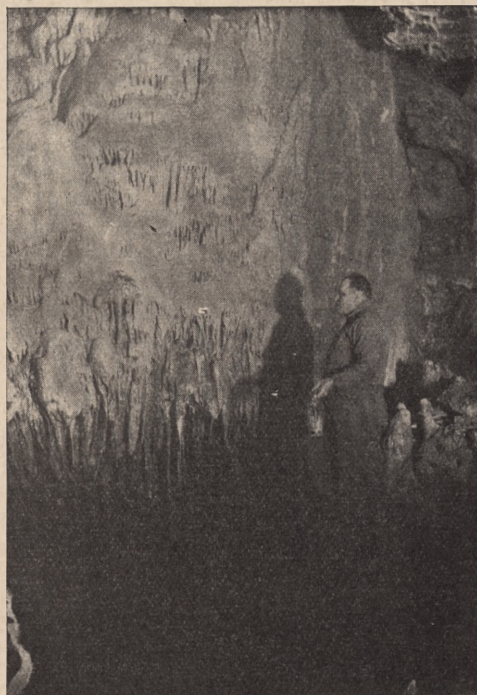
Idźmy w ich ślady. Przedewszystkiem trzeba wyjechać do Brna — stolicy Morawy. Na godzinę drogi koleją przed Brnem, a po jakichś siedmiu godzinach podróży z Pragi czeskiej, wysiadzimy na stacji Blansko. Tu powierzamy swe grzeszne powłoki samochodom, krajowej wytwórni, które wyglądają zresztą pewnie i wygodnie i po 30 minutach jazdy równą szosą, między dwoma grzbiętami doliny znajdujemy się przy t. zw. Skalnym młynie, skąd niedaleczko już do na-

Wstępujemy schodami od Pustego zlebu do ganku, skąd po kręconych schodach około 20 metrów opuszczamy się w głąb ziemi. Pierwsza jaskinia jest mała, ale widzimy tu wiele pięknych stalaktytów. Jeszcze 10 metrów w dół po dość wygodnych schodach, a znajdziemy się u wejścia do t. zw. „Predniego domu“. Na powitanie, nad ostatnim stopniem schodów zwisa doskonale uformowany biały stalagmit. A potem... wstępujemy w krainę bajki. Ręka niezrównanego artysty-na-

tury udekorowała nam przestronną salę o niepraktykowanym w architekturze elipsoidalnym kształcie, girlandami i firankami, o przedziwnym odcieniu białoróżowym. Pogmatwane fantastyczne linie stropu podpierają stalaktyty kolosalnych rozmiarów. Pośrodku zwłaszcza imponującą tężyzną kształtów i obfitością masy wsparł się w strop stalaktyt-olbrzym, liczący sobie z 16 metrów obwodu podstawy i dziesiątki tysięcy lat egzystencji. Jak trusiątko wygląda przy nim grupa trzech stalaktytów, która za to rozciągała przed oczyma widza czar śnieżnej białości krystalicznego wapnia różowiącego się załotnie i wstydliwie w okrutnym świetle elektrycznych lamp. W niedalekim sąsiedztwie tych trzech białych pań - siostrzyczek, zwartą bryłą wznosi się stalaktyt, o ciemnym brązowym odcieniu naskórka, tak! Wydaje się niby Otello skamieniały w fatalnym bezruchu, a jako symbol szalonej wrzawy jego namiętności nad głową stalaktytu zawisła czarna chmura girland wapiennych. Lecz zostaw-



Jaskinia Focha



Naciek ścienny w jaskini bajki. Stoi odkrywca jaskini poseł Samalik

my tę ponurą scenerję: tam, dalej śmieją się do nas kształty mniej drapieżne, bardziej wiotkie i jasnym śmiejąc się odbłaskiem. Oto jak wykrzyknik wyrosła nam cienka igła stalaktytu, zastygłego w radosnym i nieco łobuzerskim podziwie pękatek kształtów, sąsiadującej z nim bryły naciekowej. Niby prze-

kupka rozsiadła się ona w znacznym kaciku i zdaje się szeptać filuternie nachylonemu badyłowi wapiennemu, jakąś plotkę o tych dobrych czasach, kiedy to — dawno już, dawno, przed wiekami, — szumiały tu wody

Punkny, a potem, gdy rzeka poszukiwała sobie innego łozyska, niżej położonego, jak się zaczęły tworzyć owe sople wapienne, i owe wspaniałe kolumny stalaktytowe, podpierające strop jaskini.

Pamiętam — mówi stara gawędziarka — jak ten przekorny i wścibski wykrzyknik był ledwie małym przecinkiem białawym, na szarobronzowym tle boiska jaskini. Lecz rósł jak na drożdżach! — To ci wielka mądrość — wtrąca się wykrzyknik — o tem piszą w książkach lu-

dzie, którzy nie są ani tak długowieczni, ani tacy grubi.

— Poczekaj, ty dowcipnisiu, poczekaj — przyjdzie na ciebie kreska. Wiosenna powódź zaleje, jak w r. 1920, jaskinie, a wówczas woda nadłamię ci twego czarnego czuba. Zostawmy to kłótliwie towarzystwo. Powodzi nie będzie, bo grubaśna plotkara nie wie, że ludzie na końcu korytarza wybudowali mocne żelazne drzwi.

Nie trzeba żałować zresztą, że zwróciliśmy się w inną stronę. Wyrasta oto przed nami lekka kolumnada, w której spotkamy — małe złudzenie — greckiego satyra. Oczywiście nikogo nie widać. Idźmy dalej. Dość niskim i wilgotnym korytarzem brniemy dobre 150 metrów, aby się znaleźć w t. zw. syfonie. Czeką nas tu uciążliwe wspinanie się po schodach jakieś 80 metrów w górę. Ale za to kiedy rzutem oka ogarniemy głębię owego syfonu, o fantastycznie zarysowanych ścianach, jawi się nam wizja piekła dantejskiego; kontrastem niespodziewanym uderza potem ciągnąca się na górnym piętrze komora, zadrzewiona cienkimi iglicami stalakty-



Część dolna jaskini bajki



Fragment z jaskini Masaryka

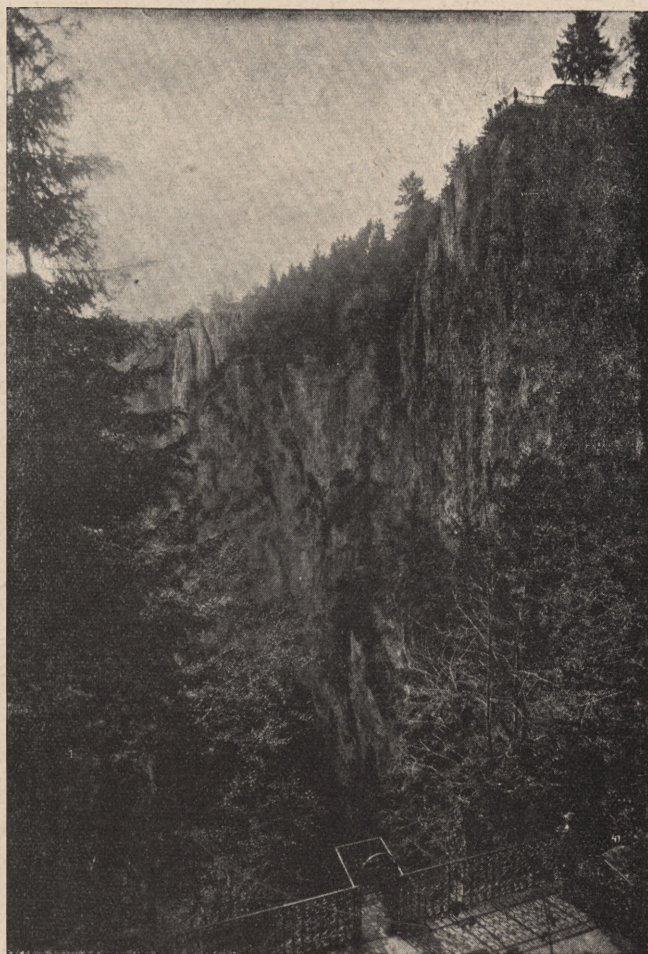
tów. Idziemy dalej, by stanąć w wysokiej na dobre 60 metrów hali, gdzie pośrodku króluje stożek naciekowy, patrzący ostrym dziobem w mroczną głąb komina. Przechodzimy obok t. zw. „dzwonu”, który istotnie stanowi arcydzieło filuterności architektonicznej. Na cienkich słupkach o jakieś 30 cm. od ziemi zawisła stożkowata kopuła dzwonu. Światło małej lampki elektrycznej rzuca tajemnicze refleksy w głąb niewyraźną dzwonu. Wszystko to zbudowała woda w czasie zapewne jakieś dość odległej powodzi. Potem długo, długo trzeba nam iść niskimi korytarzami, aby wreszcie znaleźć się na dnie przepastnej „Macochy”! 460 metrów głębokości to rzecz nielada...

Dwa górskie jeziora zieloną wodą uśmiechają się do nas. Lecz trzeba wracać. Czeką nas jeszcze podróże rzeką podziemną do jaskini Masaryka. Cuda, jakie tu ujrzymy, przechodzą rzeczywistość wszystko dotychczas widziane. Krystalizacja wapnia daje tu nacieki olśniewającej białości i czystości. Fantazja twórcza natury wysiliła się na niebywale o jakieś nieprawdopodobnej romantyce kształty. A więc na wysokiej pod-

stawie wdzięczą się dwie rococowedamy. Tam znów widzimy drzewko wigilijne, osypane suto szronem Hen. w górze wysokim kamiennie tulą się strzelisze organy. To znów baldachim sutą fałdistością miesistej materji opływa jakąś imaginacyjną głowę w koronie lub w tiarze. Tu znów widzimy w miniatrze wyczelowane Be-tlejem: stajenka, pastuszkowie.

W drugim komplecie jaskiń, zwanych „katarzynskiem i”, czekają na

nas takie dziwy, jak czarownica, zaklęta w bezruchu, płacząca wierzbą. To znów stajemy wobec skamieniałej kaskady górskiej. Droga nas wiedzie obok stalaktytów, a za chwilę z podziwem patrzymy na gęstwą cieniutkich a długich sopli. Owdzie z niskiego



Widok na dolinę Macocha.

stropu zwisa na ledwie widocznej niteczce bulwiasta marchew, mimowoli uchylamy głowy, chcąc uniknąć losu Macčka, co to dy-niom na dębie rosnać kazał.

Słowem, co krok, nowe dziwo wyrasta. Jakaś czarownica, lub anioł, który, jak w tej chwili, szerokim zamachem swych skrzydeł nieruchomych, skostniałych w wapiennej powłoce, zastąpił nam drogę.

Idziemy i dziwimy się wielkim hałom, gdzie trzeba wyso-

ko zadzierać głowę i niskim korytarzom, gdzie niepewną stopą, po oślizgłych stąpa się deskach, a w głębi cieniutko płacze woda, sącząca się poprzez skalne masywy.



Napisał
Stanisław Burzyński

IDZIEMY wołnym krokiem i toczymy się wraz z falą ludzi, która pod wieczór zaległa tłumnie chodniki miasta. Gwar, hałas, dzwonki tramwajów, sygnały aut i dorożek, które przesuwiają się śpiesznie przed naszymi oczyma, dając miejsce innym i innym... Korowód wehikułów... Zbieg ulic... Posągowa postać policjanta na środku jezdni, wysunąwszy poziomo rękę w białym rękawie jak szlabanem wstrzymuje cały ruch w jednej z ulic, który na chwilę zamiera... Przechodnie nagromadzają się na chodnikach, jezdnie piętrzy się formalnie od wehikułów... Chwila, a puls ulicy znowu uderzy... Stróż porządku drewnianym ruchem zniża rękę... Dorożki, samochody, autobusy, tramwaje ruszają, jakby popychane niewidzialnie przez tylne szeregi, które się już nagromadziły... Sygnały wymijających się wehikułów, krzyki szoferów, gwar... Lecz nie tylko na chodnikach i na jezdni ruch... Spójrzjmy w górę

Z zgrzytem przeciągają nad naszymi głowami przepelnione ludźmi wozy powietrznej kolei... A pod naszymi stopami o kilka metrów niżej pod jezdnią mkną co parę minut wagony podziemnej kolei cicho i monotennie ruchem kuli w stalowym łożysku, przewożąc tysiące pasażerów na krańce miasta. I ledwo że dano znak przechodniom do przejścia, już słyszy się przynaglające nas do ruchu słowa: *Circulez messieurs* — proszę na-przód panowie... bo każde choćby chwilowe załamowanie ruchu wytwarza stan chorobliwy w ogólnej cyrkulacji wielkiego miasta...

ZAGADNIENIE ruchu ulicznego w wielkich miastach staje się coraz bardziej palącą kwestją. I jakkolwiek sprowadza się ono zasadniczo do trzech pojęć, a mianowicie: odległości, szybkości ruchu i pojemności ulic lub wehikułów, to jednakże w całokształcie swoim jest ono tak skomplikowane, że bez narażenia się na przesadę, śmiało możemy

twierdzić, że niema na świecie miasta, któreby nie wykazywało większych lub mniejszych braków w organizacji ruchu ulicznego w znaczeniu urządzeń komunikacyjnych. Składają się na to tysiączne czynniki, które powodują tak dobrze wszystkim mieszkańcom wielkich miast znane objawy jak np. że w niektórych godzinach ruch tramwajowy

ności miejskiej, jak również w miarę udoskończeń w dziedzinie komunikacyjnej, zastosowanych do lokomocji w danym mieście. Za podstawę do organizowania sieci komunikacyjnej służyć mogą dzisiaj obfite materiały statystyczne zebrane drogą spostrzeżeń i obserwacji. I tak dorożek z pojemnością 4 osób może przejechać z szybkością 8 km. w go-



Ruch uliczny przed giełdą paryską

się wzmacnia, w innych opada do tego stopnia, że na najbardziej uczęszczanych ulicach wozy idą puste, że w niektóre dni ludność podąża w pewne okolice (np. w letnie dni świąteczne za miasto) etc. etc.

To wszystko, o ile kanwa komunikacyjna, tworząca niejako sieć arterji ruchu w miastach, ma być racjonalnie założona, — musi być wzięte pod ścisłą uwagę.

POTRZEBA sztucznych środków komunikacyjnych staje się organiczną z chwilą, kiedy miasto przekracza granicę 50 tysięcy mieszkańców, a zwłaszcza gdy ze względu na warunki terenowe zajmuje w planie powierzchnie o kształtach wydłużonych. Ilość podróży przypadających na głowę mieszkańca miasta podnosi się z wzrostem lud-

ziny 360, automobilów z tą samą ilością osób z szybkością 15—30 km. 520, omnibusów z pojemnością 30—40 osób z szybkością 6—8 km. 30 do 40, tramwajów elektrycznych z pojemnością 40 osób z szybkością 15—30 km. 150 etc. Cyfry te są naturalnie maksymalne. Dzięki innym środkom i piechurom, zwłaszcza na skrzyżowaniu ulic, szybkości wymienione spadają do 5 km. Jeżeli weźmie się pod uwagę ilość *pasażerów-godzin*, która charakteryzuje każdy z powyższych środków komunikacji (dla dorożek 1440, automobilów 2080, omnibusów 3600—7200, tramwajów 12.000) zrozumiemy, że te ostatnie trzeba zaliczyć do najlepszych, bo najsprawniejszych sposobów wielkomiejskiej lokomocji. I jakkolwiek wszystkie sto-



Ulica Whitehall w Londynie z wymalowaną białą linią wzdłuż jezdni, ułatwiającą regulowanie ruchu

lice i wielkie miasta (Londyn, N. York, S. Francisco, Warszawa, Paryż etc.) leżą nad morzem lub wielkimi rzekami (powstawały one w myśl powiedzenia, że „wody ludzi łączą, góry rozdzielają”) i statki z pojemnością 1000 osób i taniością transportu mogłyby być wzięte pod uwagę także jako środek komunikacyjny, to jednakże one, jako takie, wchodzą w rachubę tylko w specjalnych wypadkach uwarunkowanych nadbrzeżnym położeniem przedmieść (jak to ma miejsce częściowo w zatoce Rio de Janeiro).

JEDYNĄ konkurencją dla tramwajów w miastach jest szybki, niepotrzebujący szyn, zwrotny, pojemny i wygodny autobus, lecz wymaga on, niesłusznie, bardzo dobrych bruków, a kwestja bruków miejskich jest do tej pory jeszcze nie rozwiązana. (Największym, jak wiadomo, wrogiem bruku jest koń, i dzisiaj wobec faktu, że ta żywa siła pociągowa wkrótce nie będzie już zupełnie bra-

na w rachubę, miejmy nadzieję, że i ta bieżąca wielkich miast zostanie w niedługim czasie usunięta). Ruch miejski pod względem swego charakteru jest *mieszkaniowy*, wypełniający pasażerami wszystkie środki komunikacyjne w pewnych oznaczonych go-

dzinach, *handlowy*, mniej więcej równomiernie intensywny przez cały dzień, *targowy* (zakupów), w rannych godzinach, *odwiedziny* przeważnie popołudniowe, *rekreacyjny*, zwykle popołudniowy i wieczorny, *wycieczkowy*, zwłaszcza w dni świąteczne etc. Obserwacje w celu ustalenia danych statystycznych o ruchu ulicznym wykazały, że np. w tramwajach na głównych arterjach wielkich miast najwyższy ruch odbywa się między



„Piechury! przechodzić”!

dzy 8—9 godz. rano, a następnie około godziny 4 popołudniu, pozostając w zależności, jak łatwo się domyslić, od udawania się ludności do zajęć lub jej powrotu do domu. Niemalą rolę gra w tym wypadku i charakter miasta, jak np. ilość



Na skrzyżowaniu ulic, ruch w jednym kierunku wstrzymany.

wielkich zakładów przemysłowych, biur etc. etc.

ANALIZA ruchu ulicznego przez spostrzeżenia i obserwacje nad nim dokonana, pozwoliła nawet ustalić *prawo podróży*, które przedstawia się jako krzywa matematyczna (równanie sześcienniej paraboli). Najmniejszą praktyczną odległością w podróżach jest odległość 1 km. — 1,5 km., mniejsze odległości w podróżach miejskich należą do wyjątków.

Aby nabrać wyobrażenia o ruchu w poszczególnych punktach wielkiego miasta, sięgniemy do paru nacocznych przykładów. Weźmy np. Londyn, ten olbrzym, który nazywają „krajem pokrytym domami”: jak wiadomo w Londynie najruchliwszym jest centralnie w starej dzielnicy położony niewielki placik *Piccadilly*, (o którym się mówi: „Londyn jest stolicą brytyjskiego imperjum, a *Piccadilly* jest sercem Londynu”). W r. 1912 w ciągu 12 godzin pewnego dnia naliczono na nim przejeżdżających wehikułów 31.335! W tym samym czasie przez *London Bridge* przejechało 17.253, a przez inne mosty (jak *Westminster*, *Tower* etc.) nie o wiele mniej wehikułów.

W Berlinie u zbiegu ulic *Friedrichstrasse* i *Unter den Linden* od 6 rano do 10 wieczór naliczono 19.000 wehikułów i 134.000 piechurów. Na ulicy *Lipskiej* (*Leipzigerstr.*) jednej z najbardziej ożywionych ulic Berlina zarejestrowano w jednej godzinie 150 wozów tramwajowych, podążających w jedną stronę... W Warszawie niedawno w jednym dniu przejechali tramwajami wszyscy omal jej mieszkańcy: kursów tramwajowych naliczono w tym dniu przeszło 700 tysięcy... *Róg Brackiej* i *Al. Jerozolimskich*, *Nowy Świat*, *Marszałkowska* w środkowym odcinku, *ul. Dzika*, *Nalewki*, *Bieleńska* należą do najbardziej ożywionych miejsc naszej stolicy. A cóż mówić o sporadycznych omal że żywiołowych ruchach po wielkich miastach, dla których wszystkie środki komunikacyjne nie wystarczają jak np. *Zaduszki*, wystawy i zabawy za miastem, lub o takich, które skłębiają cały ruch w mieście i częściowo go tamują, jak np. rozmaite manifestacje, parady, pochody etc?

ŻYWOTNOŚĆ i ruchliwość każdego wielkiego miasta zależy od jakości i ilości połączeń, wiążących je z zewnętrznym światem

i od organizacji wewnętrznej kanwy komunikacyjnej. Ideałem sieci komunikacyjnej byłaby taka jej organizacja, aby najdłuższe podróże nie trwały więcej niż 25 do 30 min., a ponadto, aby się odbywały w warunkach higienicznych a nawet umożliwiały pasażerom wypoczynek. Z wzrostem wygodnych linii komunikacyjnych wzrasta ilość podróży.

W wielkich miastach na 10.000 mieszkańców wypada np. średnio od 0,8 do 2 km. linii tramwajowych, a czasem, jak to ma miejsce w rozlegle zbudowanych miastach amerykańskich, ilość ta dochodzi do 5 km. W największych zachodnio europejskich stolicach ilość podróży na głowę mieszkańca wynosi około 300 na rok (dorożki, omnibusy, tramwaje etc.) w wielkich miastach amerykańskich, gdzie „time is money” ilość ta dochodzi do 400 a nawet do 500 podróży na głowę rocznie.

OPRÓCZ wymienionych środków przyziemnej komunikacji, wśród których prym pod względem sprawności wiodą tramwaje elektryczne lub, jak w niektórych miastach, autobusy, wielkie miasta zaanektowały dla swojej komunikacji jeszcze górne przestrzenie powietrza jak również i głąb ziemi. W ostatnich czasach zaprojektowano w Paryżu kolej powietrzna, która tem się odznacza, że jej motorowe wagony będą opatrzone jak aeroplany śmigłami. Z wielkich miast najwięcej linii powietrznych posiada New York. Niestety, praktyka wykazała, że ten rodzaj komunikacji miejskiej, nie zajmujący wprawdzie miejsca na ulicy, nie należy do idealnych. Nie może bowiem mieszkaniac np. 10-go piętra zaliczyć do przyjemności,

gdy mu przez okno wpada rozmaitego rodzaju brud i śmiecie, swąd i hałas z przebiegających wysoko pociągów powietrznej linii. Prócz tego tory tych kolei wspartych na wysokich filarach nie mogą być uważane za estetyczne ozdoby miast.

KOLEJ podziemna, o ile warunki terenowe w mieście na nią pozwalają, jest bezwzględ-

nie najlepszym, bo najracjonalniejszym środkiem komunikacyjnym. Cicha, niezajmująca miejsca, ba! nawet niewidoczna, reguluje puls w arteriach wielkich miast, sprowadzając poważny odsetek podróży w podziemiu, przez co pozwala pozostałym na powierzchni na swobodne poruszanie się. Kolej podziemne posiadają wszystkie stolicy wielkich państw europejskich. Tereny, które zajmują Londyn i Paryż, wyglądają jak kretowisko. Tunele „undergroundów” i „metropolitain” (popularnie „metro”) przecinają ich podziemia w najrozmaitszych kierunkach, piętrach jedno na drugim, nic nie



Policjant amerykański reguluje ruch uliczny

robiąc sobie nawet z Tamizy ani Sekwany, które w kilkunastu miejscach pod ich dnem przekraczają.

Początkowo koleje podziemne były budowane w postaci rur żelaznych o okrągłym przekroju. Pierścienie ich składały się z poszczególnych płyt, w których środku znajdował się otwór do wpompowywania przezeń zaprawy wapiennej lub cementowej, mającej wypełnić luki między ziemią i zewnętrzną ścianą rury. Był to proceder bardzo ekonomiczny, gdyż w ten łatwy sposób stwarzano mocne łożysko, które niejako zastępowało budowanie ścian. Wskutek rdzewienia rur zaniechano tego sposobu i obecnie pra-



Londyn jest sercem brytyjskiego imperjum, a Picadilly jest sercem Londynu

wie bez wyjątku tunele kolei podziemnych posiadają ściany budowane z betonu lub żelazo-betonu. Grubość tych ścian waha się około 60 cm u sklepienia i między 10—1.40 m u boków, w zależności od wielkości przekroju całego tunelu, którego średnica wynosi swykle od 2 do 5 metrów. Roboty ziem-

ne postępują zapomocą sztolni, (jak w górskich tunelach) tj. początkowo małych otworów, które w miarę postępu prac rozszerzają się. Jeżeli tunele kolei podziemnych biegają ulicami, to górna część ściany tunelu nie może znajdować się płycej niż w odległości 1 metra od bruku.

Na stacjach i przystankach tunele te się rozszerzają, a publiczność dostaje się do nich przez wejście po schodach lub zapomocą wind. W niektórych miastach jak np. w Londynie tunele te krzyżują się i jedne biegają pod drugimi, tworząc w węzłowych punktach tzw. stacje korespondencyjne (lub „change”), gdzie pasażerowie mogą się przesiadać. Budowa kolei podziemnych jest bardzo kosztowna. Mimo to Moskwa buduje u siebie taką koleję (Ach! jak ta „hołota” wszystkim imponuje!). Koszt jednego kilometra kolei podziemnej wynosił przed wojną 2 do 3 milionów franków złotych. Specjalnie komplikują budowę takiej kolei: sprawa fundamentów domów, sieci kanalizacyjnych etc. a następnie racjonalna wentylacja podziemna.

W Warszawie mamy fatalne środki komu-



...posągowa postać policjanta na środku jezdni, wysunąwszy poziomo rękę w białym rękawie, jak szlabanem wstrzymuje cały ruch, który na chwilę zamiera...



Place de l'Opera w Paryżu

nikacyjne (tramwaje warszawskie mają teoretyczną szybkość 10 km. na 45 min., w rzeczywistości, aby przejechać z jednego krańca miasta na drugi zużywa się godzinę). Tętno życia stolicy wskutek tego jest nadzwyczaj osłabione. Linja jej rozbudowy i rozwoju gospodarczego, do czego ma wszelkie dane, jest zupełnie z powodu barbarzyńskich warunków komunikacyjnych, zniekształcona. Małe światło najważniejszych i najruchliwszych ulic, które nie będą już zapewne w tym wieku rozszerzone, wysuwa sprawę kolei podziemnych jako aktualną. Kolej podziemna w Warszawie... Tunele pod dnem Wisły łączące ją z Pragą... Budowa takiej kolei podziemnej w Warszawie, której koszt (w granicach założonego projektu) wyniosłby z górą 100 milionów złotych) mimo wszystko nie wygląda na rzecz z innego świata. Kapitały zagraniczne (np. amerykańskie i angielskie) niechętnie idą na stary kontynent w postaci pożyczek dla rozmaitych gałęzi przemysłu, gdyż obawiają się konkurencji dla swojej produkcji, lecz wszelkie inwestycje miejskie nie budzą w nich obaw, a nawet uważane są

za bardzo dobrą lokatę pieniędzy. Możebyśmy więc o tem pomyśleli...

WARSZAWA, według obliczeń wydziału statystycznego magistratu, posiadała w dniu 1 kwietnia b. r. 1,002,099 mieszkańców (bez wojska i przyjezdnych), zajmuje więc w Europie pod tym względem 10-te miejsce z rzędu. Gdyby nie niezaradność, brak przedsiębiorczości — uderzmy się w piersi — tkwiące w naszym charakterze narodowym, z których często nie zdajemy sobie sami sprawy, składając przy każdej sposobności



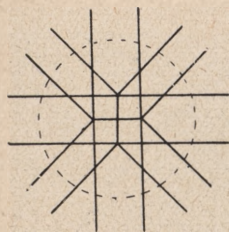
Publiczność podczas rewii wojskowej w Londynie



Kolej podziemna w Warszawie. Projekt Si. Burzyńskiego

winę na rządy śp. zaborców, warunki geograficzne naszego miasta, jego centralne położenie między wschodem i zachodem, przepyszna rzeka, łącząca je z morzem, rokowałyby mu najświetniejszą przyszłość. Niedawno rozmawiałem z jednym Japończykiem o Wiśle. Człowiek ten, pochodzący z kraju, w którym odbudowywanie całych miast z powodu trzęsień ziemi jest na porządku — powiedzmy — „rocznym“, nie mógł zrozumieć, jak Wisła może wylewać. W Japonii od stu lat byłaby ona uregulowana i wogóle nie wiadzanoby co to jest powódź. A u nas? Nie z żywiołami, ale nawet z takimi sprawami, jak budowa dróg i szos nie dajemy sobie rady. W obrębie „wielkiej War-

szawy“ szosy dojazdowe przypominają mi zawsze drogi, jakimi podróżowałem w głębi Brazylii: wyschnięte łożyska rzek i potoków... I honor Polaka z krwi i kości stawiam w zastaw, że temi łożyskami rzek i potoków podróżuje się wygodniej... Ale mówmy o ruchu ulicznym w samej Warszawie. Jest on dzięki fatalnej rozbudowie miasta i sieci komunikacyjnych naogół jakiś skłębiony, w niektórych punktach zupełnie zniekształcony... A przytem gospodarka miasta... Dzięki niej zdarzają się wypadki, że po założeniu nowego bruku na ulicy, w dwa tygodnie potem zrywa się go, rozkopuje ulicę, bo elektrownia przypomniła sobie, że trzeba naprawiać przewody... Tak było niedawno na ul.

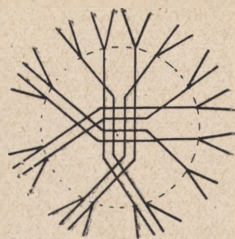


Typ miejskiej kanwy komunikacyjnej z arterjami średnicowymi

wiel! Nie zszycujcie mi brzucha, tylko zróbcie mi go na guziczki! — Ale mówiąc poważnie, w takim typowym polskim „bezholowiu” trudno pomyśleć wogóle o rozwoju miasta. Publiczność niebardzo jeszcze umie chodzić, a personel policyjny nie bardzo

Nowy-Świat. Mimo woli przypomina się historia o pacjencie, w którego brzuchu panowie operatorzy zostawiali za każdym rękoczynem to gąbkę to pensetę, to okulary... i nanowo mu go rozcinali, aż wreszcie zdenerwowany pacjent krzyknął: Pano-

trum miasta wznosić parterowych domków (patrz nowowybudowany domek na ul. Chmielnej przy Nowym-Świecie!), przełożymy szynę tramwajów tuż obok chodników, aby nie trzeba przedostawać się z chodnika do tramwaju między mknącymi

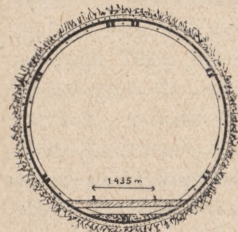


Typ miejskiej kanwy komunikacyjnej według Canera



Kolej powietrzna. Projektowana linja aero-tramwajowa w Pa-ryżu

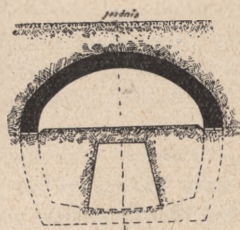
samochodom zostawiając środek jezdni dla szybkiej komunikacji, nie pozwolimy platformom i wózkom ręcznym, tymnajwiększym zaporom ruchu kursować po magistralach. wprowadzimy dobre autobusy, słowem zrobimy z naszej kochanej Warszawy prawdziwe cac-



Przekrój kolei podziemnej w Londynie

jeszcze wyszkolony. Ale życie zrobi swoje: przedewszystkiem przebudujemy nieco naszą stolicę, rozszerzymy ulice, nie pozwolimy w cen-

ko, lecz przedewszystkiem zmienimy ludzi, którym się zdaje, że uszczęśliwiąją nas swoimi rządami w gospodarce miejskiej..



„Podchwycenie” gotowego sklepienia w kolei podziemnej



Mieszkańcy Marsa

Napisał
inż. T. Niedzielski

Gdy w jasną noc gwiazdzistą oko nasze spocznie na firmamencie konstelacyj niebios, mimowolnie występuje pytanie, czy są tam istoty obdarzone rozumem i wolą, czy utworzyło się tam życie i w jakiej formie, i czy kiedykolwiek nastąpi możebność komunikacji z temi odległemi światami.

Starożytni wyobrażali sobie gwiazdy jako wcielenia bogów i bohaterów, wieki średnie przypisywały gwiazdom wpływ na rozwój życia ludzkiego i zdarzeń dziejowych, a dziś nauka, zwana astrologią, odgrywa dużą rolę w naszym życiu codziennem.

Wnioskowano wnioskują, że, o ile wpływ życiodajnego słońca na rozwój życia i charakteru ma swoje niezbite uzasadnienie, o ile wpływ księżycy odgrywa także znaczną rolę w szeregu zjawisk fizycznych i psychicznych, o ile emanacje radu już w drobnych i nieskończenie małych wielkościach wywołują pewne skutki, to dla czegożby wpływ promieni gwiazd czy planet nie mógł mieć jakiegos związku z życiem i losami człowieka.

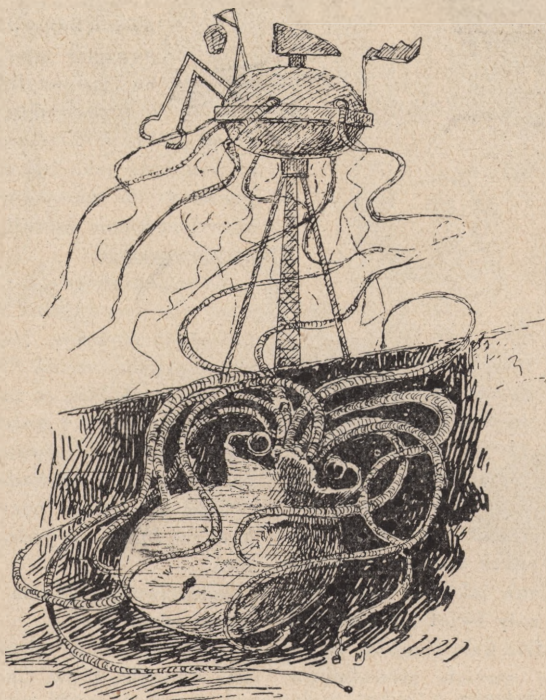
Od najdawniejszych więc czasów zajmowano się badaniem ciał niebieskich, ich składów chemicznych, ich praw biegu i obrotu i snuto mniej lub więcej fantastyczne opowieści o życiu na planetach i gwiazdach.

Jedną z najbliższych położonych planet jest czerwona gwiazda, której nadano miano Boga wojny Marsa. Odległość tej planety od ziemi z powodu dużego mimosrodu jest zmienna i waha się od 55 milj. km. do 390 milj. km.; to też i jego pozorna wielkość

zmienia się od 24 do $3\frac{1}{2}$ sekund. Odległość Marsa od słońca jest półtora raza większa od odległości Ziemi od słońca, stąd też ilość światła i ciepła wynosi nieledwie połowę tej ilości, jaką otrzymuje Ziemia.

Rok Mersowy jest prawie dwa razy dłuższy od naszego, wynosi bowiem 687 dni i dzieli się podobnie jak i na Ziemi na pory roku.

Badania astrofizyczne pozwoliły na określenie ciężaru gatunkowego i gęstości planety i sprawdziły, że Mars ma prawie taką samą gęstość jak i Ziemia, gdy poza tem badanie



Mieszkaniec Marsa według powieści „Wells’a“

spektrum promieni Marsa wskazuje na obecność tych samych składników chemicznych, jakie posiada nasza kula ziemską, ponadto gdy i nachylenie Marsa do swojej płaszczyzny obiegu wskazuje prawie tę samą ilość stopni co Ziemia, nic więc dziwnego, że od dawnych już czasów przypuszczano możliwość życia fizycznego na powierzchni naszego sąsiada.

Przyczyniło się także do tego odkrycie tak zwanych kanałów na Marsie, to jest prawie prostych linii, pokrywających niemal całą przestrzeń planety geometrycznym rysunkiem i fakt, że tak kształty, jak i kolor tych linii ulegał znacznym zmianom. Zmiany te przypisywano istotom obdarzonym rozumem i świadomością działania i stąd już z końcem ubiegłego stulecia pojawiły się rozprawy i powieści fantastyczne o życiu na Marsie.

Wells w swojej powieści p. t. „Wojna światów” przedstawia mieszkańca Marsa



Rozwój czaszki ludzkiej

przez siebie i poruszana jakimiś nieznanymi siłami, zwycięża cały świat i przechodzi w zwycięskim pochodzie kulę ziemską, ujarzmiając ludzkość na swoich niewolników i ofiary.

W końcu ginie zwyciężona przez bakterje

chorobotwórcze, do których ich organizm nie ma w sobie dosyć odporności.

Inną fantazję przedstawiają amerykańskie pisma w załączonych rysunkach. Fantazje te oparte są na analogii z rozwojem i budową anatomii ludzkiej. Otóż sprawdzono, iż dążność czaszki ludzkiej w postępie wieków idzie do rozwoju mózgu. Od najniższego stopnia małpoczołowieka



poprzez szeregi tysiącleci zwiększa się

pojemność mózgu i kształt czaszki wedle podanych rysunków. Za jakieś

dwa miliony lat czaszka człowieka powinna mieć kształt zaznaczony na rysunku figura 6.

Wobec faktu, iż Mars jest starszy od Ziemi o jakie parę milionów lat w swoim uformowaniu się jako ład stały, moglibyśmy suponować, iż mieszkańcy Marsa posiadają prawdopodobnie kształt głowy o silnie rozwiniętej czaszce.

Mars jest planetą 8 razy lżejszą od Ziemi, więc siła przyciągania na nim musi być odpowiednio mniejsza. Stąd też człowiek ziemski, znalazłszy się na Marsie tym samym wysiłkiem mięśni, co na Ziemi 120 cm., przeskoczy wysokość 4 metrów, tą samą siłą podnieśćby mógł z łatwością ciężar 200 kg., a samby zaważył na wadze zaledwie 27 kg.

Stąd też natura pozwoliłaby urość mieszkańcom Marsa do podwójnej wysokości ludzkiej.

Właściwością Marsa jest bardzo rozrzedzona atmosfera.

Stwierdzono, iż mieszkańcy gór południowej Ameryki, t. zw. Cholowie, żyjący na wysokości około 4.000 m. posiadają bardzo wybitnie rozwiniętą klatkę piersiową, ażeby mo-



Kruszenie skał.

Mieszkańcy Marsa według przypuszczalnej analogii z mieszkańcami ziemi

gli czerpać większą ilość powietrza w płuca — analogicznie więc i mieszkaniec Marsa, którego atmosfera odpowiada mniej więcej atmosferze na górach Everestu, powinien mieć bardzo silnie rozwiniętą klatkę piersiową.

Rzadka atmosfera powoduje dalej słabe odczucie wrażeń słuchowych i węchowych, gdyż wrażenia głosu polegają na drganiu powietrza, a wrażenia węchu polegają na utrzymywaniu się w powietrzu przez pewien czas zawieszonych drobnych części stałych jakiegoś ciała. Mieszkaniec Marsa musi więc mieć duże uszy i trąbę nosową, ażeby to wrażenie mógł chwycić.

Brak atmosfery odpowiednio gęstej powoduje też inne wrażenia wzrokowe; możliwość widzenia na bardzo znaczne odległości, dochodzące do kilkunastu kilometrów, a stąd konieczność akomodacji oka do zmiennych odległości na wzór wsuwanych i wysuwanych lunet. Mieszkaniec Marsa (o ile istnieje) ma oczy teleskopowe.

Wreszcie długoletnia kultura pozwoliła na rozwinięcie macek telepatycznych w rodzaj anteny do przyjmowania innych wrażeń, które na razie są poza świadomością rodu ludzkiego.

Znajomość tych sił przyrody, które my dopiero w ubiegłym stuleciu zaczęliśmy odkrywać i wyzyskiwać, pozwala mieszkańco-



Siła ciężkości na Marsie

wi Marsa wykonywać wszystkie prace fizyczne bardzo niewielkim wysiłkiem.

Stąd też mięśnie nieużywane zatraciły z biegiem lat swoje znaczenie, to też ręce i nogi Marsyjczyka powinny być złożone z samych kości i powleczone skórą jako powłoką, ażeby nadać możność utrzymania takiego bądź co bądź znacznego ciężaru na powierzchni, musiała natura rozszerzyć stopę mieszkańca Marsa w kształcie pletw.

Na Marsie jest bardzo zimno. Pominąwszy już fakt, iż Mars z natury swej odległości od słońca otrzymuje zaledwo połowę tych kaloryj co nasza ziemia, jeszcze okoliczność rozrzedzonej temperatury przyczynia się do powiększenia mrozów na tym planecie. Gdy na naszej ziemi niejaki płaszcz z powietrza chroni nas od zbytnich mrozów, to mieszkaniec Marsa, pozbawiony tego wyrównywacza temperatury, jaką jest atmosfera, bardzo marznie.

I to przez każdą noc, kiedy temperatura nawet w lecie spada poniżej 20 stopni i przez 350 dni długiej zimy.

Stąd też natura musiała mu dać grube futro, czy pierze dla ochrony ciała. Znajomość sił przyrody pozwoliłaby jednak Marsyjczykowi na znośną wegetację także w swoich syberyjskich warunkach.

Więc przedewszystkiem zanik zupełny życia wiejskiego i skoncentrowanie się w miastach ochraniających sztucznymi murami kalorycznymi przed spadkiem temperatury.

Potrzebne kalorie ciepła wydobywa ze środka swego planety i zużytkowuje na opał swoich miast, na przeróbkę pożywienia sztucznego i na popęd swoich maszyn.



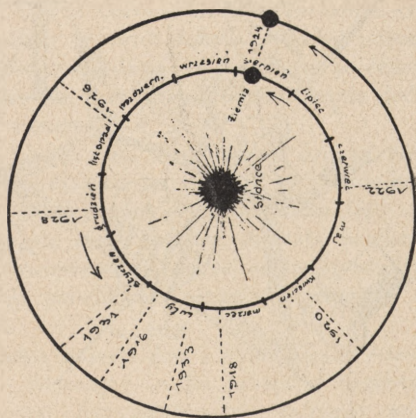
Różnica rozwoju klatki piersiowej u człowieka nizinnego i górskiego



Kanały na Marsie

Roślinność na Marsie jest tylko sezonowa letnia w postaci wysokich drzew, dochodzących wysokości do 30 m. o liściach czerwonych, szpilkowych i pokrytych grubą korą futrzaną w nocy przed zimnem, rozmaitości w kształcie, budowie i kwiatach niewiele. Na zimę wszystkie rośliny giną.

Z nastaniem pory letniej topnieją szybko lody na biegunach, przedstawiające się jako wielkie plamy w lunecie i rozlewają się ku równikowi. Zapelniają się kanały Marsa wodą, przy ich brzegach powstaje kilkudniowa roślinność, służąca za pożywienie i materiał na ubrania, wznoszą się sezonowe budowle



Oddalenie Marsa od Ziemi

po obu brzegach kanału dla eksploatacji środków spożywczych i znowu po upływie lata wszystko zapada w martwy sen zimowy.

Życie na Marsie mało ma powabów. Brak rozmaitości krajobrazu, brak półcieni i refleksów, brak zmierzchu i świtu, brak barw i tonów nadaje Marsowi krwawo czerwony ponury wygląd. W nocy świecą dwa księżyce i nasza Ziemia jako najjaśniejsza gwiazda, a mieszkańcy Marsa ciekawi są zapewne, czy na Ziemi są ludzie i jak oni wyglądają.

O ile wogóle Mars jest planetą zamieszkany.



Ilustrował B. Nowakowski

Napisał Zdzisław Kleszczyński

Młoda, urodziwa Amerykanka, miss Mary Pickford (nie mająca nic wspólnego z głośną artystką filmową tego samego nazwiska), przybyła do Europy w celu zapoznania się z arcydziełami starej kultury.

Zwiedziła Anglię, Belgię, Niemcy, Austrię, Szwajcarję, Włochy. Wylądowała wreszcie z powrotem w stolicy świata — Paryżu.

Była już oczywiście raz w Paryżu, zaraz po przyjeździe na kontynent, ale ani rusz nie mogła się zorientować wówczas, czemu to miasto rości sobie pretensję do królewskiej korony?

Przecież domy w New-Yorku są znacznie większe, ruch żywszy, Ameryka stokroć bogatsza i rozleglejsza...?

Stało się jednak, że zaprowadzono miss Pickford do Inwalidów.

Jedynaczka króla miedzi doznała wstrząsów

Zajrzała do dziwnej cysterny, w której drżą niedostrzegalne strzępy sztandarów... w której znajduje się grób Cesarza... na który to grób, rzadko zresztą omiatany, pruszy nieustannie drobny pył, z góry, z pod kopuły świątyni...

I zapomniała naraż Mary Pickford, że jest

republikanką. Że śmiała się do niedawna z monarchji i rewolucji... Że pytała z pogardliwym wzruszeniem ramion, jak można robić zamachy stanu z powodu tak głupiej rzeczy, jak korona...? Albo wznosić barykady o takie głupstwo, jak chleb...? Kiedy chleba przecież wszędzie można dostać za dolary, a dolary może zdobyć każdy pracowity i dzielny człowiek...?

Stała miss Pickford, jedynaczka króla miedzi, kwadrans i drugi — wpatrując się w sarkofag Cesarza. Wymknął się jej z pod kapelusza złoty, jasny promień włosów: nie zauważyła tego...

Miało to zapatrzenie się młodej panny wielce doniosłe skutki.

Po pierwsze, cofnęła subsydjum, wypłacane dotychczas z jej prywatnej kasy dwóm konkurującym ze sobą sektom: uznała, że cynizm jest rzeczą wstrętną. (O tem, czym jest cynizm i co to słowo znaczy dowiedziała się dopiero w Europie).

Po drugie, zdecydowała się popierać dążenia francuskich rojalistów.

Byli jej najbliżsi w tej chwili, gdyż...

Rzecz w tem, że wizyta u Inwalidów zbiegła się mniej-więcej z poznaniem młodego





księcia Lussac-Luison, przyjaciela słynnego Daudet'a.

Księżę Lussac-Luison był piękny. Mierzył metr ośmdziesiąt dwa. (Wspaniała miara, jak na Francuza, przytem z tak starej arystokracji!)

Po trzecie, zdecydowała się miss Pickford iść za mąż. Za niego właśnie: za księcia Lussac-Luison.

Jakoż, wkrótce potem, pobrali się, przy ogłuszającym dzwonieniu redakcyj i wień kościelnych.

Program młodej księżnej Lussac-Luison przedstawiał się jak następuje:

I. Restauracja monarchji we Francji.

II. Rewolucja w Ameryce. (Etap: Zaniechanie tolerancji, wyłączne uprzywilejowanie katolicyzmu, sprowokowanie konfliktu z Japonją, zwycięska wojna i zniesienie ustawy prohibicyjnej).

III. Osadzenie na tronie amerykańskim jej męża, księcia Lussac-Luison, ewentualnie, syna, o ileby przewrót dokonał się zbyt późno. (Księżna była zdania, że mężczyźni po czterdziestce nie nadają się do piastowania godności monarszej).

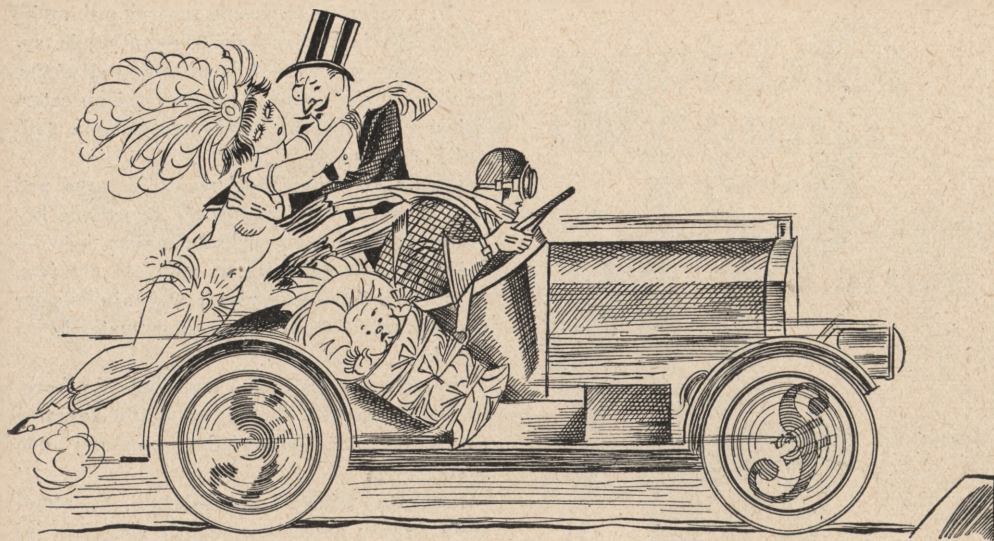
IV. Co do syna: Wychowanie dziecka pod ścisłym nadzorem jezuitów. (Z tą jedynie korektą, że fizycznym wykształceniem jego — zajmie się sama księżna; uważała bowiem, że sprawowanie najwyższej w kraju władzy wymaga prawidłowej przemiany materji).

Tak.

Księżna zwinęła dom i wyjechała do Assyżu. — Dlaczego? — Na to niktby zapewne nie umiał dać odpowiedzi, najmniej ona sama.

Prostu, zdawało się księżnej, że atmosfera Assyżu najbardziej będzie sprzyjała jej planom.





Mały, cichy, ubogi Assyż zmienił się nie do poznania. Przybycie księżnej Lussac-Luison wywołało, oczywiście, istny przewrót w miasteczku. Wiadomość o tem, że przybycie to ma związek z robotą rojalistów francuskich, spowodowała panikę. Radosną — odkąd się stało wiadomem, że księżna Lussac-Luison wydaje rocznie z górą pięć milionów lirów, i że to jest zaledwie część jej renty...

— Tak. Arcyradosną panikę wywołało w Assyżu zakładanie pierwszych cegieł pod tron Francji!

Zresztą, opatrzyła księżna hojnie zarówno miejscowych braciszków, jak i prowincjonalny oddział Faszystowski.

O jezuitach narazie nie było mowy, bo młody Napoleon — Ludwik-Alfons-Abraham-Woodrow książę Lussac-Luison raczył jeszcze ssać matczyną pierś...

Pobyt w Assyżu trwał jednak tylko dwa miesiące. Krótko. Cóż robić...!

— Dlaczego?

Ano, dostała księżna któregoś dnia list z Paryża. Zaraz też zadzwoniła do swojego prywatnego sekretarza i kazała mu w przeciągu godziny przygotować się do podróży, zlikwidować wszelkie interesy i opłacić rachunki w ślicznym miasteczku...

Miał biedak miłą znajomą koło Porta Cappuccini... Nawet jej nie zdążył uścisnąć!

Następnie, szczupłym orszakiem trzech tylko aut (w pierwszym: księżna z synem i piastunką; w drugim — sekretarz księżnej i garderobiana; w trzecim — lektorka księżnej i bagaże) — pomknęła księżna do... Rzymu.

W Rzymie tego samego jeszcze dnia wystarała się księżna o audjencję u jednego z najwplywowszych kardynałów, następnego zaś dnia — była na posłuchaniu prywatnem u Papieża. Poczem, nocnym expresse, odjechała do Paryża.

Jak — kiedy — i kto doniósł księżnej o niewierności jej męża? — niewiadomo. Dość, że znalazła się nad Sekwaną w niespełna trzy dni po otrzymaniu wiadomego listu.

Zajechała prosto do poselstwa amerykańskiego — i tam zawezwała do siebie księcia. Szczegółów ich rozmowy nikt nie zna. Miała być burzliwa...

Zdaje się jednak, że w całej tej aferze umaczał ręce stary rekin, Pickford. Stano na tem, że książę Lussac-Luison daje żonie rozwód i zezwala na wywiezienie do Ameryki syna; poza tem, kontentuje się jednorazową odprawą w kwocie jednego miliona franków...

— No, nędza poprostu...!

BOGDAN NOWAKOWSKI

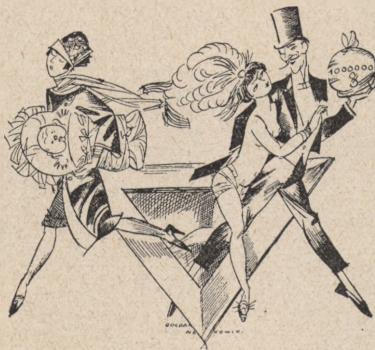


Oczywista, że nędza — przytem, katastrofa! Księżna o dalszem subsydjowaniu akcji rojalistów we Francji nawet słyszeć nie chciała...

Katastrofa dla księcia, katastrofa dla popleczników młodziutkiego pretendenta do tronu amerykańskiego... (Trzeba bowiem podkreślić, że zakupiono już dwa wpływowe dzienniki...).

Księżna zrobiła poza tem mężowi szykanę. W niezupełnie królewskim stylu... Oto, po podniesieniu kurtyny w Casino de Paris, jakichś paru łobuzów wygwizdało nielitościwie pannę Favol, naczelną nagość *révue*...

— Nietrudno się domyślić, kto ich kazał zapłacić.



Księżna Lussac-Luison stanęła na pokładzie.

Była trochę blada, ale poruszała się ze zwykłą sprężystością i energją. Odpowiadając na dyskretne ukłony licznych znajomych, jadących tym samym statkiem, uśmiechała się swobodnie.

Tylko w ostatniej chwili, przy wieździe do portu Nowojorskiego, w obliczu posagu Wolności, witającego podróżnych wielkim gestem — doznała księżna jakgdyby skurczu gardła.

Pierwszy — i ostatni raz — podczas tej przeprawy — odwróciła się wstecz i wbiła wzrok w dal, w niezmierną przestrzeń zbałwanionych, stalowych wód, Dymy wielu stat-

ków zasłoniły horyzont (*Europy stanowczo nie było widać*) — i jedną, jedyną łzę, która spłynęła z oczu księżnej Lussac-Luison...

Dzień był pochmurny, wietrzny, Ocean niespokojny...

„Majestic” zbliżał się do brzegów wolnej Ameryki.

Kapłanki Terpsychory

Napisał

Edward Kuryło

Jeśli istnieją na szerokim świecie tacy, co wierzą, że „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”, to z pewnością jeszcze chętniej przyznają mi rację, gdy powiem, że każda droga do sławy prowadzi tancerza przez Paryż. Bo pieniądze można uzyskać i w Ameryce, i w Anglii, i w Polsce... ale ze sławą — to jest rzecz trudniejsza. I dlatego lecą do tego największego dzisiaj ogniska sztuki rozmaite ćmy i motyle, których fotografie znajdzie uważny czytelnik na tych stronach, opisujących ich losy. Oczywiście przy najmniejszej choćby dozie wyobraźni każdy się domysli, że owe ćmy i motyle — są goniąciami za sławą kapłankami wdzięcznej muzy Terpsychory, zajmującej się w wolnych chwilach uprawianiem tańca.

Warszawa znajduje się obecnie pod jej przemożną władzą. Z dawnych świątyń helfeńskich przeniosła się bogini na świeże powietrze, do dancinów pod gołym niebem, z lubością zagląda do gwarnej „Łobzowianki”. Stałem jej siedliskiem przecie jest Paryż. Pójdźmy tam, aby zobaczyć, co się z naszymi motylami dzieje... Niektóre już sobie pobrudziły skrzydła: to smutne, lecz nieuni-

knione. Większość jednak zachwyca żądną wrażeń publiczność paryską gibkością ruchów i czarem postaci. Publiczność tamtejsza, jak i każda zresztą, lubi różnorodność, łączy ją urok nowych dekoracji i wymyślnych tańców, ciekawia pełne temperamentu, malowniczości i tajemnic obyczaje Wschodu. Im więcej egzotyczne widowisko — tem większem będzie

się cieszyło powodzeniem. A ponieważ „jaka publiczność — tacy są artyści” — więc i tancerki czują słabość do kultury orientalnej. Tem się po części tłumaczy powodzenie na scenach paryskich przedstawień, urządzanych przez Rosjan, którzy korzystając ze stosunkowo długotrwałego kaprysu publiczności, często wynajmują Gmach Opery, zbierając franki i oklaski. Element cudzoziemski w Paryżu jest tak liczny, że moglibyśmy w nim doszukać się przedstawicieli najróżniejszych ras i narodowości. Jak murzynom w Warsza-



Znakomita tancerka p. Napierkowska

wie, tak niektórym murzynkom w Paryżu udaje się zachwycić widzów swoistą urodą — więc śliczną czarno-matową cerą, wydatnymi krwisto-czerwonemi wargami, kosmatem włosieniem, a już przedewszystkiem kokieterijnie wyłożonemi białkami. Pierwsza foto-

KAPŁANKI TERPSYCHORY



Fot. W. Kirchner

RENA HRYNIEWICZÓWNA (BALET WARSZAWSKI)



Nyota Nyoka

grałja przedstawia nadobną i cieszącą się zasłużonem powodzeniem taką właśnie czar-ną ulubienicę publiczności o nazwisku napra-wdę mocno afrykańskiem, pannę Nyota-Nyo-ka. Syta hołdów i sławy szczęśliwa tancerka żongluje teraz męskimi sercami ku zrozu-miałej zazdrości naszych czytelniczek, z któ-rych niejedna czuje się piękniejszą a przecie ofiary swych wdzięków na sztuki zaledwie liczy. Niech przyjmie od nas wyrazy szczer-e-go współczucia, lecz niech pomyśli zarazem, jakie koleje wiodły pannę Nyokę do chwili dzisiejszych triumfów. Pragnąłbym biec za wątkiem tych rozmyślań, lecz nie wiem czy zdążę, bo niedarmo Polki cieszą się wielkim polotem fantazji. Jednak spróbuję... Naprzód panna Nyoka, jako młoda dziewczyna, w cie-listym kostjumie, pośród drzew olbrzymich, gdzieś w mateczniku afrykańskiej puszczy, tańczy raz pierwszy przy odgłosach bębna i przeraźliwych piszczałek... Gromada czarnych w zachwyceniu stoi, podziwiając zręczność ciała czarnej baletnicy i harmonję ruchów z dzikimi tonami piszczałki. Wódz plemie-nia liczy swoje żony i upatruje najchudszej,

k którą zamienićby pragnął... Potem panna Nyoka staje się księżniczką plemienia. Kę-dzierzawi młodzieńcy znoszą jej bransolety złote i oryginalne z kości słoniowej, jakich nawet w Warszawie nie dostanie... Ale to wszystko mało... Nie o tem marzy panna Nyota-Nyoka. Już nawet nie ma gdzie wie-szać nowych bransolet i nauszników—a prze-cie tęskni... Za czem? — nikt nie zgadnie... Aż dnia pewnego przyjechał w dzierzawy kacyka słynny artysta filmowy... spojrzal na 42 bransolety p. Nyoki, potem na ich wła-ścicielkę i... zawiózł ją do Europy... Zaiste mają fantazję tę Polki... Otóż nadmienić tu muszę, że panna Nyota tych bransolet teraz nie posiada i aktora filmowego nie pamięta. Nie jest to winą męskiej przewrotności — lecz zbytnej wyobraźni naszych czytelniczek. Panna Nyota Afryki zupełnie nie widziała i wogóle nie lubi, jak się przy niej mówi o murzynach.

Po tej suchej i zgola niepoetycznej wzmian-ce zapraszam wszystkich do buduaru jednej z najwykwintniejszych faworytek Paryża, „mle Stasi Napierkowskiej”. — Tak jest,



Tancerka Nadja



Eamonda Guy, tancerka paryska

tej samej, co czarowała nas w Atlantydzie kreacją mitycznej władczyni. W Paryżu jest słynną tancerką i gościnną panią domu... Wchodzimy tedy cicho do jej buduaru... Cicho, żeby nie przerwać nastroju, jaki tam panuje. Stąpamy lekko po miękkich, wzorzystych kobiercach, wprost tutaj z Persji sprowadzonych... Na ścianach wiszą bogate makiety, w których nici złote lśnią się od blasków, co się wdarły z zewnątrz przez „okna różnobarwne”. Urządzenie wewnętrzne buduaru uczyniło zeń raczej świetną oazę oryzalizmu w Paryżu, aniżeli salonik artystki. Mimowoli wstydźmy się, że nikt z nas nie ma turbanu ani skośnych oczu. W tej samej jednak chwili beztroska wesołość byłej królowej rozprasza nasz wstydliwy nastrój i jesteśmy jak u siebie w domu. Panna Napierkowska kocha się... — kocha się w egzotyzmie. Ale wbrew naszemu doświadczeniu nie bywa smętnie zadumana, jak na wzorowo zakochane osoby przystało. Owszem, umie się bawić sama i rozbawić towarzystwo. Mówią, że tę zaletę przyniosła z Polski. Wydaje mi się to przecie wątpliwe, bo panna Stasia po polsku nie mówi i kraju nie pamięta, chociaż przyznaje, że w żyłach jej płynie sporo krwi polskiej. Nie ulega to wątpliwości dla znajomych jej ojca — panna Napiera. Węzły wspólnego pochodzenia robią często z ludzi przyjaciół od pierwszego wejrzenia. Zawijujemy rozmowę na temat najbardziej nas interesujący — o dotychczasowych kolejach losu uroczej artystki, pełnej temperamentu i szczerego entuzjazmu dla sztuki. „Odszkodnia” dla kariery artystycznej panny Napierkowskiej były deski teatru paryskiego „Odeonu”. A rzecz się miała w ten sposób: M. Antoine, dyrektor teatru, poszukiwał zdolnej tancerki do wykonania „tańca płomieni” (Danse du feu), ponieważ nikt z jego zespołu nie potrafił sprostać trudnemu zadaniu, a zaspokoić wysokie wymaganie artystyczne p. Antoine jest nielada sztuką. Panna Napierkowska krytyki się nie ulękła. Po wystłuchaniu muzyki, skoczyła na scenę i ku radosnemu zdumieniu dyrektora odtworzyła taniec lepiej, niż mógł się spodziewać. Improwizacja ta zachwyciła obecnych i zachwycała jeszcze publiczność paryską przez całe miesiące. Obecnie do najlepszych swoich kompozycji choreograficznych zalicza panna Napierkowska „taniec pszczoły” — jest to pantomina

*De la Tour*

artystki, w której ubranie niby dostała się pszczoła i wywołuje swemi podróżami po zakamarkach damskiej toalety — odruchy bólu czy też łaskotania. W wykonaniu innej artystki taniec taki mógłby się stać wulgarnym, panna Napierkowska potrafi jednak zachować umiar artystyczny a estetyką i harmonją jej ruchów są oczarowani najwybredniejsi krytycy w dziedzinie sztuki plastycznej.

Drugą tancerką polską niemniej sławną od pierwszej jest po polsku p. Zosia Bończa, a z francuska Mlle Zoula de Boncza. Idąc za głosem mody, uwielbia ona Wschód, który się kończy i zaczyna w Turcji. Niezwykłe

miła, zdobywa sobie przemocą sympatię a ofiarą jej wdzięków stał się nawet niżej podpisany. Brak wyższej techniki tanecznej zastępuje p. Zoula powiewnością kształtów i niezwykłą urodą. Taniec p. Zouli przypomina raczej „akrobatykę w parterze”, jakby powiedział mistrz Pytlasiński. Panna Zoula gnie się jak wąż, łamie wpół jak trzcina z tą tylko różnicą, że nigdy nie pęka, ku zrozumiałej radości swoich wielbicieli. Wieleby można naliczyć jeszcze tancerek polskich na paryskim gruncie. Z bardziej znanych zapamiętamy p. Kaszubiankę i Rutkowską. Obie szumnie tytułujące się gwiazdami moskiew-

skiego i petersburskiego baletu, jakby Warszawa większych gwiazd od rosyjskich nie posiadała. Nasza Szmolcówna czy Hryniewiczówna z pewnością wytrzymałyby zaszczytne dla siebie najśmielsze porównania. Kto więc nie ma sposobności do zobaczenia Paryża, niech będzie zupełnie przekonany, że w naszym Baletcie przedstawienia nie ustępują zagranicznym — czasami. Obyśmy tylko na przyszłość nie zostawiali w tyle, bo Paryż ciągle idzie naprzód szybkimi krokami w pogoni za nową istotą i formą sztuki, a zwłaszcza przedstawień scenicznych. Pierwotnie oddziaływać one miały na umysłowość, potem na uczucie i wyobraźnię audytorjum, wczoraj jeszcze starały się opanać zmysły widza, jutro — celem ich będzie drażnienie nerwów patrzących, do czego zmierzają już teraz teatry śmiechu i grozy w rodzaju Grand - Guignolu. W miarę zmieniania się celów, zmienia się oprawa sceniczna widowisk. Na spektakl baletowy składa się w równej mierze taniec, jak muzyka, dekoracje, kostjumy i efekty świetlne. Otóż w tej dziedzinie wiele się zmieniło w ciągu lat ostatnich. Pod wpływem nowych

kierunków w sztuce wprowadza wiele inowacji Opera Paryska, nie mówiąc już o słynnych teatrach, jak „Folies Bergères”. „Casino de Paris”, „Palace”, które w imię konkurencji każdą nowość stosują u siebie natychmiast, stając się dzwignią postępu. Teatry te grywają tylko sztuki lekkie, przyczem zwraca się głównie uwagę na sposób ich wystawienia, na pomysłową dekorację, czy oryginalną ilustrację muzyczno-taneczną. Każdy teatr ma swoją publiczność. Są takie, które odwiedzają przeważnie przybysze z prowincji, są takie, gdzie spotkać można tylko

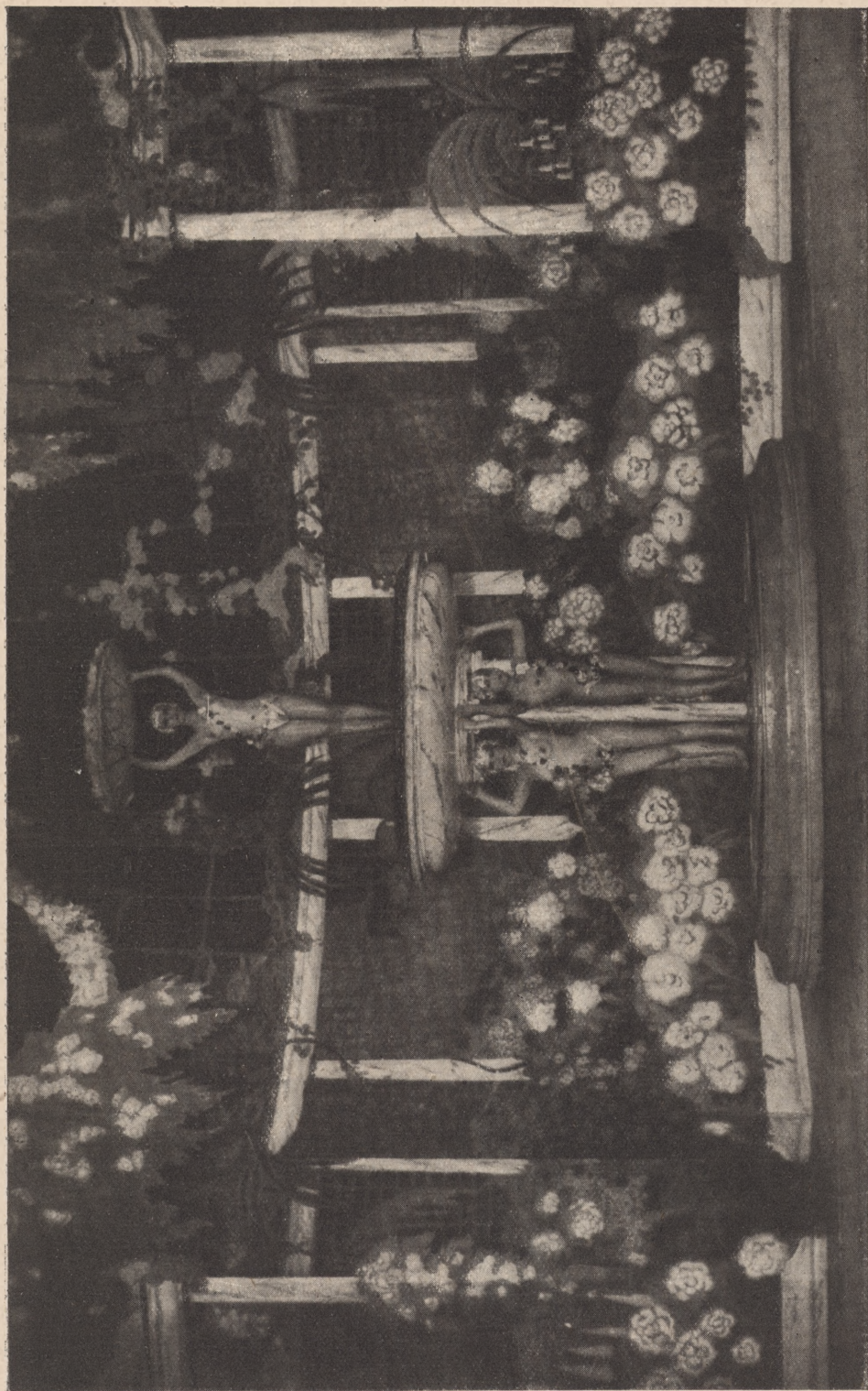
studentów i gryzетки, są wreszcie wykwintne, przeznaczone specjalnie dla publiki o wysokich artystycznych wymogach. Zależnie od charakteru sceny, różne sobie tancerki wybierają miejsca występów. Występy takie są jakby egzaminem, który decyduje o dalszej karierze życiowej. Jeśli egzamin wypadnie miernie, tancerka niknie z horyzontu, gaśnie jak gwiazda, której zniknięcia nikt nie zauważy, bo i tak jeszcze świecą gwiazdy tysiące. Nic też dziwnego,

że każda kładzie w swój występ paryski cały zasób talentu i techniki, stara się olśnić urodą, oczarować zręcznością, upoić harmonją poruszeń, zadziwić nieznany dotychczas tańcem. Więc pani Lucyna Caravillot odtwarza „wezwanie natury”, kiedy to przyroda budzi się ze snu, a z nią budzą się w duszy człowieka subtelne, wiośniane uczucia. Trzeba naprawdę ośwładnąć sztuką plastyczną, trzeba posiadać nawskroś artystyczną duszę, aby taniec był szczerzy i piękny, a nie wydał się dobrze wyuczonym popisem estradowym. Ta świeżość, tchnąca z każdego niemal gestu, cechuje uroczą tancerką paryską, p. Edmondę de



Tancerka Rahna

Guy. Posiada ona pierwszorzędnne warunki sceniczne, a budową ciała przypomina klasyczne posągi starożytnych mistrzów dłuta. Jest niejako wcieleniem ideału ciała kobiecego, co też czyni z niej jedną z najbardziej popularnych tancerek francuskich. Kobieta świetnie zbudowana nie lubi zbyt okrywać swych wdzięków — przykładem tego nasza Niewiarowska, to też i p. de Guy świeci triumfy w scenach, gdzie może być podziwiana w całym blasku urody, nieprzycmionej zbyt cennym kostjumem, któryby i tak nigdy naturalnemu nie dorównał. Zdjęcie następne



„Le Palace” żywa scena dekoracyjna

z kolei przedstawia właśnie inną już tancerkę na scenie teatru „Palace”, gdzie wśród imponujących i bogatych dekoracji każe się podziwiać, stojąc na wzniesieniu, wspieranem przez żywe kolumny... Obraz ten musi wywrzeć silne wrażenie, jeśli wyobrazimy sobie, jak przez oszkloną kopułę wkradają się



Vana Jami,

tancerka teatru sztuki dekoracyjnej w Paryżu

złote promienie księżyca, łamiąc się dziwnie wśród cieniów wirydarza, jasne na tle ciemnej nocy, trzy żywe posągi. Z ogrodu tego wionie wówczas do nas, na widownię, czar nocy letniej, piękna i harmonij, zaklętych w obraz na scenie. Ale dość iluzji — bądźmy sprawiedliwi i poświęćmy chwilę uwagi panie de la Tour, będącej uosobieniem młodości i temperamentu. Ufna w potęgę swych dwudziestu czterech wiosen (do tylu się przyznaje), pragnie zaspokoić swe wysokie aspiracje artystyczne, prowadząc życie gorączkowe w służbie dla sławy i sztuki. Typ rodowitej Paryżanki, zarówno z urody jak i wykwintu i elegancji, choć właściwie pochodzi z Ameryki. Pragnieniem jej było zyskać najprędzej samodzielność, a pośród towarzyszek ceni najbardziej te, które śmiało i bez wahania przebywają przeszkody na drodze swego życia. Specjalnie wyraża uznanie dla znanej tancerki Lady Constance Steward Richardson, o której opowiada taką anegdotkę, smutnie się kończącą dla bohaterki, czem jednak zbytnio się ta nie przejęła. Otóż Lady Richardson chowała na dnie swego serduszka dawno tajoną urazę do jednego z ministrów angielskich. Kobiety często bywają niesprawiedliwe, czasem zato potrafią stać się niezłomne. Tak też było z p. Richardson. Przewzięciła złość do ministra ze względu pewnie na swoją urodę, ale bynajmniej o nim nie zapomniła. Mijały miesiące, aż pewnego razu, król angielski, Edward VII zapragnął ujrzeć słynną tancerkę w londyńskim pałacu. Lady Richardson przyjęła z radością zaproszenie i wobec całego dworu zaczęła tańczyć ów legendarny tan zmysłów, jaki przed dwoma tysiącami lat zawiódła Salome przed oczyma Heroda... Jeżeli Salome była zazdrośna, dobrze, że nie widziała tańczącej Lady Richardson. Król Edward VII był zachwycony i bynajmniej nie ukrywał oznak swego podziwu i zadowolenia. Pragnąc się względem nowożytniej Salome okazać się równie grzeczny, jak Herod dla jej poprzedniczki, zapytał łaskawie, czy też pragnęła od niego otrzymać. Salome nasza nie wypadła z roli, bo pogardziwszy złotem i zaszczytami, rzekła głosem pewnym i poważnym:

„Głowę twego ministra chciałabym widzieć na misie, Najjaśniejszy Panie!”

Król opuścił salę prawie obrażony, ale przez długi czas straszono ministra smutnym

losem biblijnego Jana. Lady Richardson nie przejęła się zbytnio niełaską królewską, a już wogóle nie rozumiała uniżoności względem panujących. Będąc raz na wystawie, gdzie znajdowała się również królowa angielska Mary i zniecierpliwiona, że ta zasłania jej swą osobą ciekawe malowidło, poprosiła ją poprostu, aby się nareszcie na bok usunęła.

Takiego typu kobiety ceni p. de la Tour. Fotografia przedstawia ją w chwili rozpoczęcia tańca, kiedy upojona zachwytem widowni roztacza przed nią wszystkie swe powaby. Postać jej może być wzorem współczesnej moderne — figury. Kontrastowo różni się od niej usposobieniem p. Nadja, o której urodzie podobizna słabe tylko dać może pojęcie. Kształty jej okrywa przejrzysta szata misternie z jedwabiu utkana i takież szal okrywa jej krucze włosy. Stąpa lekko, boso po wschodnich dywanach, czyniąc wrażenie pięknej odaliski. Rzeczywiście posiada ona coś orientального w całej swej postaci. Wrażenie potęguje jeszcze egzotyczny strój p. Nadji, urządzenie mieszkania i odcień melancholji w oczach, otaczający ją dziwnym urokiem.

Orientalizm ostatnio w Paryżu przejawia się w dość licznych obrazach i baletach, do których wątek zaczerpnięto z życia Chin i Japonji. Jak efektowne mogą być te popisy, świadczy załączona fotografia. 27 nadobnych mieszkanki tych krain, upozowanych malowniczo na tle oryginalnych upiększeń, tonących w morzu pachnącego kwiecia — oto obrazy wart wspólne wysiłków baletmistrza i dekoratora. Kwietne parasolki i stożkowe kapelusze nadają tancerkom wygląd prawdziwie japoński, tembardziej, że wszystkie mają umiejętnie zaczesane, czarne, lśniące włosy.

A teraz zróbmy skok imponujący z Chin do samochodu pięknej Rahny, która zyskała sobie w Paryżu ten przydomek niezwykłym wdziękiem i miłą powierzchownością. Obawiam się, że miłośnicy sportu automobilowego będą zbytnio podziwiać luksusowe auto, zapominając o jego właścicielce. Muszę przeto powiedzieć tu o niej słów kilka. „Jolie Rahna” jest ostatnim wyrazem mody. Można się wzorować na jej kostjumach, nie zaglądać nawet do „Pani”, czy „Świata Kobie-

cego”. Idąc w orszaku mody, jako jedna z jej pierwszych służebnic, panna Rahna zajmuje się z namiętnością sportem. Prowadzi samochód lepiej od p. Poincarégo, świetnie jeździ konno i nie uprawia piłki nożnej. Jednem słowem ze wszystkimi najważniejszymi sportami pozostaje w bliższym lub dalszym



*Tancerka Zembelli,
primabera wielkiej opery francuskiej*

związku. Kokietka urodzona, co mamy sposobność stwierdzić, widząc ją tak zalotnie uśmiechniętą do nieznanego sobie fotografa. Niestety, niedyskretny aparat uchwycił oznaki niewczesnych amatorów i za karę p. Rahna zmuszona jest uśmiechać się do każdego, kto na nią chce patrzeć.

Oddawna już kobiety trzymają się mądrej zasady przy tworzeniu strojów. Ubiór musi wprawdzie zakrywać wszystkie wdzięki — to trudno — ale powinien je zarazem uwydatniać jak najbardziej, pozostawiając wiele wyobraźni patrzącego. Taki kosztjum wykoncypowała sobie p. Stern. Właściwie zakrywa wszystko, ale czyż można być więcej rozebraną choćby na plaży? Panna Stern, owita w przejrzystą, czarną gazę, ma symbolizować noc, pośród której świecą tylko dwie gwiazdy, bo więcej oczu p. Stern nie posiada. Widziałem jej taniec w Paryżu i muszę przyznać, że wywarł na mnie wrażenie. Więc chociaż noc i tak zawsze ma wielu zwolenników, to przecie tym razem w osobie p. Stern zebrala tyle oklasków, że winno jej na długo wystarczyć. Patrząc na p. Stern, mimowoli każdy wyraża gdzieś w głębi ducha wszechne pragnienie, aby się znaleźć choć raz pod osłoną takiej symbolicznej nocy. Niestety, noc jest zimna i nieubлагana..

Na koniec zostały 3 jeszcze gwiazdy baletowe, których sława czyni zbyt czczeni wszelkie nieudolne z mej strony pochwały i pochlebstwa. A więc poznajemy p. Zambelli, primabalerinę Wielkiej Opery Francuskiej. Jest ona dla Paryża tem, czem dla nas Szmol-

cówna lub Hryniewicz, — dumą wobec cudzoziemców i pociechą w chwilach wielkich, nieuniknionych strapień, jak: kłopoty związane z końcem miesiąca lub poprostu weksle za-protestowane. Talent ich wyrwie na chwilę przeciętnego śmiertelnika z wiecznego kręgu nieszczęść i zawodów, aby „zjadacza chleba w anioła przerobić“. Po skończonym przedstawieniu wraca taki podrabiany anioł do domu i długo jeszcze marzy o paninie Zambelli (jeśli jest Francuzem) lub słodko wspomina, (będąc Warszawianinem) zawrotny taniec jej polskich koleżanek. O czem marzy, nie chcę się domyślać. W każdym razie muszą to być straszliwe historie, bo znajomości z tancerkami bynajmniej bezpieczne nie są. Nie chcę tu nikogo odstraszać, ale proszę wspomnieć tylko tragedję biednego



Halina Szmolcówna

tancerza Harry Pilcera, który został postrzelony z ręki słynnej równie tancerki Mistinguelle. Osóbka ta strzeliła do ukochanego (ładny sposób wyrażania uczucia — co?) naszego rodaka. Bo choć pozornie nazwisko



Znana tancerka p. Stern

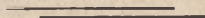


„Le Palace“ w Paryżu — zespół baletowy

wydaje się zlekka angielskie, czy amerykańskie, to przecie mogę wszystkich zapewnić uroczyście, że p. Pilcer pochodzi z Polski, był krew z krwi podobnie jak kość z kości Galicjaninem i jako przedstawiciel mniejszo-

ści narodowej roznosił po świecie sławę swego ludu.

Stąd chyba wniosek wyciągniecie sami, aby nie zaczynać nigdy z tancerkami.



Y. M. C. A. na trzech kontynentach

(Napisał specjalnie dla „Naokoło Świata“)

Poul Super, dyrektor Y. M. C. A. w Polsce

Z Związkiem Y. M. C. A. nawiązałem stosunek przeszło ćwierć wieku temu, kiedy jako młody student zainteresowałem się YMCA, pracując na terenie uniwersytetu, do którego ówczesnie uczęszczałem.

Od samego początku wyobrażnia moja uderzona została tak silnie wartością pracy Związku — że wkrótce wstąpiłem w szeregi jego funkcjonariuszy i, rozpoczynając pracę jako młody człowiek, pozostaję w Związku od 24 lat, w którym to czasie, podróżując w interesach Związku w Ameryce, Azji i Europie — zrobiłem przeszło 400.000 km.

PRACA WŚRÓD STUDENTÓW.

Uniwersytet amerykański jest znakomitą tym terenem do poznania pracy Związku. Idealizm studentów i ich wysiłki celem stworzenia lepszych warunków bytu na świecie, zarówno jak brak trosk materialnych, związanych z prowadzeniem uniwersyteckiej Y. M. C. A. i jej finansami, umożliwiają Związkowi skierowanie wszystkich wysiłków na programowy rozwój duchowy,

społecznej i kulturalnej działalności, na przyzwyczajanie studenckiej młodzieży do altruistycznego sposobu pojmowania życia, co wyciska na niej niezatarte piętno na przyszłość. Roli, którą odgrywa Związek Y.M.C.A. w kształtowaniu moralnego i towarzyskiego życia młodzieży w uniwersytetach amerykańskich — porównać nie można do wpływu żadnej organizacji tego typu w Europie. Amerykański ruch YMCA daje studentom sposobność do działalności duchowej i społecznej, wyrabia w nich zdolności kierownicze, uczy kooperacji — co zdaniem najpoważniejszych myślicieli, w przyszłej karierze młodzieży — jest co najmniej równoznacznym — z nauką zdobytą na wykładach. Wątpliwem jest, czy jakikolwiek bądź inny czynnik w życiu uniwersyteckim odegrał taką rolę w

sprawie zrozumienia przez młodzież amerykańską obowiązków swych w życiu i poznania swych sił i zdolności — jak Y.M.C.A. Działacz Y.M.C.A. jeżdżąc na konferencje, zjazdy i wizyta-



Japonia. Chór Y. M. C. A. w Kobe.

cje różnych uniwersytetów, często bardzo od siebie oddalonych — wchodzi w bezpośrednią styczność z życiem tych uniwer-



Chiny. Nanking. Młodzi organizatorzy Y.M.C.A.

syetów, poznaje je, a przez to zdobywa wiedzę i doświadczenie.

Podróżować zacząłem jako działacz w studenckich YMCA. Dzięki tym podróżom porobiłem znajomości — które przetrwały do dnia dzisiejszego, i poznałem świat uniwersytecki w Ameryce, Azji i Europie. Nie zapomnę tych letnich zjazdów nad brzegami cichego jeziora pod Chicago, gdzie wspólnie z setką kolegów — czerpałem natchnienie do dalszej pracy. Potem myśl moja wędruje do Uniwersytetu w Kioto, gdzie w cudne wieczory po sakramentalnej herbacie, dyskutowaliśmy o zagadnieniach dnia z japońskimi studentami, w ich tradycyjnych kimonach. Było to zimą 1919 r. — i tematem rozmów była sprawa demokratyzacji kraju, zagadnienia Ligi Narodów i sprawy międzynarodowe. Z kolei rzeczy wspominam te spotkania na Wyspach Filipińskich, gdzie zbieraliśmy się na półgodzinną pogawędkę przed wykładami o g. 6-ej rano. Z wdzięcz-

nością wspominam zawsze fakt, że dzięki życiu uniwersyteckiemu wszedłem w styczność z YMCA i że w następnych latach pracy poruszałem się w wielu środowiskach uniwersyteckich.

ZWIĄZKI Y.M.C.A. W MIASTACH AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

Po skończeniu pracy uniwersyteckiej wszedłem w styczność z miejskimi Ogniskami Związku. Jako sekretarz ognisk miejskich, a potem, jako sekretarz objazdowy Komitetu Międzynarodowego zwiedziłem wszystkie 48 stanów i — z wyjątkiem jednego — wszystkie większe miasta Ameryki Północnej. Imponujące gmachy Y.M.C.A. znajdują się we wszystkich wielkich miastach Ameryki i w szeregu mniejszych miast. W niektórych miastach — jak Nowym Jorku i Chicago, na przykład. — Y. M. C. A. liczy ponad 10 ognisk, i w każdym ognisku do zarządu wchodzi najwybitniejsi obywatele, a w działalności biorą udział tysiące dorosłych i chłopców — którzy rozwijają się tu umysłowo, duchowo, społecznie i fizycznie. Wartość tych gmachów Amerykańskiej Y. M. C. A. sięga dziś cyfry 175 milionów dolarów. W kierownictwie bierze udział 6000 płatnych sekretarzy i przeszło 100.000 wolontariuszy, a rok rocznie inwentarz Związku powiększa się o 10 milionów dolarów. Kierownictwo sprawami tak obszernego przedsięwzięcia wymaga specjalizacji — co wywołało powstanie nowego zawodu czyli profesji. Stworzonym został fach sekretarza zawodowego Y. M. C. A. — przyczem stopniowo nastąpiła specjalizacja tych sekretarzy w związku z 50 różnorakimi działalnościami YMCA, a mianowicie wśród wszystkich klas społecznych, ludzi rozmaitego wieku, od 12 lat poczynając, wreszcie grup zawodowych jak biuraliści, kolejarze, górnicy, studenci, żołnierze, marynarze, pracownicy rolni, i ci wszyscy robotnicy, którzy pracują w tych niezliczonych zakładach i fabrykach, które tworzą życie przemysłowe Ameryki.

Stopniowo Związek zdobywa takie uznanie, że prezydenci Stanów Zjednoczonych uczynają oficjalnie popierać ten ruch, a Prezydent Wilson poszedł tak daleko, że wyraził się: „wartość danego miasta mierzy się stopniem zainteresowania się jego YMCA”,

rozumiejąc pod temi słowami, że miasto, posiadające słabo rozwiniętą YMCA, jest miastem bez życia i o niskim poziomie moralności. Wielcy ofiarodawcy amerykańscy dają tysiące dolarów na Związek, który w życiu miast amerykańskich stopniowo zdobył sobie stanowisko prawie równorzędne ze szkołą, Kościołem, bankiem i t. d.

PODRÓŻE W AZJI.

Z ogniskami azjatyckimi YMCA poznałem się w Hongkongu. Miasto położone na skalistej wysepce w odległości 1 km. od lądu — posiada ulice tak strome, że raczej są schodami. Jedna z nich nazywa się „Drabiną“ (Ladder Str.) i na samym szczycie jej po obu stronach znajdują się Ogniska YMCA dla dorosłych i chłopców. Dla mnie „drabina“ ta będzie zawsze symbolem, bo właściwie każda YMCA jest drabiną — po której młody człowiek ma sposobność wspinać się, by osiągnąć wykształcony umysł, zdrowe ciało, piękny charakter — słowem zostać użytecznym członkiem społeczeństwa.

Garść Chińczyków-chrześcijan tworzy jądło tego Związku, mającego jednak poparcie znacznego grona wyznawców Konfucjusza, którzy zdają sobie sprawę z korzyści kultury chrześcijańskiej dla młodzieży swego kraju. Jeden z nich wyraził się: „Prawość jest jednym z najważniejszych problemów Chin“. Dla wyznawców Konfucjusza, zarówno jak Chrześcijan — YMCA jest czynnikiem, dzięki któremu prawość zapanuje w życiu młodzieży.

Najpiękniejszy gmach YMCA na Wschodzie znajduje się w Kantonie. Jest to prawdopodobnie jeden z najpiękniejszych wogóle gmachów YMCA, dzięki swemu położeniu w pięknym podzwrotnikowym parku. Jest to typowa Zachodnia instytucja w Wschodnim guście — instytucja zapoczątkowana w Anglii, rozwinięta w Ameryce, a obecnie przyjęta przez Chińczyków i zastosowana do ich potrzeb. Nazwę Związku Młodzieży Chrześcijańskiej Y. M. C. A. — przełożyli Chińczycy w swym kwiecistym języku na „Związek lat zielonych“, co oznaczać ma stwarzanie młodzieży w pełni sił, pracujących dla dobra kraju.

Z kolei rzeczy poznałem Chińską YMCA w Szanghaju, której oddział dla chłopców zajmuje co do wielkości trzecie miejsce na

świecie, przy jednym z najbardziej wszechstronnych programów działalności.

Z Szanghaju udałem się do Nankingu — czyli „Stolicy Południa“ — tak jak Pekin jest „Stolicą Północy“. Trudno o miasto o bardziej typowo wschodnim charakterze. Składają się na to okalające miasto mury, świątynie wszystkich wschodnich wyznań, wieże dzwonów i bębnow, a szczególnie stalle egzaminacyjne, gdzie perjurycznie około 15.000 studentów przechodziło katusze egzaminacyjne na stopień doktorski, bez którego żaden Chińczyk marzyć nie mógł o otrzymaniu wysokiego stanowiska. Wypadki śmierci z wycieńczenia w tych stallach nie były rzadkością. Stalle te były zabytkami dawnej, monarchistycznej epoki Chin — i obecnie zostały usunięte. Za murem miejskim znajdujemy stare groby królewskie, dynastji Ming, zarówno jak pamiątkowe kamienne posągi wielkich słoni, wielbłądów i żółwi. W tem to wschodnim środowisku, w wielkim chińskim podwórku, do którego wchodzi się przez dwoje drzwi — znajduje się tętniąca życiem i energią YMCA, o tak



Gmach Y. M. C. A. w Minneapolis (St.-Zjednoczone)

wysokim poziomie pracy — że służy jednocześnie za centr szkolenia sekretarzy YMCA.

900 km. stąd, w górę rzeki Yantze, leży Hankou, środek wielkiego — jakby Górnośląskiego — terytorjum przemysłu stalowego. W tem mieście YMCA nosi cechy ogniska przemysłowego, z programem przystosowanym do potrzeb robotników.

Daleko na północ stąd w Pekinie, w obrębie najbardziej imponującego muru, który kiedykolwiek opasywał całe miasto, w samym sercu stolicy, którą wielu uważa za najbardziej godną widzenia z wszystkich stolic świata — przy jednej z największych ulic stoi najbardziej nowoczesny gmach YMCA, wzniesiony za pieniądze amerykańskiego miljarдера I. Wanamaker. Gmach ten znajduje się pod moralną i materialną opieką amerykańskiego Uniwersytetu Princeton. Y.M.C.A. jest poważną instytucją w Pekinie i odgrywa znaczną rolę w życiu miasta. W Tientsinie YMCA

miała sposobność od samego początku wejść w bliski kontakt z światem naukowym Chin. Tu jeden z amerykańskich Sekretarzy rozpoczął cykl wykładów o treści naukowej, zaznajamiając Chińczyków z płynnem powietrzem, gyroskopem, telegrafem bez drutu, i innemi wynalazkami, otwierając przed nimi słowem skarbiec wiedzy nowoczesnej, by później powiedzieć im o Bogu Chrześcijańskim — tem sa-

mem łamiąc opozycję inteligencji chińskiej przeciwko Chrystjanizmowi. Dzięki temu przywrócony został Chrystjanizmowi wśród inteligencji chińskiej ten autorytet — który ongi posiadał, wśród pewnych sfer, dzięki zdumiewającemu wysiłkom misjonarzy katolickich, którzy z wiarą Chrystusową przybyli do Chin w 17-ym wieku.

Związek Y. M. C. A. założony w Chinach

w 90-ach latach ubiegłego stulecia, rozprzestrzenił się na główne miasta i dziś posiada 38 Ognisk Miejskich, 196 Związków studenckich przy ogólnej liczbie 78,000 członków.

W Chinach pracuje 81 Sekretarzy Amer. YMCA nad szkoleniem 378 chińskich Sekretarzy, którzy mają ich całkowicie zastąpić.

Chociaż Japonja nie leży na żadnym — z kontynentów wzmiankowanych w tytule — jednak nie mogę jej pominąć, mówiąc o pracy YMCA w Azji. W r. 1919 odwiedziłem 2 razy YMCA Japońskie, które zro-

biły na mnie ogromne wrażenie, gdyż rzadko gdzie spotyka się większe oddanie się pracy. 25 japońskich miast, a wśród nich znane Tokio, Jokohama, Kioto, Kobe, Nağasaki — posiada YMCA. W miarę jak Japonja z kraju rolniczego przekształca się w przemysłowy — wzrastają i komplikują się stopniowo zagadnienia życia miejskiego. Świat przemysłowy japoński zaczyna stopniowo



Y. M. C. A. w Hradec Kralowa (Czechy).



Y. M. C. A. w Polsce. Dr Orr z małżonką po wręczeniu mu odznaki Komandorji orderu Polonia Restituta przez wice-ministra Łopuszańskiego.

uświadamiać sobie wartość naszej organizacji przy rozwiązywaniu zagadnień, związanych z życiem robotników i pracowników, i dlatego Związek nasz zyskuje coraz więcej poparcia. Właściciel jednego z największych domów handlowych w Japonii, Wicehrabia Shibusawa, pomimo, iż nie jest Chrześcijaninem, daje tysiące dolarów na naszą organizację, gdyż w nią wierzy. Pomoc okazana przez YMCA w czasie ostatniego trzęsienia ziemi i po niem — zyskała dla Związku duże grono sympatyków.

Sprawa przekazania kierownictwa Związkiem przez Amerykańskich sekretarzy — swym kolegom japońskim, jest bardzo daleko posunięta. Dziś Japońska YMCA posiada wyszkolonych japońskich pracowników na wybitnych stanowiskach, a pozostający Amerykańscy sekretarze w liczbie 14 — są głównie tylko doradcami.

W ostatnich czasach nawiązaliśmy bilską styczność z YMCA w Indjach, w czasie pobytu w Polsce p. K. T. Paul'a, Sekretarza Generalnego YMCA Indyjskiej, którego nierozłączny biały turban i ciemno-oliwkowa cera zwracały ogólną uwagę w Warszawie i Krakowie.

Y. M. C. A. W EUROPIE.

W niektórych krajach kontynentu europejskiego — YMCA egzystuje od bardzo dawna. Zapoczątkowany w Anglii w 1844 r. ruch YMCA szybko rozprzestrzenił się w Anglii, a wkrótce i w Francji, Holandji, Danji, Niemczech, Austrii i Szwajcarii.

W Europie rozwój Związku poszedł cokolwiek innemi drogami niż w Ameryce, gmachy Ognisk są mniejsze i program pracy nie ma tej różnorodności. Pomimo to jednak ruch ideowy jest bardzo wybitny.

Wielki gmach YMCA w Londynie przy Tottenham Court Road, zbudowany kosztem 1 miliona dolarów, jest ośrodkiem wybitnej działalności YMCA w dzielnicach, grupujących się koło Muzeum Brytyjskiego. W Katedrze św. Pawła znajduje się pomnik Sir George Williams'a, założyciela Związku, licznie odwiedzany przez członków Związku.

Najlepiej może praca YMCA na kontynencie europejskim postawiona jest w Danji, gdzie stosunkowo na małej przestrzeni grupuje się 577 Ognisk.

Zbliżoną ilość Ognisk posiada Szwajcaria i Norwegja. W Niemczech istnieje moc drobnych Ognisk z ogólną liczbą członków 70.000.

W związku z Wielką Wojną i rozpadnięciem się monarchji Rosyjskiej i Austriackiej — powstał szereg Państw w Europie, które wyraziły chęć założenia u siebie YMCA, po tem, jak obywatele tych państw przekonali się, jako żołnierze, o pożyteczności tej instytucji. Na skutek tego, przy pomocy środków dostarczonych przez Amer. YMCA, powstały Związki YMCA w Estonii,

Łotwie, Polsce, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii i Rumunii, a w chwili obecnej podobne życzenie wyraziły Węgry, gdzie udaje się Sekretarz Amer. YMCA, by zapoczątkować działalność na wzór amerykański, któ-

ra coraz bardziej przyjmuje się w Europie i prowadzona jest obecnie w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Działalność ta zademonstrowana będzie w pełni w nowym gmachu YMCA w Krakowie, który powstaje kosztem 1 miliona złotych. Dotknięta najmniej wojną, Czechosłowacja trzyma obecnie prym w organizowaniu nowoczesnych YMCA. W siedmiu miastach budują się obecnie gmachy typu Amer. YMCA, przystosowanego do wymagań miejscowych. W Pradze gmach kosztować będzie 1 milion dolarów; większość funduszów dostarcza społeczeństwo miejscowe. Typ Amer. YMCA przyjmuje się

coraz bardziej w Europie, z uwzględnieniem każdorazowo psychologii danego narodu. Podstawową cechą działalności Amer. YMCA jest wprowadzenie w życie tak zwanego czterostronnego rozwoju istoty ludzkiej, a więc umysłowego, duchowego, fizycznego i społecznego. Warsztatem dla tej pracy jest specjalnie na ten cel zbudowany gmach, położony w centrum danego miasta, by móc

wybitnie zaznaczyć się w jego życiu.

Wyżej wspomniane trzy kontynenty nie wyczerpują bynajmniej Zakresu pracy YMCA. Są one tylko terenem moich podróży. Y. M. C. A. znaleźć można w każdym



Warszawa Grupa czynnych członków Y. M. C. A.

większym kraju całego świata. Czy się pojedzie do Konstantynopola, Kairu, Jerozolimy, Kapetownu, Buenos-Aires, Melburnu, czy Honolulu — wszędzie znajduje się Związek YMCA, cieszący się poparciem młodzieży danego kraju.

Jest to bractwo wszechświatowe — w najszerszym tego słowa znaczeniu, nie kontrolowane przez żaden zarząd centralny — lecz złączone w Związku Wszechświatowym, i pracujące wszędzie z jednakim celem — stworzenia męskiego typu Chrześcijanina.

Paul Super.

Dzieje papieru

Napisał

Kazimierz Szymański

Papier, produkt poważnego przemysłu fabrycznego, ogólnie rozpowszechniony i znany pod najrozmaitszymi postaciami, głównie zastosowanie ma jednak, jako materiał do pisania i druku i jako taki jest bardzo ważnym czynnikiem nie tylko historii kultury, lecz i jej rozwoju.

Pismo znane jest od niepamiętnych czasów; władcy egipscy, panujący w pierwszej połowie czwartego tysiąca lat przed Chrystusem, posiadali już domy pism, czyli biblioteki i utrzymywali bibliotekarzy, którzy nosili miano „Murper hat aa, per sesa”, co oznacza „Zawiadowca domu wielkiego, domu pism”, z czego musimy wnosić, że już oni do bogactw swych zaliczali zbiory książek. Biblioteki te jednak składały się nie z książek, jak je dzisiaj pojmujemy, lecz z cegiełek, na których pisano rylcem; cegiełki te po wypaleniu stanowiły jakgdyby stronicę dzisiejszych książek.

Posiłowano się również w tych odległych czasach tabliczkami ze srebra, miedzi, kości

śloniowej i — najmniej trwałymi — drewnia nemi, pokrytymi woskiem. Na tych ostatnich pisano jedynie o sprawach błahych, bądź przemijających.

Najbardziej zbliżonym do naszego papieru był papyrus, wyrabiany z liścia rośliny tejże nazwy, rosnącej na brzegach Nilu. Jest rzeczą, nie podlegającą wątpliwości, iż używano go do pisania i rysowania w Egipcie przed Nar. Chr.

Następnie w różnych krajach używano dla tychże celów produktów roślinnych, bądź zwierzęcych np. kory drzewnej, przeważnie brzoźowej, tabliczek z trzciny bambusa, łuski rybiej, pancerza żółwia i t. p. Utwory Homera np. pisane były na błonach kiszko-
wych.

Nie za dłuго przed erą chrześcijańską poczęto używać pergaminu, wyrobianego ze skóry drobnych zwierząt.

Widzimy z tego, że we wszystkich krajach przez wszystkie wieki ludzie poszukiwali materiału, który pozwoliłby im utrwalić słowo i że wynalezienie sposobu wyro-



Rys. 1. Japońska fabryka papieru w IX w.



Znak wodny
z r. 1727

bu papieru należy do epokowych odkryć.

Papier taki, jakim my go znamy, poczęli wyrabiać Chińczycy około 105 roku przed Nar. Chr. Używali do tego mło-

dych pędów bambusa, gnojąc je na miazgę w dołach i wyrabiając papier ręcznie. Japończycy przejęli ten wynalazek od Chińczyków i ulepszyli go, wyrabiając papier z kory rośliny Kodzu (Broustonetia papyrifera). Papier ten, jako bardzo mocny, cienki i trwały, znany jest i wyrabiany dotychczas.

Dopiero w VIII w. po Nar. Chr. umiejętność wyrobu papieru przeszła z Chin do Persów i Arabów. W 794 r. w Bagdadzie była urządzona pierwsza „fabryka papieru”, w której jednak całą „fabrykację” wykonywano ręcznie.

W IX w. Maurowie przenoszą tę umiejętność do Hiszpanji, skąd stopniowo przechodzi ona do Europy Środkowej.

Arabowie pierwsi wprowadzili wyrób papieru z włókien starych tkanin, głównie lnianych, t. j. szmat.

Być może jednak, iż sposób ten przejęli oni od Chińczyków, którzy, jak wskazują pewne ślady, już pomiędzy II w. przed Chrystusem a III po Nar. Chr. wynaleźli sposób wyrobu papieru z łyka, konopi i gałganów. Arabowie też pierwsi w XII wieku



Marji

Znak wodny z wizerunkiem
Marji córki Fryderyka Hesen
Cassel

używali do gniecenia miazgi papierowej masy, podobnych do żaren młynskich, obracanych

ręcznie, a nawet zaczęli posiłkować się siłą wodną.

Następnie Włosi wiele przyczynili się do ulepszenia w wyrobie papieru; pierwsi zaczęli go ozdabiać znakami wodnymi, wprowadzili klejenie papieru

za pomocą kleju zwierzęcego i t. p.

W Europie Zachodniej rozwój papiernictwa datuje się od chwili wynalazku druku.

Wiekі całe wyrabiano papier ręcznie, jak to widzimy na rycinie I, przedstawiającej japońską fabrykę papieru. Na dalszym planie jeden z robotników z ściągniętą cierpliwością rozrabia papkę papierową metalowym narzędziem, podobnym do kijanki;

następnie papkę tę, odpowiednio rozproszoną w wodzie, czerpią sitkami robotnice. Woda przecieka przez sito, włókienka, przeplatając się między sobą, osiadają na dnie sita, tworząc jakby mokry arkusz papieru, który następnie pokrywa się także wielkością kartkami filcu i przyciska do masy papierowej. Pod ciśnieniem filcu woda energiczniej wycieka z arkusza, a sam arkusz przylega do filcu i razem z takim wyjmujemy się z formy i wreszcie zawieszamy dla przesuszenia, co uwidocznione jest na lewej



Dawny holenderski
znak wodny



Rys. 2. Ulepszona fabryka papieru w Niemczech

stronie ryciny. Z prawej widzimy gotowe bele papieru, wynoszone na sprzedaż.

Rycina Nr. 2 przedstawia ulepszoną już fabrykę papieru w Niemczech. Widać tam za oknem koła wodne, poruszające stęporę do gniecenia papki papierowej; widzimy też prasę śrubową, służącą do wyciskania wody z mokrych arkuszy papieru, celem przyspieszenia ich wysychania.

Epoką w dziejach papiernictwa było wynalezienie w 1670 r. hollendra, t. j. młynka papierniczego, co usunęło potrzebę ręcznego rozdrabniania włókna, jak również zapomocą stęporów, które okazały się niepraktycznymi.

Papiernie takie były dościszyć rozpowszechnione we wszystkich krajach, a i niektórzy nasi magnaci mieli też młyny papiernicze, dla swego wyłącznego przeważnie użytku.

Ze wzrostem jednak piśmiennictwa i rozwojem handlu ręczna produkcja nie mogła nadążyć zapotrzebowaniom papieru.

Toteż w myśl starego przysłowia „potrzeba jest matką wynalazku“, w końcu XVIII w. Francuz, Louis Robert, wynalazł pierwszą maszynę papierniczą, wyrabiającą mechanicznie arkusze papieru, co było przewrotem w papiernictwie, usuwało bowiem powolność ręcznego czerpania masy papierowej.

Długi czas głównym materiałem do fabrykacji papieru były szmaty; z rozwojem jednak papiernictwa okazało się, iż ilość szmat jest niedostateczna, co wywołało potrzebę poszukiwania surogatów. Jakoż w połowie XIX w. (1840 r.) poszukiwania te zostały uwieńczone wynalezieniem sposobu stosowania drzewa tartego w charakterze materiału włóknistego; niedługo zaś potem (1853 r.) wynaleziono sposób preparowania drzewa chemicznie i zaczęto wyrabiać t. zw. celulozę, której włókna posiadają własność



Młyn papierniczy z XVII w.

zbliżoną do lnu, bądź bawełny w zależności od systemu jej preparowania. Z chwilą wynalezienia celulozy datuje się ogromny rozwój przemysłu papierniczego.

Powstają fabryki, budujące tylko maszyny dla papiernictwa; prześcigają się one w ulepszeniach tych maszyn i dochodzą w ciągu niespełna stu lat do budowy olbrzymich maszyn papierniczych, produkujących 50—75 ton papieru na dobę przy szerokości taśmy papieru 5 metr. i szybkości taśmy do 250 metr. na minutę.

Przemysł papierniczy osiągnął najwyższy rozwój w Niemczech; jest tam obecnie około 800 papierni i kilkadziesiąt fabryk, wyrabiających wyłącznie maszyny dla papiernictwa i sprzężaj, t. j. filce i sita do maszyn papierniczych.

Francja posiada około 330 papierni, Anglja 250, Rosja przedwojenna wraz z Król. Polskiem posiadała około 200 papierni i jedną fabrykę maszyn dla papiernictwa (w Rydze).

U nas, niestety, przemysł papierniczy jest jeszcze w niemowlęctwie. Posiadamy w b. Kongresówce 15 papierni, w Małopolsce 4 i Wielkopolsce 1 powstałą już po wojnie.

Obecnie przemysł papierniczy opiera się



*Znak wodny
z r. 1321*

*Holendry*

zasadniczo na trzech surowcach: szmacie, masie drzewnej i celulozie (drzewnej i słomowej).

Z wyżej wspomnianych surowców, które otrzymuje papiernia, niektóre wymagają kłopotliwych zachodów, zanim można je zacząć rozcierać na włókno w holendrze.

Dotyczy to głównie szmat, które przychodzą do papierni w stanie ostatecznego zbrukania i zaśmiecenia.

Szmaciarnia w papierni to jakby fabryka w fabryce. W niej to szmaty podlegają sortowaniu na wiele, gdyż do 40 i więcej gatunków; gotowaniu w kotłach parą pod ciśnieniem z domieszką sody kaustycznej, bądź wapna, następnie płókanu i częściowemu rozdrabnianiu w specjalnych holendrach. I, jako ostatni etap przygotowawczy, odbiera się szmaty roztworem chlorku wapnia.

Otrzymany tym sposobem półfabrykat podobny jest do waty o grubych włóknach.

Celuloza otrzymywana jest zwykle w stanie gotowym do przerobu, niekiedy jednak dobiela się ją, gdy białosc jej jest niedostateczna do wyrobu pewnych gatunków papieru.

Zadaniem papiernika jest rozdrobienie włókien surowca bądź półfabrykatu do takiego stopnia, aby, rozrzedzone w wodzie, tworzyły możliwie jednolitą papkę czyli masę papierową.

Do tego celu służą specjalne maszyny różnych systemów i rodzajów, z których najbardziej używaną i nieodzowną jest omówiony już holender.

Do holendrów przeto, służących do ostatecznego przygotowania masy papierniczej, po zapelnieniu ich surowcem bądź półfabrykatem, podczas mielenia, gdyż holender można nazwać młynem papierniczym, dodaje się różne niezbędne chemikalia np. klej (mydło żywiczne), alun, dla stracenia żywicy, farby i t. d. Papier, do którego nie dodano kleju w dostatecznej ilości, jest niezdatny do pisania; atrament rozlewa się na nim i przesiąka na drugą stronę; przeto papier listowy i wogóle przeznaczony do pisania musi być dobrze klejony; gatunki zaś papierów drukarskich np. winny być słabo klejone, aby farba drukarska wsiąkała w papier i natychmiast wysychała. Bibuła atramentowa nie może być klejona zupełnie; w prze-

ciwnym bowiem razie nie odpowiadałoby swemu przeznaczeniu.

W holendrze przygotowuje się masę wdl. recept dyrektora i miele się ją według jego wskazówek. Jest to bardzo odpowiedzialne i trudne zadanie, wymaga bowiem tylu odcieni, ile istnieje gatunków papieru, a tych jest setki.

Gdy masa jest gotowa, wypuszcza się ją z holendra do wielkich kadzi przy maszynie papierniczej, skąd mechanicznie, specjalnymi czerpakami, wylewa się ona równomiernie na maszynę papierniczą.

Widzimy przeto, iż czynności holendra zastępują pracę japończyka (rys. 1), który tłucze miazgę papierową jakimś narzędziem, podobnem do kijanki.

Zadaniem zaś maszyny papierniczej będzie stworzenie i wysuszenie arkusza papieru, jak to czynią japonki, czerpiąc sitkami masę i susząc arkusz na słońcu.

Maszyna papiernicza jest narzędziem nader skomplikowanym, opisać jej więc dokładnie w tym artykule niepodobna. Składa się ona z dwóch zasadniczych części: tak zwanej mokrej i suchej.

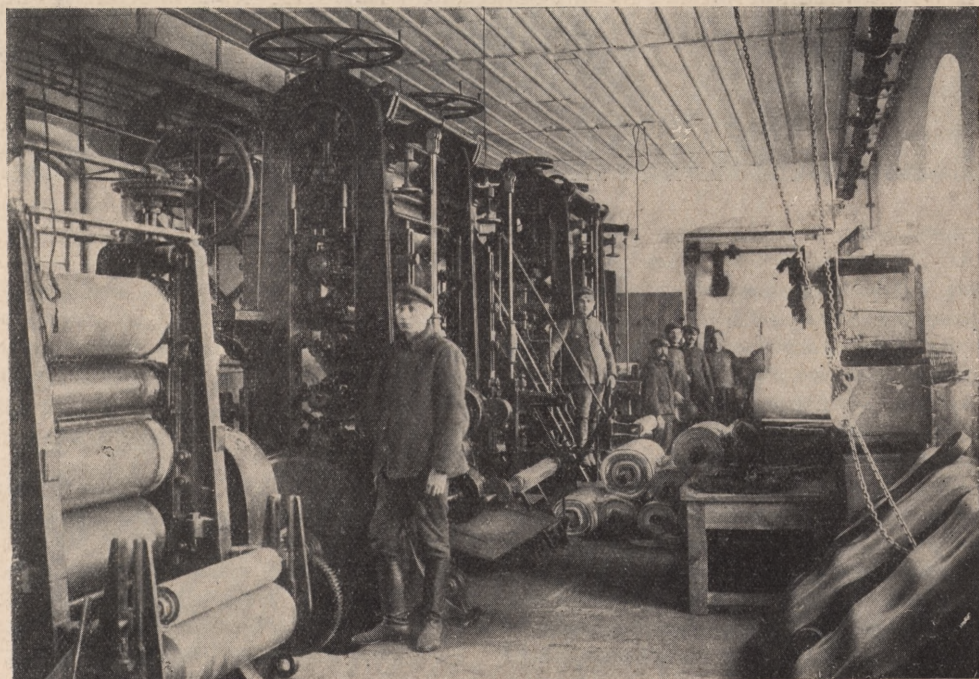
Mokra część składa się z sita bez końca w ciągłym ruchu, jak pas transmisyjny. Na sito to wylewa się bardzo równomiernie odpowiednio rozrzedzoną masę papierniczą, z której woda stopniowo odcieka, a włókna, osiadając na sicie, przeplatają się ze sobą, tworząc jakgdyby rozmoczoną szeroką taśmę papieru.

Taśma ta, prowadzona przez odpowiednie filce, przechodzi przez szereg pras, jakgdyby ogromnych wyżymaczek, ażeby w końcu trafić do drugiej części maszyny papierniczej, t. zw. suchej.

Część sucha składa się z szeregu walców, t. zw. cylindrów, napelnionych parą, których zadaniem jest wysuszyć taśmę papierową ostatecznie.

Z maszyny papierniczej papier wychodzi w postaci taśmy odpowiedniej szerokości do 5 met., która nawija się, po opuszczeniu cylindrów suszących na odpowiednie kołowroty i tworzy role.

Po opuszczeniu maszyny papierniczej papier przechodzi do apretury. Najważniejszym zadaniem apretury jest nadanie połysku papierowi, t. zw. satynowanie, o ile papier



Oddział kalandrów do satynowania papieru

nie ma specjalnego przeznaczenia, gdzie wymagana jest chropowatość, np. w papierze rysunkowym.

Papier, który ma być satynowany, zwilża się odpowiednio podczas nawijania na role (tak zupełnie, jak postępujemy z bielizną przed prasowaniem) i poddaje działaniu wygładziarki, t. zw. kalandra, gdzie papier pod ogromnem ciśnieniem przechodzi przez sze-

mağa bowiem układania arkuszy pomiędzy płyty i przepuszczania ich przy wielkiem ciśnieniu pomiędzy wałami odpowiedniej maszyny.

Należy jednak odróżnić od filigranów znaki wodne, t. j. rysunki lub napisy, które widzimy dokładnie, patrząc na papier pod światło, a które znamy wszyscy z banknotów. O ile filigran podrobić jest stosunkowo nie-



Pakowanie gotowego papieru

reg wałów polerowanych stalowych i papierowych na przemian.

Apretura, prócz satynowania, ma inne jeszcze zadania — np. linjowanie papieru, wyciski, t. j. filigrany, jakie najczęściej widzimy na bibułkach papierosowych, również na papierach imitujących płótno, kość słoniową, słoje drzewne i t. p., a które otrzymuje się zapomocą wyciskania bądź to przez wały odpowiednio grawerowane, przez które przewija się papier, bądź też zapomocą sprasowywania papieru pomiędzy płytami metalowymi i tekturowymi, lub kauczukowymi, na których uwypuklone są dane desenie bądź napisy.

Ostatni sposób jest bardzo kłopotliwy, wy-

trudno, gdyż można go zrobić, mając odpowiedni stempel, na każdym gotowym już papierze, o tyle niełatwo jak podrobić znak wodny, który wyciska się podczas samego tworzenia się papieru, w mokrym jeszcze stanie, t. j. na mokrej części maszyny papierniczej.

Do tego celu służy t. zw. Egoutter; jest to lekki ażurowy walec, obciążony siatką metalową, na której wyszyty jest bądź nałożony odpowiedni deseń lub napis. Walec ten toczy się po mokrej jeszcze taśmie papieru na sicie i wyciska, jakby drukuje, znak, który ma na sobie. Pod ciśnieniem uwypuklonego rysunku, włókienka masy papierowej rozstępują się nieco, i tworzy się w

tych miejscach cieńsza warstwa masy, co już pozostaje w papierze i jest przyczyną przeświecania.

Aby podrobić znak wodny, musiałby fałszerz wejść w porozumienie z fabrykantem egoutterów i fabrykantem papierni, co jest niemal niemożliwym, dlatego wszystkie banknoty powinny być zaopatrzone w znaki wodne. Fałszerze banknotów starają się naśladować znaki wodne zapomocą filigranu lub poprostu robiąc deseń tłuszcem, lecz nawet mało spostrzegawczy człowiek potrafi to rozpoznać.

W banknotach przeto, akcjach, papierach wartościowych, znak wodny jest zabezpieczeniem od fałszu.

W zwykłych jednak papierach znak wodny służył i służy, jako upiększenie bądź sygnum danej papierni.

Po opuszczeniu apretury pozostaje już tylko pokrajać papier na arkusze, wysortować, zapakować i w rezultacie sprzedać, co jest też niełatwa zadaniem.

Z trzech zasadniczych surowców, o których wspominaliśmy wyżej, szmaty używa się głównie do wyrobu bibułek papierosowych, papierów banknotowych i bibuły atramentowej, najgorsze zaś gatunki szmat służą do wyrobu papierów opakunkowych.

Celuloza służy głównie do wyrobu papierów kancelaryjnych i listowych, niekiedy z domieszką szmat.

Masa drzewna jest głównym składnikiem papieru gazetowego częstokroć opakunkowego i, niestety, w wielu razach, drukowego, używanego do druku książek.

Obecne zużycie papieru w Niemczech np. wynosi do 25 kg. na jednego mieszkańca, u nas jednak nie przekracza 5 kg. papieru na mieszkańca rocznie.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że o stopniu kultury narodu świadczy ilość zużytego papieru — te dane powyższe muszą wywołać bardzo smutne refleksje.

Pocieszającami są one jedynie dla prze-

myślowców i papierników, świadczą bowiem o tem, jak wielką przyszłość ma u nas papiernictwo, jak wiele jest do zrobienia w tej dziedzinie. Zaczynając od maszyn do wyrobu papieru, sita, filce, częściowo celulozę — wszystko to sprowadzamy z zagranicy. Sprowadzamy też i niektóre gatunki papieru, które kalkulują się taniej, niż wyprodukowane u nas. A nie można powiedzieć, aby papiernie nasze były zabezpieczone przez zamówienie; przeciwnie — wielokrotnie nawet zatrzymują częściowo swą fabrykację z powodu braku zamówień!

Wydaje się przeto paradoksalnym fakt sprowadzania papieru z zagranicy, ma on jednak swe przyczyny.

Główną jest właśnie małe zapotrzebowanie papieru w kraju! Dlatego nie może powstać dostateczna ilość papierni, które mogłyby się wyspecjalizować w pewnych tylko

gatunkach papieru, co znacznie podwyższyłoby produkcję fabryk i naturalnie wielce obniżyło koszt fabrykacji.

Ilość gatunków papieru jest o-

gromna, ale ilość poszczególnie pewnych grup zbliżonych gatunków, w zapotrzebowaniu jest zbyt nikła, aby mogła dać możność naszym papierniom specjalizować się w danych gatunkach.

Zagranica, mając ogromne zapotrzebowanie własne, ma i odpowiednio wielką ilość fabryk, jest więc w innem położeniu. W specjalizacji swej dochodzą fabryki zagraniczne do maksimum produkcji przy minimum zużycia droższych surowców, a gdy dodamy do tego większą wydajność robotnika, tańsze filce, sita, wszelkie maszyny, gdyż wyrabiane na miejscu, to rzeczywiście konkurować nam z zagranicą trudno.

Kapitałiści mało interesują się papiernictwem, rząd niemal wcale. A jest to wielkim błędem, gdyż bez słowa pisanego współczesny człowiek istnieć nie może.

Z podniesieniem jednak oświaty i czytelnictwa, zmieni się ten stosunek bezwzględnie.



T. zw. egoutteur, wałek do tłoczenia znaków wodnych

Republika Wróbli

Napisał

B. Szarlitt

Któż z nas nie przypatruje się chętnie temu uskrzydłonemu andrusowi, jakim jest wróbel, gdy na ulicach z niesłychaną bezczelnością hałasuje, klóćąc się bezustannie z braćmi swymi, gdy zasiada sobie wszędzie, gdzie mu się podobą i umie z podziwu godną szybkością usunąć się w ostatniej chwili z szyntramwajowych, kiedy taki „Mont-blanc”, jak wagon, zdawał się go już miażdżyć? Nieznosny, bo nieznosny i to dość często, zwłaszcza gdy zbyt wczesnym rankiem budzi nas z najlepszego snu, rozpoczynając kłótnie pod oknami naszymi, jak przekupki, kiedy się na targu schodzą. Ale mimo to lubi się go, właśnie dla jego cech „cygańskich”, dla „ optymizmu, z jakim traktuje „życie”, jednym słowem dla andrusostwa, przypominającego tak żywo ludzkie „wydanie” tego typu.

I kto by uwierzył, że z takiego nicponia może stać się twórca prawdziwej „republik”, w której wiedzie żywot pocziwego oby-

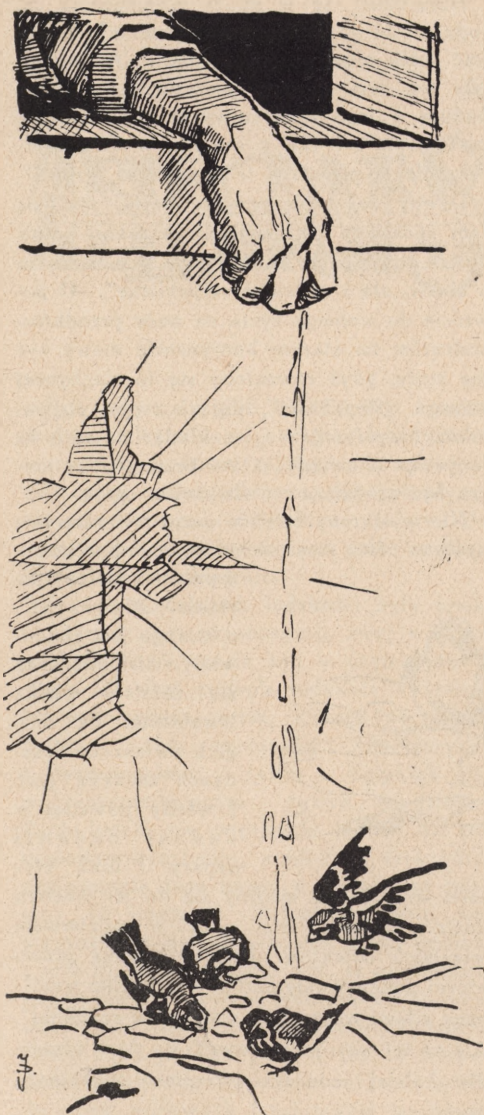
watela? A co więcej, że ten bezdomny włóczęga, który na noc do cudzych wkłada się gniazdo, potrafi wybudować sobie istny pałac, zdumiewający kunsztownością swej architektury. A jednak jedno i drugie jest prawdą. Tylko ażeby się tak do niepoznania zmienić, musiał nasz andrus uskrzydłony pójść śladem licznych nicponiów ludzkich naszego kontynentu i „wymigrować” za morze.

Jak niejedno „złe ziółko” europejskie, dostawszy się pod inną strefę, ku zdumieniu dawnych swych znajomych,

przeistacza się tam w „porządnego człowieka”, tak wróbelek, wymigrowawszy Bóg wie kiedy, z Europy na Przylądek Dobrej Nadziei, przemienił się w swej nowej ojczy-



Gniazda wróbli w Afryce



źnie na zupełnie inne stworzenie. Bodźcem zaś tej metamorfozy było darwinowskie „struggle for life”, ta niesłychanie ciężka walka o byt, w porównaniu z którą kontynent nasz był dlań prawdziwym eldorado.

Tam bowiem zetknął się z strasznymi wrogami, o których istnieniu mu się w Europie nie śniło. Gdy u nas najwyżej kot od czasu do czasu dawał mu się we znaki, w Afryce zagrażały bytowi jego w sposób wprost tragiczny takie potworne stworzenia jak — wąż i małpa. Daremnie podwajał biedny

wróbł przysłowiową pilność swoją w rozmnażaniu się. Wrogowie okazali się silniejszymi, nie „dziesiątkując” ale już wprost wyniszczając ród wróbli. I zdaje się, że w chwili, kiedy zrozumiał, że chodzi tu naprawdę o hamletowskie „Być albo nie być”, ex-andrus europejski odkrył w sobie zasób inteligencji, o którym w starej ojczyźnie nie miał pojęcia.

Bo oto padł na niesłychanie genialny pomysł. Przekonawszy się, że jako jednostka skazany jest na zagładę, wyzbył się przedewszystkiem swej kłótlivej natury i stworzył istną „republikę”. „W jedności siła” — stało się jego hasłem, dzięki któremu w dalszym ciągu okazał się silniejszym od węża i małpy.

Jakimżto sposobem powstała ta jedyna w swoim rodzaju republika? Wcześniej zdaje się niż u Bellamy’ego, autora głośnej książki „W roku 2000-ym”, zrodziło się w głowie wróbla pojęcie „falansterjum” t. j. wspólnego mieszkania dla wszystkich. Oddzielne gniazdko dla każdego wróbla nie przedstawiało żadnej pewności wobec straszliwych wrogów. Należało więc wspólnymi siłami wybudować jedno olbrzymie wspólne gniazdo, które jednak pod względem materiału, zgola się różnić musiało od prastarego typu europejskiego. Jak Amerykanie odbiegli zupełnie od sposobu budowy domów na naszym kontynencie i stworzyli sobie całkiem nowy typ „drapacza nieba”, tak emigrant-wróbł w Afryce zmienił do niepoznania gniazdo swych przodków w Europie, zbudowawszy sobie między gałęziami drzewa — olbrzymich rozmiarów — słomianą strzechę, która na pierwszy rzut oka robi wrażenie dzieła ręki ludzkiej. (rycina 1a).

Najważniejszym zaś momentem w tej budowlu był „materjał”, t. j. słoma, gdyż tylko ona mogła rozwiązać cały problem dalszej egzystencji rodu wróbli w Afryce. O co bowiem chodziło? Jedyne o uniedostępnienie straszliwym wrogom wejścia do gniazda. Chropowate drzewo okazało się zdradliwe, gdyż po niem jeden i drugi wróg bez żadnego wysiłku dostawał się do celu. Ba, gdyby istniały drzewa o gładkiej korze! Ale takich drzew na kuli ziemskiej niema. Gładką natomiast, jak najlepiej wywoskowana posadzka sali balowej, jest pocziwa słoma, znana wróblowi od dawna z tej swej własności, gdyż wyścielał sobie nią gniazdko



swoje. Po niej żadna małpa, ani żaden wąż wspiąć się nie potrafi.

I małeńki dzióbek niezliczonej ilości wróbelków w niezmordowanej, iście syzyfowej pracy znosił dziedzielko po dziedzielku i stworzył z nich cud: wspólną strzechę, pod której bezpiecznym schronieniem znajdują się właściwe gniazda całej kolonii. Ale doczekali się też ci miniaturowi mistrze-budowniczości nie lada triumfów po skończonym z tak niesłychanym nakładem pracy dziele!

Kiedy bowiem wąż z właściwą sobie zdradliwością zakradł się do cudownego „pałacu”, w następnej chwili ku niemałemu zdumieniu swemu zleciał na ziemię. Ten sam los spotkał drugiego wroga, małpę. Gładziutka jak szkło strzecha okazała się dla nich niedostępna. Odtąd rodzina wróbelków mogła sobie spokojny wieść żywot, gdyż jak ongiś rycerze na swych niedostępnych górzyskach zbudowanych zamkach, patrzyła z uśmiechem na daremne wysiłki wrogów.

Naturalnie, że w miarę rozmnożenia się rodu wróblego każda nowa generacja budować sobie musi osobny „pałac”. A dopiero gdy ten jest gotowy, poszczególne rodziny budują w jego wnętrzu swoje oddzielne „apartamenty”. I tak z czasem, w lasach afrykańskich powstają te „republiki wróble”.

Dawny zaś włóczęga europejski stał się tym sposobem na ziemi afrykańskiej solidnym „obywatelem”, dbającym już nie tylko o siebie, ale i o „salus reipublicae”. O powrocie do wolnego życia na wzór przodków-andrusów na starym kontynencie mowy być nie może, gdyż równałoby się to niechybnej śmierci. „Republika”, dająca swym obywatelom bezpieczeństwo, nakłada na nich za to pewne obowiązki, które bezwzględnie muszą być spełniane — dla dobra ogółu.

Nie wystarczy bowiem samo wybudowanie „pałacu”, lecz musi on bezustannie być utrzymywany w należytym stanie. „Materiał”, z którego jest zbudowany, nie odznacza się niestety wielką trwałością. Po długich zwłaszcza deszczach zaczyna gnić i wtedy powstają w cudnej budowli szpary i luki, które



remi wróg łatwo mógłby się do jej wnętrza dostać. Należy więc dbać o naprawianie wszelkich defektów. Jest to żmudna praca, której dokonywanie możliwe jest tylko wspólnymi siłami wszystkich „obywateli republiki”. Ale w tej wspólności wysiłków tkwi właśnie dla każdej jednostki rękojmia spokojnego życia.

Tak to nasz wróbel-andrus w innych warunkach bytu stał się „wzorem cnót obywatelskich”.

TELEGRAF STAROŻYTNYCH

Ilustrował Walczak

Dziś, gdy cały glob ziemski jest opasany drutami telegrafu, gdy w gazetach czytamy o wypadkach, które zaszyły na drugiej półkuli przed kilku godzinami, gdy aparaty radio przenoszą nam dźwięki na tysiące kilometrów, nie moglibyśmy już sobie wyobrazić świata bez telegrafu.

Jednak w dziejach ludzkości były epoki, w których chęć przenoszenia swej woli lub swej myśli nie mogła być w czyn wprowadzona. Ta chęć pchnęła ludzkość w kierunku wynalezienia pisma, którego początki u Sumirów i ich następców Asyryjczyków i Babilończyków, a także u Egipcjan giną w nieprzeniknionym mroku pradziejów. Duch ludzki nie poprzestał jednak na tym doniosłym wynalazku; szedł dalej, szukał dróg przenoszenia tego pisma z miejsca na miejsce. Tu wyzyskał instynkt gołębia, jego przywiązanie do miejsca. Już gołąb wysłany z arki Noego świadczy o tem, że od zamierzonych czasów używano tych ptaków do porozumiewania się. Mamy wiadomości o tem, że Grecy znali pocztę gołębią na 5 wieków przed naszą erą. Rzymianie używali gołębi do celów wojennych (zachowanie łączności). Arabowie udoskonalili ten sposób porozumiewania się i jeszcze do XV w. spotykamy się w Azji i w Egipcie z regularną pocztą gołębią.

Nie możemy tu jeszcze mówić o telegrafii w pełnem znaczeniu tego słowa, czyli o piśmie na odległość. Starożytni znali tylko jeden system telegrafowania — telegraf ogniowy. Już Homer w „Iljadzie” (księga 18 w. 211) wspomina o sygnałach ogniowych. Jedną zaś z epopei po-homeryckich mówi nawet o fałszywych sygnałach ogniowych, rozpalonych przez Naupliosa na Eubei, które

naprowadziły na skały okręty morderców jego syna, Palamedesa. Nauplios jest też uważany przez starożytnych za wynalazcę sygnałów ogniowych. Podczas wojen perskich posługiwali się telegrafem ogniowym i Grecy i Persowie.

W dramacie Ajschylosa „Agamemnon” mamy dowód tego, że już za jego czasów był znany telegraf ogniowy (Ajschylos żył w V w. przed Chr. od 524 do 456 r.). Mianowicie, gdy Koryfeusz (przywódca chóru) pyta Klitemnestry skąd wie, że wczoraj padła Troja, ta mu odpowiada, że wieść ta poszła z góry Idy przez wyspę Lemnos, przez Athos, następnie na południe przez Eubę do Beocji, z góry Kithairon przez przesmyk Istmijski na górę Arachny, a stamtąd do zamku myceńskiego (w nim znajdowała się Klitemnestra).

Jednak ten sposób telegrafowania posiadał jedną wielką wadę. Mianowicie można było za pomocą sygnałów ogniowych przesłać tylko jedną, z góry ułożoną, depeszę. Jednak już pisarz, zajmujący się sprawami wojskowymi, Eneasz Tachims, piszący w IV w. po Chr., podaje system przesyłania depesz różnej treści. System ten jest bardzo prymitywny i przedstawia się następująco:

Zostają przygotowane dwie jednakowe beczki cylindryczne. Następnie dorabia się do nich przykrywy niebardzo ściśle przylegające. W środku tych przykryw umieszcza się sztabę podzieloną na 24 części. Na każdej z podziałek wypisuje się jakiś najczęściej zdarzający się podczas działań wojennych przypadek np. 1 podziałka: Napadła na nas konnica. 2 podziałka: Atak ciężkiej piechoty i t. d. Jedna z tych beczek zostaje na stacji nadawczej, druga (identyczna) jest na stacji

odbiorczej. Zachodzi potrzeba porozumienia się. Stacja nadawcza daje sygnał świetlny. W beczkach otwierają się korki i woda z nich zaczyna wypływać; poziom przykryw ze sztabami obniża się. W pewnej chwili stacja nadawcza daje drugi sygnał. Beczki zakorkowuje się i odczytuje się napis na przedziałce, która jest na tym poziomie, co brzeg beczki. Ten system telegrafowania mogliśmy nazwać ogniowo-wodnym. Jednak i tu napotykamy wielkie niedogodności. Nie wystarczy wszak wiedzieć, że napadła konnica; należy wiedzieć ile konnicy, kiedy i t. p.; na to telegraf ogniowo-wodny odpowiedzieć nie może.

Wielki krok naprzód zrobili w kierunku udoskonalenia sygnalizacji inżynierowie aleksandryjscy Kleoxenes i Demokleites. Wynalazek ich opisał historyk i strategik Polybios. Píše on mianowicie o takim sposobie sygnalizowania:

Buduje się na górzystym miejscu zębate mury. Jeden z murów posiada 6 wrębów, a drugi 4. Następnie piszemy alfabet w następujący sposób:

1	A	B	C	D
2	E	F	G	H
3	I	J	K	L
4	M	N	O	P
5	R	S	T	U
6	W	Y	Z	

Jeden mur np. lewy będzie oznaczał rzędy pionowe, prawy — poziome.

Chcemy telegrafować np. „Ateny zdobyte”. Zapalamy na prawym murze jedną pochodnię i na lewym jedną. Stacja odbiorcza notuje literę A. Następnie zapalamy na prawym pięć pochodni, a na lewym trzy. Stacja odbiorcza notuje T. W ten sposób telegrafuje się dalej. Na przesłanie tego krótkiego zdania

należałoby zapalić i zgasić aż 70 pochodni, co przy wielkiej już wprawie zajęłoby około godziny czasu. Jednak o wiele więcej trudności nastroczała możliwość telegrafowania tylko na krótki dystans. Wiadomym jest, że z powodu irradjacji (rozpromieniania) światło jednej pochodni można odróżnić od drugiej jedynie na odległość najwyżej 1.000 metrów.

To powodowało potrzebę budowania stacji pośrednich. Był więc powyższy system telegrafowania zależny od terenu (potrzeba miejsc górzystych) i bardzo kosztowny; te dwie przyczyny były powodem niestosowania praktycznego systemu Polybios'a.

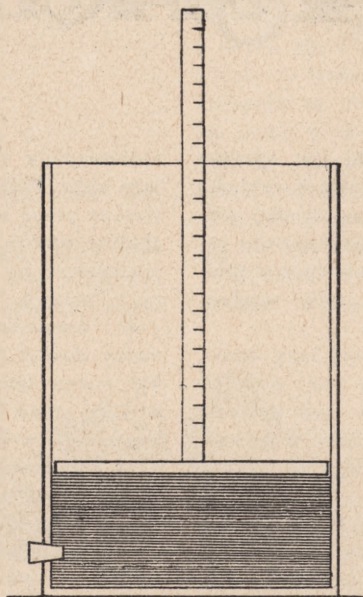
W wieku XVII Niemiec von Clärberg ulepszył system Polybios'a, zastosowawszy doń lunetę, która wówczas była wynaleziona.

Vegetius, pisarz rzymski, wzmiankuje w swem dziele „De re militari” o „telegrafie belkowym”, polegającym na dawaniu sygnałów za pomocą wznieszonej lub opuszczanej belki. Alfabet używany przy tym systemie był podobny do alfabetu Morse'a

(wzniesiona belka—kreska, opuszczona—kropka). Ten system był ulepszony przez Francuza Klaujusza Chappe, który swój projekt telegrafu optycznego przedstawił Zgromadzeniu Narodowemu 22 marca 1792 roku. Telegraf Chappe'go polegał na użyciu 3 prętów (zamiast jednego u Vegebiosa), ustawionych w miejscu widocznym, których kombinacje dostarczały dostatecznej liczby znaków i liter. Według tego projektu zbudowano pierwszy telegraf dla celów praktycznych na linii Paryż—Lille. Na tej przestrzeni zbudowano 20 stacji pośrednich; przesłanie każdego znaku trwało 6 minut.

Ten i podobne systemy były stosowane w początkach XIX wieku, a nawet w 1832 roku otworzono linię telegrafu optycznego Berlin-Kolonja-Trewir.

Zdawałoby się, że w obecnych czasach te-



Beczka cylindryczna z podziałką, używana przy sygnalizacji świetlnej



Basztły sygnalizacyjne w starożytności

legraf optyczny został zupełnie wyparty przez telegraf elektryczny. Jednak we „Frankfurter Zeitung” z dnia 26 sierpnia 1912 roku (Nr. 236, str. 2) czytamy:

„Wielkie przestrzenie, na których obecnie rozgrywają się bitwy, a także wielka nośność dział wymaga ciągłej łączności między wrogiem a walczącymi oddziałami. Służące do tego celu środki techniczne, jak: telegraf zwykły i iskrowy lub telefon mogą stać się nieużyteczne wskutek działań wroga, wad terenu lub niepogody. Z tych powodów stosowany jest również telegraf optyczny, który jest niezależny od terenu, a wpływ wroga jest nań minimalny. Heliograf może być stosowany tylko w dniach pogodnych i słonecznych,

zaś telegraf optyczny ze sztucznym światłem może być stosowany zawsze. Firma Zeiss'a przygotowuje aparaty, za pomocą których można telegrafować w dzień na odległość 25 kilometrów, a w nocy na 75 kilometrów” — „Ein neues optisches Signalgerät”.

Widzimy więc, że idee starożytnych mają zastosowanie w nowoczesnej telegrafii. Jednak wynalazki Sömmeringa (zbudował pierwszy telegraf elektryczny w Monachium w 1808 roku), Gaussa, Webera, Steinheila, Prece'a (pierwsze próby z telegrafem bez drutu w r. 1892) i cud techniki nowoczesnej — radio, wyparły je z szerszego zastosowania.

J. G.

Nowoczesny nurek

Niema chyba na świecie bardziej gorzkiego chleba, niż ten, na który zarabia — nurek. A jednak znajdują się zawsze ludzie, poświęcający się tak ze wszech miar ciężkiemu i niebezpiecznemu zawodowi. Dzięki atoli coraz to większym postępom techniki w dobie naszej, los nurka zaczyna się o tyle poprawiać, że aparaty potrzebne do pełnej grozy, podwodnej pracy, doprowadzono już do doskonałości, umożliwiającej przebywanie w głębinach morskich w warunkach, bez porównania lepszych, niż dotąd.

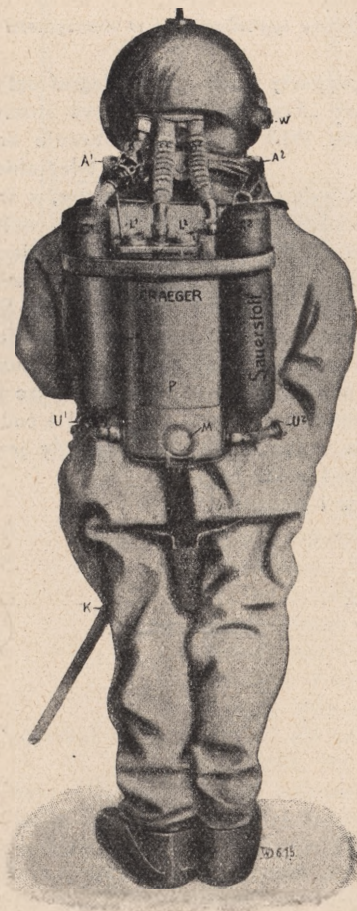
Gdy do niedawna węże gumowe, zapomocą których nurek połączony był ze światłem nadwodnym, pracę niezmiernie utrudniały, dziś używa się aparatu nietylko bez węzów, ale skonstruowanego w tak pomysłowy sposób, że nurek z największą swobodą wykonywać może czynności, które przedtem były nie do pomyslenia. Jak wiadomo, wąż gumowy w dotychczasowym aparacie nurkowym odgrywał rolę najważniejszą; zaopatrywał człowieka pod wodą w powietrze, potrzebne mu do oddychania. Dziś nurek potrafi bez żadnego połączenia z lądem lub okrętem całemi godzinami pracować, a jest mimo to mniej nara-

żony na nieszczęśliwe wypadki, niż dawniej, kiedy to przerwanie się węża gumowego lub inne defekty w aparacie zagrażały wprost jego życiu.

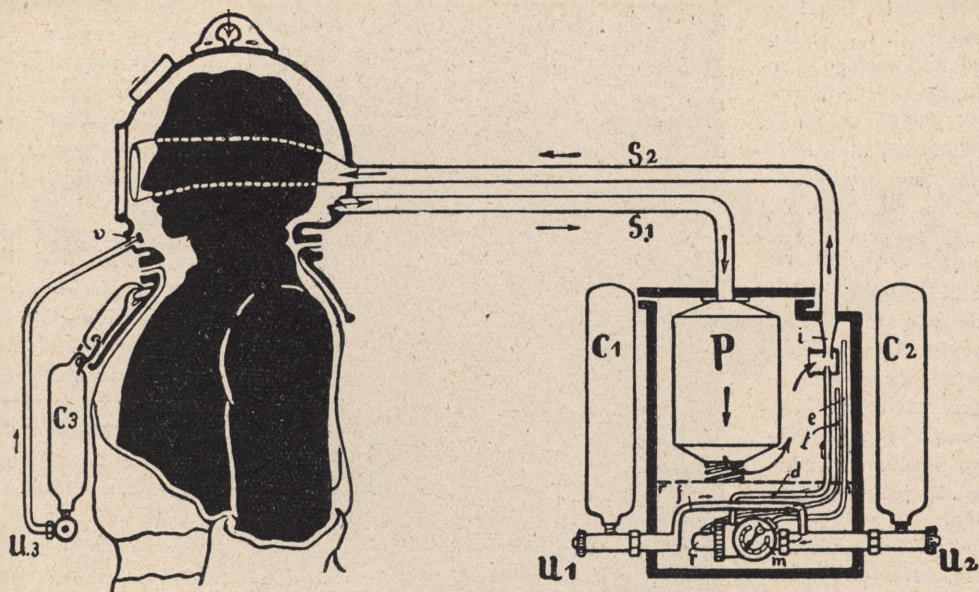
Na czemże polega to udoskonalenie aparatu nurkowego? Przedewszystkiem na umożliwieniu oddychania pod wodą bez żadnego połączenia z światłem nadwodnym. Dzieje się to zaś zapomocą urządzenia na pozór bardzo prostego, w rzeczywistości jednak genialnie obmyślanego. Urządzenie to nosi nurek na plecach, jak żołnierz tornister, a jest ono w ten sposób skonstruowane, że *automatycznie zaopatruje nurka w tlen, wydobywa zepsute, bo przepełnione kwasem węglowym wydychane powietrze, oczyszcza je i napienia na nowo tlenem.*

Na rycinie 1-ej widzimy, jak nowoczesny nurek prezentuje się w swym aparacie. Rycina zaś 2-ga przedstawia schematycznie sposób, w jaki odbywa się oddychanie pod wodą.

Co na rycinie 2-ej przedewszystkiem uderza, to rodzaj puszki, jaką nurek nosi na piersi. Jest to ciężarek, ważący około 15 kilogramów, potrzebny nietylko dla wyrównywania wagi aparatu oddychowego, noszonego na



Rys. 1. Nowoczesny aparat dla nurka



Rys. 2. Jak nurek oddycha pod wodą

plecach, lecz i dla celów o wiele ważniejszych. Służy on mianowicie do zwalczania wywołanego przez ciśnienie wody zgęszczenia powietrza w ubraniu nurka. Oprócz tego „ciężarka”, nosi nurek z tyłu drugi o wadze 12 kilogramów, t. zw. „ogonowy ciężarek”, który przyczynia się nie tylko do wzmocnienia pozycji przy pracy, lecz może być także używany do siedzenia, co ogromnie ułatwia pracę pod wodą.

Do „rynsztunku” nurka należy także — telefon, połączony z kablem. We wnętrzu zaś hełmu znajduje się zegar i manometr dla mierzenia głębi, oba zaopatrzone w świeczące cyferblaty.

Oprócz opisanych udoskonaleń samego „rynsztunku”, technice nowoczesnej udało się jeszcze ułatwić nurkowi pracę nader ciekawym „wehikułem” podwodnym w postaci saneczek. Służą one do szybkiego przenoszenia nurka z jednego miejsca pracy na drugie i są drutami połączone z okrętem, towarzyszącym nurkowi, który może nimi kierować dowolnie i w ten sposób udać się w głąb morza lub też zeń się wydostać w górę. (Patrz rycina 3-cia).

Nic też tedy dziwnego, że wyposażony w tak doskonałe środki pomocnicze, nowoczesny nurek wykonywa prace, o których daw-

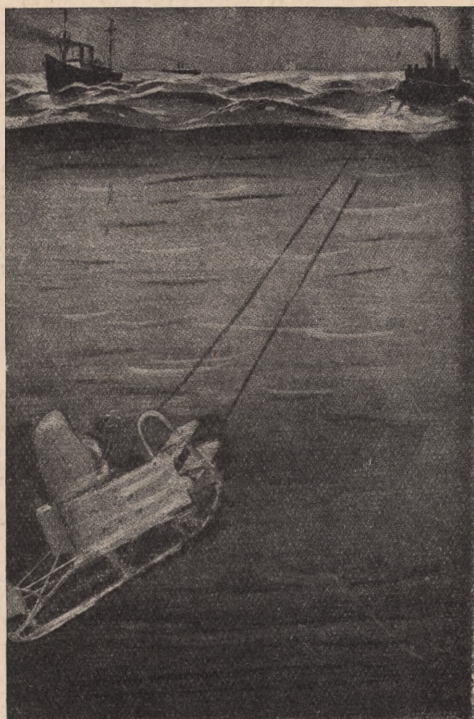
niej nie mogło być mowy. Dostarczyła mu ich zaś wielka wojna światowa w nieznaney nigdy przedtem mierze. Wystarczy przypomnieć sobie niesłychane zbrodnie, popełniane przez niemieckie łodzie podwodne, by mieć wyobrażenie o ilości okrętów, spoczywających na dnie morskiem, których wydobywaniem zajmuje się nurek dzisiejszy.

Mimo wszystkich jednak udoskonaleń technicznych pod jednym względem i nadal nic się nie zmieniło: nurek i dziś zanurzać się może tylko na stosunkowo niewielką głębokość. Powodem zaś tego jest zwiększające się w głębi coraz bardziej ciśnienie powietrza. Według obliczeń ciśnienie słupa wodnego o wysokości 10 m. wynosi 1 kg. na 1 centymetr kwadratowy. Nurek więc, znajdujący się 10 m. pod wodą, znieść musi na każdym centymetrze kwadratowym swego ciała 1 kg. ciśnienia. Im głębiej się tedy zanurza, tem większy staje się dla niego ucisk słupa wodnego. Wprawdzie niektórzy nurkowie potrafią dotrzeć do 100 m. pod wodę, ale udaje im się to tylko przy nadzwyczajnych wysiłkach, przypłacanych często zdrowiem.

Naturalnie, że wydobywanie zatopionych okrętów połączone jest z olbrzymimi kosztami. Opłacają się one jednakowoż, jeśli chodzi o statki pasażerskie, które wiozły za-

pasy złota, kosztowności i t. d., ale często i dla samego okrętu, przedstawiającego wielką wartość. Nie każdy atoli okręt daje się wydobyć z głębin morskich. Zależy to przede wszystkim od jego wielkości i położenia. O ile więc nurkowie stwierdzają niemożliwość wydobywania, ograniczają się do zabrania z zatopionego okrętu wszystkiego, co jest wartościowe.

Jeśli zaś okazuje się, że wydobywanie okrętu jest możliwe, wtedy rozpoczyna się nader ciężka praca, w której główną rolę odgrywają olbrzymie banie z żelaza, wewnętrznie próżne. Banie te zaopatrzone są w wentyle, które otwierają się w chwili zanurzenia, wpuszczając w ten sposób wodę do wnętrza. Z chwilą gdy banie dostają się w głębi morza blisko zatopionego okrętu, przymocowuje się je po obu jego stronach. Gdy to się stało, należy banie na nowo wypchnąć, ażeby mogły podnieść się w górę. Odbywa się to na okręcie towarzyszącym nurkom zapomocą pomp, które wtłaczają zgęsz-



Rys. 3. „Wehikuł” dla nurka

cały wypełniony jest piaskiem, który również musi być usunięty przez nurków. W tym wypadku posługują się oni pompami elektrycz-

nemi, które impuśszczają do wnętrza okrętu silne kaskady wodne, splóskujące nagromadzony piasek.

Jak więc widzimy, chleb na który zarabia nurek, jest niezwykle gorzki. Wymaga on osobnika o nadzwyczajnej odwadze i nerwach „jak postronki”, nie mniej jednak i o sercu ze stali. To



Rys. 4. Opuszczanie „wehikułu” wiozącego nurków

czone powietrze spiralnymi węzami gumowymi do wnętrza bań, wyciskając zeń w ten sposób nagromadzoną w nim wodę. Proceder

ostatnie jest przede wszystkim dlatego konieczne, że oczom nurka przedstawia się na dnie morza często widok jakby z piekła Danta. Sz.

z baniami wymaga atoli, by zanurzać w czasie odpływu, a kiedy woda z przypływem się podnosi, banie, idąc w górę, ciągną za sobą zatopiony okręt.

Im większy okręt, tem większa ilość takich bań jest konieczna. Dla ułatwienia pracy, wypompowuje się także wodę, nagromadzoną w zatopionym okręcie, który staje się przez to znacznie lżejszy. Liczyć się tu jednak należy z defektami, jakie powstały na ciele okrętowym i je przedtem usunąć. Jest to najzmudniejsza czynność nurka, który musi wszystkie luki i szpary zapęłnić specjalną masą gumową. Często okręt

CZAROWNIK



Z SERENGETI PLAIN

Ilustrował K. Sopoćko

Napisał

Edward Mycielski-Trojanowski

Daleko w niebieskich mgłach spowity widniał majestatyczny szczyt Kilimandjaro wiecznym pokryty śniegiem.

Szliśmy śpiesznym marszem, z niewielką garstką ludzi. Dziesiąty dzień dobiegał kresu.

Zwarte lasy bambusów i niebotycznych sikomor, przez które nigdy promień słońca nie przenika, zastygłe lasy eurofobii i buszu zwitego ljanami dawno pozostały za nami, ustępując rozległej sawanie, którą tutejsza ludność nazywa stepem Serengeti.

Przed nami w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, widniała niewielka osada murzyńska, cel naszej podróży

Kilka chat zbudowanych z bambusów, pokrytych trawą i liśćmi muzy tuli'o się do gigantycznych rozmiarów baobabu. Wioska otoczona była częstokołem poprzeplatany gałęziami kolczastych akacyj, który bronił ją od nocnych napadów lwów i hien.

Ujrawszy zbliżającą się karawanę z białym na czele, mieszkańcy wioski zaniepokojeni czy też zdziwieni wyszli na me spotkanie, odpędzając jednocześnie na wpół dzi-

czące psy, które przeraźliwie ujadając, broniły zawzięcie wejścia do wioski.

„Przyszedłem z dalekich stron, by odwiedzić waszego wodza Lananę, i pragnę go poznać”.

Słowa te wypowiedziane przezemnie uspokoiły mieszkańców wioski, którzy ośmielili: pokojowym zachowaniem się naszych, chętnie wskazali nam miejsce dogodne na obóz, gdzie ludzie moi, aczkolwiek strudzeni bardzo długą podróżą, niezwłocznie poczęli się krzątać dokoła rozbijania namiotów i rozpakowania przyniesionych z sobą zapasów.

Wkrótce rozpalono ognisko, do którego miejscowi ludzie chętnie bardzo pomagali na zbierać dREW. Otoczono nas ze wszech stron, przyglądając się ze zdziwieniem przedmiotom, które białe człowiek w głąb Afryki ze sobą przynosi.

Wielka, czerwona tarcza słoneczna, przesyłając ostatni „zielony promyk*”), zsunęła

*) Jest podanie, że ostatni promień słońca w krajach podzwrotnikowych jest zielony.

się za lasy i wzgórza i noc czarna, pełna dziwnych odgłosów i zapachu kwiatów, z niepostrzeżoną szybkością, tak charakterystyczną w krajach podzwrotnikowych, okryła nas swym mrokiem.

Jakby miliony złotych gwoździ wbitych w czarny aksamit załśniły gwiazdy nad nami. W obozie rozpalono ogniska.

Z pobliskiej wioski dochodzą nas odgłosy zwierząt domowych, nawoływania ludzi lub szczekanie psów, którym z dalekich stepów wtóruje przeraźliwy głos hieny i bojaźliwe wycie szakali.

Jeszcze ciemno było na świecie, gdy wyszedłem z namiotu.

W chwilę później pierwsze promienie ozłociły niebotyczny szczyt Kili-mandjaro, który niby wielki wszechpotężny, w niebo zapałszy stos, począł się palić i mienić wszystkimi kolorami tęczy.

Wrażenie jest tak imponujące, tak przedziwne piękne, gdy przez chwilę jedną, a jednakże niezapomnianą nigdy rozgrywa się ta walka ustępującej podzwrotnikowej nocy.

Już wielka czerwona kula słoneczna, wznosząc się z przedziwną szybkością, w całej swej pełni i potędze rzucać poczyna gorące promienie, budząc życie i pijąc rosę z traw.

Pierwsze stada zielonych gołębi zerwały się z pobliskich drzew i pofrunęły w dal.

Po spożyciu śniadania w towarzystwie mego strzelca Hamisi, udałem się do wioski, pragnąłem bowiem jak najprędzej zawrzeć



znajomość ze słynnym z dawnych czasów myśliwym Lananą.

Lanana zamieszkiwał największy w wiosce dom. Na równo i czysto utrzymanym podwórzu spacerowało stadko kur. Dzikie, małeńkie o zielonym upierzeniu gołębie, turkawki i szpaki błękitno stalowe nieomal z



śpiesznym marszem

pod nóg samych zrywały się, by w chwilę potem sięść o parę kroków.

Po ceremonialnym „Jambo” zamienionym ze staruszką, siedzącą na progu, weszliśmy do środka chaty.

W półmroku panującym wewnątrz ujrza-

łem starca, siedzącego na macie, u nóg którego zwinięty w kłębek leżał olbrzymi wąż. Głowę potwora trzymał starzec na kolanach i głaszcząc ją ręką półszepcetem wymawiał jakieś zaklęcia. Przyznaję się, że niezwykle ten widok dziwne zrobił na mnie wrażenie. Starzec ująwszy lekko głowę węża po-

głodził ją i zsunawszy z kolan, powstał, by mnie powitać.

„Nie bój się, wąż ten jest u mnie od lat bardzo wielu i jest moim wiernym przyjacielem. Choć straszna jest jego siła, nic złego tobie nie uczyni — rzekł mi na powitanie.

Usiedliśmy na macie zrobionej z białych i kolorowych włókien palmowych. Wąż zwinęty w głąb leżał spokojnie i nieruchomo opodal, — niekiedy tylko sploty jego pierścieni grubości znacznie większej od ramienia ludzkiego, poruszały się ruchem falistym.

Chwilę spoglądaliśmy na siebie uważnie i z zaciekawieniem, wreszcie, przerywając milczenie, rzekłem:

„Przychodzę z daleka, by ciebie Lanano poznać i prosić, byś mi wskazał to miejsce, gdzie wielkie stada słoni o potężnych kłach odwieczne mają siedlisko, — tam chcę po-

lować. Od mego brata krwi, wielkiego wodza Massai, wiem, że nikt lepiej od ciebie Lanano nie zna dżungli, począwszy od wiecznych śniegów Kilimandżaro, do gór Meru... Ty wiesz wszystko. Wiesz, gdzie są drogi słoni i ich wieczne postoje.

Jeżeli tam mnie zaprowadzisz i uda mi się zabić słonia nagrodzę cię sownie. Mam dużo „amerykano“*) dużo drutu miedzianego, noży i ślicznych paciorków. Dla ciebie to wszystko przyniosłem.

Lanano słuchał uważnie. Długie zapanowało milczenie. Wreszcie, nachyliwszy się w stronę węża, gładzić go zaczął, jakgdyby radzić się go zamierzał co wypada mu czynić lub jakiej żądać nagrody.

*) Amerykano: perkal biały, znany powszechnie towar wymienny w Afryce.



...ujrzałem starca, siedzącego na macie, u nóg którego zwinęty w kłębek leżał wąż

Nareszcie starzec, jakgdyby powziawszy decyzję i skrzyżowawszy ręce na piersiach, odrzekł:

„Nie mogę, ci panie, towarzyszyć i wskazać, gdzie przebywają słonie, chociaż znane mi są ich szlaki, któremi od wieków podróżują, bo gdy po raz drugi wszędzie słonice, muszą być w Maczakos, — tam na mnie czeka wódz białych, który przybywa z Nairobi dla ściągnięcia daniny i dopełnienia sądów. Gdybym rozkazu jego nie spełnił, wielka kara spotkałaby mnie i mój lud“.

„Nie żałuj, Lanano, ja stamtąd idę właśnie, — dziesięć dni szedłem — a ty stary w parę godzin chcesz przejść tę przestrzeń — chyba, że poruniesz jak ptak, chociaż skrzydeł u ciebie nie widzę“.

„Nie, skrzydeł prawdziwych ja nie mam, a jednakże jutro być muszę w Maczakos i będę tam z pewnością — odrzekł Lanano.

Nie pomogły próby i obietnice sutej nagrody.

Lanano uporczywie twierdził, że jutro być musi w Maczakos, gdzie mu się stawić nakazał Brytyjsko - królewski komisarz.

Zły byłem, podejrzuwając, że stary Lana-

na snuł jakąś intrygę, bo przecież niemożliwym było, by 300 z górą kilometrów przebyć mógł w ciągu jednego dnia starzec, który zaledwie powłóczył nogami. Lecz widząc jego upór i niezłomną wolę stawienia się na rozkaz komisarza, opuszczając chatę, powiedziałem mu:

— Słuchaj, Lanano, — tam w Maczakos pozostawiłem część mego obozu, ludzi i strzelby zapasowe pod opieką mego strzelca Abduli z plemienia Somali, — powiedz mu, by tu do mnie przyszedł i przyniósł mi mą broń. — Oczekiwać go będę, — jeżeli jutro wyjdzie z Maczakos, za dni dziesięć najdalej, być tu powinien.

— Dobrze, panie; rozkaz twój spełnię chętnie i jutro powiem Abduli, by szedł do ciebie.

Cały dzień spędziłem w obozie, odpoczywając po znoej podróży.

Zdała od czasu do czasu spoglądałem na wioskę, w której nic szczególnego nie można było zauważyć, i w której życie upływało normalnie.

Mężczyźni wylegiwali się, pozostawiając pracę kobietom, które znosiły paliwo, w wielkich kamiennych garnkach tłukły ziarna sorgo lub pracowały na szambach czyli poletkach obsianych maniakiem i bananami.

Gromadki dzieci zupełnie nagich stałe otaczały mój obóz, przyglądając się nam ciekawie.

W południe, gdy z zenitu, jak ogień padają promienie słońca, życie zda się zamierać. Ludzie i zwierzęta szukają cienia, ptaki chowają się pod rozłożyste konary drzew. —

Jedynie na szalonej wysokości bez ruchu skrzydeł zawisłe w powietrzu, krążą sępy, szukając żeru.

Na drugi dzień, sądząc, że może uda mi się namówić Lanane, postanowiłem raz jeszcze pójść do niego i zanieść mu podarki — przypuszczając, że tym sposobem zachęcę go do towarzyszenia mi w wyprawie na słońce.

Przed chatą ta sama siedziała staruszka. Wejście zasłonięte było szczelnie matą.

Gdym wejść zamierzał, stara, bełkocząc jakiegoś niezrozumiałego słowa, starała się powstrzymać mnie, giestykulując i jak gdyby dając do zrozumienia, że niema pogo zaglądać do środka chaty.

Parę sznurków kolorowych paciorków przełamało upór starej i, odsunawszy zasłonę, stanąłem na progu.

Narazie zdawało mi się, że chata była pusta. Po chwili jednakże, gdy wzrok mój przyzwyczaił się do panującej tam ciemności, oczom moim przedstawił się grozą przejmujący widok...

Na środku z rozwartemi, lecz jakby pokrytymi białym śniegiem oczyma leżał na wznak Lanana. Na gołych pierśsiach wielki czarny wąż spoczywał w krąg zwinięty, paszczą swą dotykając nieomal rozwartych ust starca.

W pierwszej chwili doznałem wrażenia, że mam przed sobą trupa. Z czasem jednakże zdawać mi się zaczęło, jak gdybym zauważył, że pierśsi starca poruszają się nieznacznie i że słyszę od-

dech.

Cofnąłem się. Przed chatą staruszka objętnie przyglądała się paciorkom, które jej przyniosłem. Na wszystkie zadawane pytania otrzymywałem jedną i tę samą odpowiedź, że pan jej „lala”, to jest śpi i długo, długo spać będzie.

Od spotkanych po drodze mieszkańców wioski niewiele więcej mogłem się dowiedzieć. Mówili mi, że czasem starzec zapada w sen kilkudniowy, z którego budzić go nie można. Wąż zawsze jest przy nim.

Więcej powiedzieć mi nie mogli, czy też nie chcieli.

Po postanowiłem jaknajrychlej opuścić wio-



...w uielkich kamiennych garnkach tłukli ziarnka sorgo ..

skę i samemu spróbować odnaleźć słonie, których ślady z czasów pory deszczowej czyli wielkiej masiki często spotykaliśmy.

Niestety, próżne były moje wysiłki. Cztery dni krążyliśmy po okolicy, lecz do upragnionego strzału nie doszedłem. Trzeba było zawracać z próżnymi rękoma.

Zniechęceni niepowodzeniem piątego dnia ruszyliśmy w powrotną drogę na zachód, drogą karawanową, która prowadzi wprost do Maczakos.

W dwa dni później jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem idących na me spotkanie ludzi mych, których pozostawiłem w Maczakos.

Na czele spiesznym krokiem zdążył Abdula z bronią na ramieniu. Na zmęczonej twarzy mego wiernego strzelca malowała się radość, że mnie spotyka.

— Kazałeś mi, panie, zabrać ludzi i broń twoją, którą ci niosę.

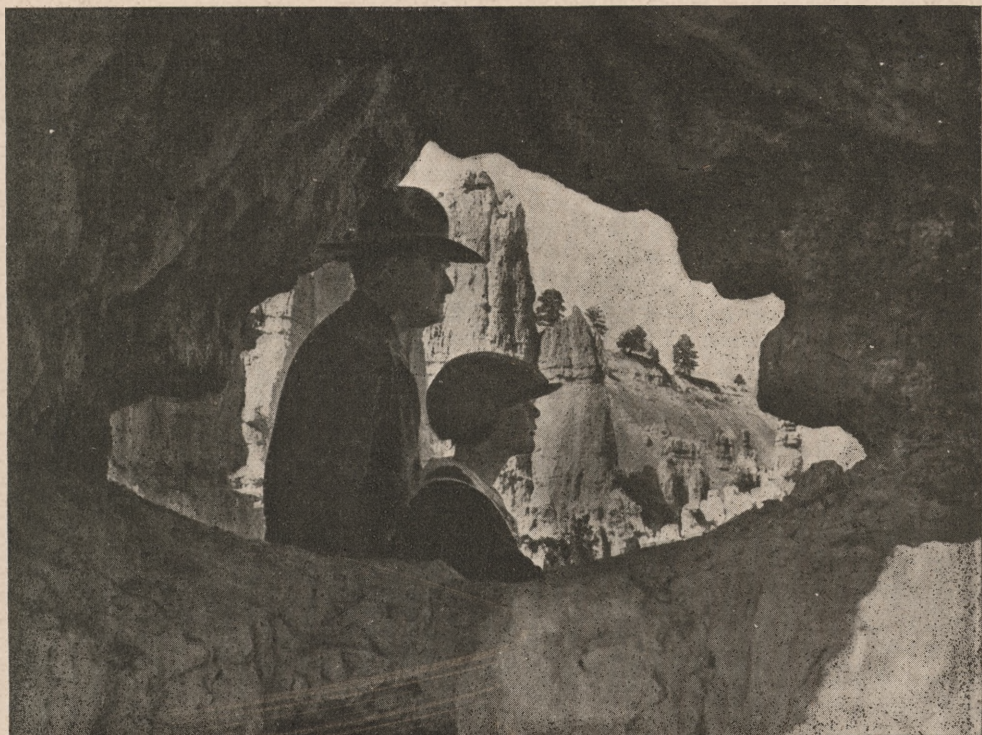
Mówił mi Lanana, że czekasz na mnie.

— Jakto, Abdula, widziałeś Lananę? Czyś ty widział go na własne oczy?

— Tak, panie, ośm dni temu Lanana był w Maczakos, widziałem go tak, jak widzę ciebie...

Stary Lanana dotrzymał obietnicy, danej Królewsko-Brytyjskiemu Komisarzowi!





W krainie gorejących Canyon'ów

(Z cyklu podróży J. K. Strzeleckiego)

Napisała Janina Stefańska

Copyright in Poland by J. Stefańska, All rights reserved, 1925.

*„Touched by a light that hath no name,
A glory never sung,
Aloft on sky and mountain wall,
Are God's great pictures hung”.*

Whittier.

Stacja Grand Canyon! Z bijącym sercem wysiada z wagonu każdy, kto przyjechał tu oglądać te cuda natury. Z okna hotelu co prędzej wychylamy głowy, spodziewając się je natychmiast ujrzeć i sęotyka nas zawód. Czyż te mają być owe słynne doliny grozy

i śmierci — Canyon'y Colorado? Przed nami bowiem, jak okiem sięgnąć, rozciąga się jednostajna, pokryta spiętrzonemi łomami kamieni, płaszczyna. Wzrok nasz szybko się nuży, z niechęcią odwracamy głowę.

Gospodarz hotelu przyzwyczajony jest do rozczarowania turystów, gdyż, uśmiechając się, radzi nam się przespać, pytając, czy ma obstałować przewodnika na wczesną godzinę...

Pniemy się coraz wyżej po męczącej, skalistej pochyłości. Nagle otwiera się przed na-

ni wąwóz... Schodzimy i znowu mamy odmienny obraz: przed sobą widzę szczelinę, rów, lub raczej nader wąski wąwóz, głęboki na kilkaset metrów; tu ściany zdają się już schodzić ze sobą, lecz nie, wąwóz zwęża się tylko, otwierając się głębiej jeszcze, a tam, na samem dnie, przelewa się, kotłuje i rzuca o skały — rzeka Colorado. Zdaje sobie sprawę z nieudolności opisu. Brak mi jednak wrażeń na zastąpienie słowa: „wąwóz“.

Dla zwykłego śmiertelnika, nie-geologa, wąwóz — to raczej coś miękkiego, o łagodnych pochyłościach zboczów. Jakżeż więc takim mianem nazwać szczelinę wąską, głęboką na 1000 przeszło metrów, która powstała, chyba, w ten sposób tylko, że jakiś rozścieczony demon, któremu wzbroniono drogi do piekła, potężnymi pazurami rozerwał do dna skorupę ziemską. Jedna jest na to tylko nazwa, nadana przez Hiszpanów: „Canyon“.

A że to sprawa rozszałego demona, widać chociażby z koloru prawie prostopadłych ścian. Myślicie może, że są to zwykle, szare skały? Nie, czerwone, ciemno-czerwone, popstrzone zielonemi smugami, świecące, żarzące się, niby rozpalony do czerwoności marmur. A tam, w tych piekielnych czułościach, uwięziona rzeka. Nie dziw, że miota się, jak wściekła, parszając z gniewu przy zetknięciu się z temi gorejącymi skałami, miota się, gdyż ściśnięta, chciałaby skruszyć te wiezione mury.

Co o tem mówi nauka? Otóż, geologia poucza nas, że woda, płynąc po wapiennych pokładach, rozpuszcza je powoli, żłobiąc coraz głębsze koryta, przekształcając się w doliny, o zboczach mniej lub więcej łagodnych. Warunkiem jednak tworzenia się Canyon'ów jest, aby warstwy rozpuszczalne w wodzie, prześradzane były skałami zwartemi, nierozpuszczalnymi, przepuszczającymi jednak łatwo wodę. Przyczem pokłady te muszą być ułożone poziomo, w przeciwnym bowiem razie, woda, spływając po powierzchni, tworzyłaby zwykle doliny, o charakterze bardziej łagodnym. Jeżeli jednak wyobrazimy sobie, że pod warstwą przepuszczalną, znajduje się druga warstwa, przez którą woda może przesiąkać, sama jednak nie rozpuszczająca się w wodzie, a pod nią trzecia warstwa, odpowiadająca charakterem pierwszej, to przeciekająca przez drugi pokład woda podmyje go, a ten, utraciwszy w ten sposób oparcie,

pięknie, tworząc brzegi prostopadłe. Możliwe jest zresztą i nieco odmienne uwarstwienie przy tworzeniu się canyon'ów. Praca wody, czyli erozja, jest niekiedy tak silna, że odsłania najstarsze formacje. W danym przypadku więc, kambryjskie łupki, wapień z epoki węglowej, oraz niektóre formacje permu i triasu.

A teraz, proszę sobie uprzytomnić, że Colorado ma swoje dopływy większe, do których znowu wpadają pomniejsze potoki. Tworzy się więc olbrzymia sieć, która podobnie do głównej rzeki, wyżyłbiła sobie własne łożyska, coraz bardziej zapadając się w ziemię, tworząc cały podziemny świat. Podziemny, nie tylko dlatego, że niekiedy brzegi wąwozu prawie że schodzą się u góry, nie dopuszczając promieni słonecznych, ale również i ze względu na niejednokrotne zagłębianie się pobocznych prądów w długie tunele.

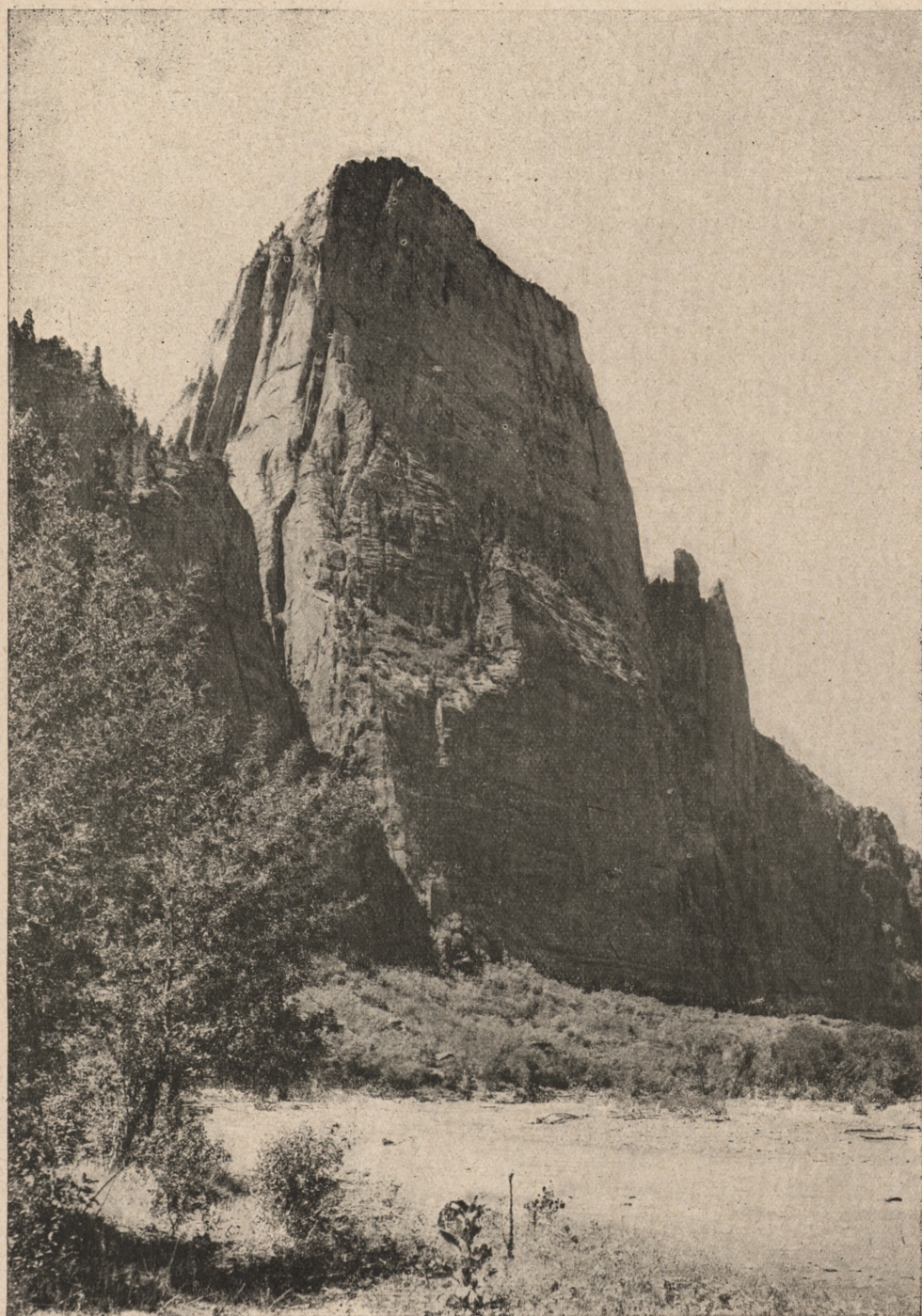
Stało się teraz jasnem, że płaszczyzna, rozciągająca się przed naszym wzrokiem z okna hotelu, jest zorana we wszystkich kierunkach przez sieć dopływów, żłobiących canyon'y tak jednak wąskie, że niewidoczne z pewnej już odległości.

Oto pokrótce wyjaśnienie nauki. Oddamy teraz głos synom tej ziemi — Indianom.

„Przed tysiącami lat żył wielki wódz Indian, panujący nad bogatą, szczęśliwą krainą. Szczęście trwało jednak krótko, gdyż naukochańska żona jego umarła. Dzięki serce wodza oświadczyła nieopisana tęsknota. Modelił się więc i tak długo składał ofiary Wielkiemu Duchowi *Ta-ywoats*owi, że ten dobry Bóg ulitował się nad nim, budując w górach drogę, prowadzącą do Raju. Wielki wódz mógł więc w chwilach tęsknoty odwiedzać swą żonę i cieszyć się nią, gdy sprawy plebienia pozwalały mu się oddalać. Droga to bowiem była daleka. Ażeby zaś inny człowiek nie mógł za życia trafić do raj, *Ta-ywoats* zebrał wszystkie wody ziemi, wszystkie strumienie równiny i wszystkie śniegi gór, napełniając nimi ową wąską drogę. Każdy strumień był zmuszony tworzyć niezliczone skręty i pętle, aby nie stał się drogową kłopotą dla zwykłego śmiertelnika. Utworzył się więc labirynt nie do przebycia — droga bogów“.

Zdaje się, że rajem tym, do którego prowadzi Colorado, jest Kalifornia. Czy nie piękniejsze to wyjaśnienie?

A jedna „tę drogę bogów“ przebyło dwóch



T. zw. „Wielki biały tron”. Zion National Park

śmiertelników. Pierwszy, przypadkowo, ścigany przez Indian, traper; drugi — to wielki geolog amerykański, któremu zawdzięczamy najdokładniejszy opis i zbadanie canyon'ów, profesor major I. Powell.

Pierwszy niewiele widział. A na pytania, w jaki sposób przebył Colorado, stale odpowiadał: „Zapytaj raczej diabła, w którego królestwie przebywałem, w jaki sposób mnie niósł przez to piekło”. Przyczyna dostania się do piekła mniej nas tu obchodzi. Działo się to w r. 1866, a więc w czasach, kiedy Indianie czuli się jeszcze na tej ziemi panami. Jakaś dawna sprzeczka trapera z plemieniem, czy zadawnione porachunki o futra, dość, że gdy traper, Mr. White, znajdował się nad brzegiem Colorado, wyskoczyli Indianie. Mr. White miał swoje racje przypuszczać, że tym razem nigdy już więcej grzebień używać nie będzie miał potrzeby. Może to błahostka, ale, że czuprynę swą musiałby oddać, jak również i swoją skórę, więc nie było co się namyslać, lepiej skakać w piekielną dolinę, z nadzieją zatrzymania się na jakiegokolwiek skale. Tak się też stało. Ale łatwiej skoczyć, niż wydostać się z powrotem. Nie było rady, trzeba było zejść do rzeki. Co dalej? Pozostawać nie można długo, by nie zginać śmiercią głodową. Dwa dni żywienia się mchem przekonały trapera, że pokarm ten nie należy do posilnych. Wspiąć się do góry niepodobna, zostawać też nie. Cóż pozostawało? Płynąć z prądem. Do skleconej z belek tratówki przywiązał się mocno lassem, a potem — z prądem, na wolę Bożą. Mr. White nie płynął najkrótszą drogą! Prąd rzucał go o lewą, to o prawą wypolerowaną ścianę canyon'u. I może szczęściem dla niego, że uderzenie głową o skałę pozbawiło go przytomności, bo ocucił się na wodzie spokojnej, płynącej wzdłuż kwiecistej, zielonej doliny. Wszystko to pięknie, ale oto znów zobaczył Indian, którzy niemniej ciekawie mu się przyglądali. Więc oddać skalp, czy jechać dalej? Strach przed Indianami przemógł, więc dalej w drogę. Jak podróżował traper, opowiedzieć nie umiał, całą bowiem drogę był nieprzytomny. Po trzech tygodniach tej istic djabelskiej podróży, prąd wyrzucił go wreszcie na łąkę przed szałasem „białych”.

Nauka niewiele więc odniosła korzyści z tej podróży. Ale znalazł się drugi człowiek,

który własnowolnie chciał przebyć tę samą drogę. A był nim prof. Powell, znakomity geolog, który zorganizował w tym celu wyprawę. Trzy łodzie — 8 ludzi, równie jak on nieustraszonych.

Podróż zaczął z Green River City, miasta nad „zieloną rzeką”. Nic to, że wszyscy prawie uważali go za szaleńca, nic, że wódz plemienia Mohave groził: „Skały są wysokie, lecz podniosą się jeszcze do nieba, wody spiętrzą się między skałami, łódzie dęba stawać będą, a fale pożrą je. Nigdy nie wrócicie do domów waszych, nigdy matek waszych, żon i dzieci nie ujrzycie! *Ta-uwoats*, Wielki Duch, zniszczy was! Tak mówi wam Pa-ri-ats, wódz wielkiego plemienia”.

W r. 1869 wyruszył Powell na wyprawę. Początkowo była to miła wycieczka po spokojnych wodach, lecz już następnego dnia, skały zbliżają się i nagle wyprawa znalazła się jakgdyby w wąskiej gardzieli, prowadzącej do krętego tunelu. Z największą tylko ostrożnością udaje się wydostać łodziom. Zielona dolina, którą jeszcze przed chwilą płynęli, znikła. Teraz z dwóch stron, stromo wznoszące się skały do 2000 i więcej metrów wysokości. Co za cudowny widok! Tu postrzępione skały, tam smukła wieża, gdzieś indziej znów wspaniała zamek z basztami i murami. A przytem kolor! Wszystkie skały goreją czerwienią! Odpoczynek i dalej w drogę. Profesor Powell, na lżejszej łodzi, kieruje wyprawą. Baczny jego wzrok wyszukuje niebezpieczne prądy, wtem słyszy z wysokości skały głos: „Skały są wysokie, lecz podniosą się jeszcze do nieba...” To Pa-ri-ats przestrzega raz jeszcze. I słusznie, zdaje się. Tu, bowiem, następuje pierwsza przygoda, która mogłaby skończyć się tragicznie. Związane sznurami łódzie odrywają się pod wpływem szybkich skrętów prądu i jedna z nich wpada na kataraktę. Inne, unoszone wirami, nie mogą dać pomocy. Tymczasem jedna z łodzi rozbija się, a trzech ludzi znika w burzliwym wirze. Podobny los zresztą spotyka i samego profesora. Ostatecznie jednak wszyscy są uratowani przez Indian, którzy z Pa-ri-ats'em na czele, idą w ślad, niewidoczni, za wyprawą. Crozba i namowami stara się wódz odwieść Powell'a od dalszej wyprawy, przepowiadając mu śmierć niechybną. Spotyka się jednak z niezłomną wolą uczonego. Nawet podstępny nie udają się, wreszcie Indianie u-



Widok na „East Temple” i „Twin Brothers”. Zion National Park

stępują w obawie przed potęgą „białych braci”, którzy za krzywdę profesora zemściliby się strasznie. Znowu więc wiry, gwałtowne prądy i kaskady. Najczęściej, aby przebyc kataraktę, trzeba było wylądować łodzie, te zaś prowadzić na linach. Z pectoju korzystał Powell najczęściej w ten sposób, że wspinając się możliwie wysoko starał się zdać sobie sprawę z rozmieszczenia i konfiguracji ca-

Po wielu trudach, ekspedycja dopływa do miejsca, gdzie Green River łączy się z Grand River. Wody tej ostatniej są jeszcze obfitsze, to też powstający właściwy Colorado nie się całe masy wód. Indianie słusznie twierdzą, że Wielki Duch zebrał tu wszystkie strumienie ziemi, a nawet śniegi gór. A brzegi canyon'u stają się jeszcze węższe, a nade wszystko gładkie, jak szkło. Poprzednia me-



„Dolna Widm” w Zion National Park

nyon'ów. W pobliżu Colorado ciągnie się szeroki canyon, wyżłobiony przez Yampa, dopływ Colorado. Do niego zbiegają drobniejsze canyon'y, niemniej dzikie i splątane. Wokół olbrzymie piramidy, kominy, mury i baszty. Pole zorane głębokimi bruzdami! W takiej sieci canyon'ów przebywają demony. Całe piekło demonów! Bo oto wystarczy wymówić słowo nieco głośniej, a zaraz skały odpowiadają ci ze wszystkich stron. Tysiące demonów powtarzają twoje słowo; odrzucają je, bawią się nim jak piłką. Niema mowy o tem, by zorjentować się w kierunku, skąd przychodzi głos.

toda przebywania katarakt za pomocą uwiązanych do łodzi lin okazuje się niemożliwa. Ani piędzi ziemi, gdzieby utrzymać się mogła ludzka stopa. Więc wpław. Poprzedni miesiąc podróży, w której zresztą stracono większość żywności, broni i odzieży, był jeszcze rajem w porównaniu z przeprawą przez Colorado: Powell o mało nie stracił tu brata, który wraz ze swym towarzyszem został zniesiony przez prąd do tunelu. W stanie nieprzytomnym wir wyrzucił ich w końcu na mieliznę. Tylko dzięki energii Powell'a udało się wszystkie przeszkody w końcu przezwyciężyć z wielką korzyścią dla nauki. Po-



Photo Union Pacific Rail

Bryce Canyon w stanie Utah

dróż ta trwała trzy miesiące. To i tyleż mie-
sięcy niebezpieczeństw i trudów! To też po
profesorze Powell'u nikt już podobnej podró-
ży nie przedsięwziął.

Opisany powyżej canyon stanowi jeden z
licznych systemów canyon'ów, rozmieszczo-
nych w stanach: Colorado, Arizona i Utah.
Szczególniej w zachodniej części tego ostat-
niego stanu znany jest t. zw. „Cyclopean steps”
z pięknymi górami Wasatch Mountains (11.000
stóp), schodzący do Rio Virge (3.000 stóp),
aby następnie zejść łagodnie w stanie Arizo-
na do kolosalnego łuku Kaibab Plateau (9000
stóp), umieszczonego naprzeciwko Wielkiego
Canyon'u. Te gigantyczne terrasy i płasko-
wzgórza, specjalnie zaś gorejące canyon'y,
nie mają doprawdy równych sobie w świe-
cie. A przytem jest to ziemia, niedawno do-
piero objęta przez cywilizację. Nie tak to od-
ległe czasy, gdy wzdłuż głównych dróg stały
forty, zmuszone do odpierania częstych ata-
ków Indjan. Nie tak to dawno królował tutaj
wszechwładnie jaguar. Na krawędziach rów-

nin do dziś dnia mieszczą się ruiny prymityw-
nych budowli, których nie znają współcześni
Indianie; nawet w canyon'ach znajdują się
budowle, wykute w skałach. Jedną z nich
napotkał w swej podróży przez Colorado
prof. Powell. Wyprawa znajdowała się już
w najtrudniejszych warunkach ze zniszczo-
nemi łodziami, bez odzieży i dostatecznej ilo-
ści pożywienia. Można też sobie wyobrazić
radość rozbitków, gdy brat profesora krzyk-
nął: „niasto na brzegu!” Szybko zbliżono się.
W okolicy tej domu nie spodziewano się uj-
rzeć. „Ależ to istotnie dom i to z kamienia,
ha, nawet i schody, wykute w skale!” Wspię-
li się szybko po schodach, liczących conaj-
mniej kilkaset lat aby wkrótce stanąć przed
zagadkową budowlą. Obraz istotnie niesamo-
wity. Proszę wyobrazić tylko sobie: budow-
la, zrobiona ludzkimi rękami, wśród ota-
czającej, dzikiej natury, 1000 stóp w głębi
canyon'u. W miejscach, gdzie, zdawało się,
przed Powell'em, ludzka stopa nie przeszła,
stoi oto trzypiętrowa kamienica, z której dwa
górne piętra są zresztą w ruinach. Na ścia-



Ogólny widok na Bryce Canyon



Nad stromą krawędzią Zion Canyon'u

nach — liczne malowidła bogów. Starość tego domu dowodzi chociażby fakt pokrycia części stopni schodów przez zastygłą lawę, wiadomem jednak było, że już od kilku stuleci nie zdarzył się żaden wybuch wulkanu. Za domem tym znaleziono drugi dom, całą ulicę i miasto, którego strzegła wysoka wieża. Wprawdzie znać tu było zab czasu, wiele bowiem murów było rozwalonych, jednakże można było jeszcze wyrobić sobie dokładny sąd o doskonałym kunszcie tych budowniczych. Miasto okazało się puste, jednak rano, unoszona prądem wody ekspedycja napotkała pola uprawne i Indian. Ponieważ chciano zdobyć nieco żywności, zbliżono się do tych ostatnich, próbując porozumieć się w narzeczu plemienia Uinta, który to dialekt okazał się jednak niezrozumiałym. Profesor Powell znał na szczęście dialekt Mohave,

którym udało mu się porozumieć z tubylcami.

Okazało się, że mieszkańcy tego miasta zupełnie zapomnieli świadomość swego pochodzenia. Nikt z nich nie widział obcych ludzi. Nie znali bowiem drogi, którąby mogli się wydostać z tego miejsca, nie chcieli go zresztą porzucać, pomimo nieurodzajnej ziemi i lichych zbiorów, które zaledwie wystarczały na najskromniejsze potrzeby. Nie mogli też zrozumieć, w jaki sposób mogli żyjący ludzie przedostać się przez „drogę bogów“.

Geologowie wyróżniają trzy główne działy canyon'ów: High Plateau, Terraced Plateau i Grand Plateau. Wszystkie te działy podlegały głębokim wstrząśnieniom geologicznym, których rezultatem było tworzenie się kolejnego mórz i łańcuchów górskich. Poddane działaniu sił wulkanicznych, bezustannie zmie-

niały układ swych warstw geologicznych, które fałdowały się, nasuwały jedne na drugie, lub też zapadały. Cierpliwe wreszcie, lecz niemniej skuteczne działanie wody dokończyło dzieła, rzeźbiąc najbardziej fantastyczne kształty.

Największą bodaj potęgę wykazała erozja wóz, o barwie krwi, ognia i śniegu. Gdzie tylko spojrzeć, ciągną się skaliste świątynie ze wzdłuż Zion Canyon'ów. Jest to głęboki wąstrzelistymi wieżami gotyckimi, to znów z bizantyjskimi kopułami. Rząd Ameryki północnej uznał to miejsce za nienaruszalne, twórcząc tu park narodowy (Zion National Park).

Bardziej dziki charakter nosi najwyższe płaskowzgórze Utah'u — Cedar Breaks. Wyrzeźbiony nakształt amfiteatru, którego galerje schodzą poziomo lub spiralnie, płaskowzgórze to mieni się różnemi kolorami, niczem klejnoty („jeweled Amphitheatres”). Amfiteatralnie położony jest również Bryce Canyon, bogatszy od poprzedniego w fantastyczne kształty. To też opisy turystów, wrzliwych na piękno, bynajmniej nie przesadzają, zowiąc go „cudem erozji, perłą fantazji i kolorów, snem”.

Rzeźbione szczyty tworzą tu przedziwną harmonję smukłości, subtelności i groteskowej przysadzistości kształtów. Te miliony kształtów, naśladujące ludzi, zwierzęta, kwiaty, pałace, to znów wykrzywione maski ludzkie, lub najzwyczajniejsze przedmioty, zdają się tańczyć w zmiennych blaskach słońca.

„Bryce” oddawna już zna wszystkie style architektury, od najbardziej klasycznych do futurystycznych. Przytem nie żałuje kolorów, barwiąc wszystko purpurą, czerwienią, barwą białą i pomarańczową. To ulubione kolory architekta, żłobiącego te canyon'y.

Byłoby barbarzyństwem nie do wybaczenia, gdyby pozwolono tu zanadto rozszerzać się cywilizacji. Utworzono więc wzmiankowany już Zion National Park, liczący około 120 kw. mil ang. przestrzeni. Mieści się on w odległości 65 mil. ang. od Cedar City i 60 mil ang. w linii powietrznej od krawędzi Wielkiego Canyon'u.

Jedna z wielu legend indyjskich twierdzi, że wódz ich, Paru-sha-pat, dojrzał światło na West Temple, przypuszczając, że jest to sygnał świetlny, pochodzący od bogów i ostrzegający przed napadem plemienia Navajo. Próbując dotrzeć do tego szczytu, prze-

konał się, że jest niedostępny, poczuł też wielką wdzięczność do bogów za wytworzoną przeszkodę, chroniącą go przed napaścią.

W każdym razie, jest rzeczą pewną, że Indianie uważają Zion Canyon za miejsce, poświęcone duchom. Do niedawna jeszcze składali pod szczytem ofiary z żywności.

W r. 1858 osiedlili się tu Mormoni, którzy mają bezsprzecznie wielkie zasługi kolonizacyjne, przez wytrwałą pracę i nawodnienie pustynnych krain. Ktoby jednak chciał sądzić o nich według znanej powieści Benoit-„Salt Lake City” („Le lac Salé), omyliłby się bardzo. Utrzymali się bowiem jeszcze tylko w stanie Utah, a z 12-ma żonami dawno już musieli się pożegnać, prawo bowiem Stanów Zjednoczonych nie uznaje wielożeństwa. Nazwę swą zawdzięcza Zion pierwszym osiadłym tu Mormonom.

Wracając do Narodowego Parku, charakter jego nadaje mu Zion Canyon, wąski wąwóz, zbierający wody rzeki Mukuntuweap, płynącej z Kolob Plateau na przestrzeni 3000 stóp przez jurajskie piaskowce. Podstawa Zionu wznosi się 4.100 stóp nad poziom morza, podczas gdy szczyt West Temple sięga 7.650 stóp. Długość canyon'u wynosi 14 mil ang., a jego szerokość waha się od 1 mil. ang. do odległości, na którą wyciągnięta ręka dotyka przeciwległego brzegu. Nie zapominajmy, że wysokość przepaści dochodzi do 2.000 stóp. Wąwóz ten przebiega jako szmaragdowa dolina, to znów zacieśnia się stromcami ścianami, mieniącymi się szkarłatem.

Na brzegu parku, w pobliżu Springdale, stoi Watshman, skała, przypominająca kolumnę z czerwonego piaskowca. O milę dalej znajduje się Bridge Mountain, Most-Góra, wielkie zwalisko kamieni, tworzące naturalny most, 100 stóp długości. Pomiędzy Towers of the Virgin stoi Altar of Sacrifice (ołtarz ofiarny), olbrzymia skała, biała, jak marmur, poplamiona czerwonym piaskowcem, jakby krwią ludzi, przeznaczonych na ofiarę bogom. Dalej East Temple tworzy wspaniałą budowlę, przypominającą katedrę, zbudowaną z białych skał, pokrytą czerwoną kopułą. Rzeźby sztuczne są tu wogóle zbyteczne, bo oto widzimy rząd pomników starców, patriarchów, z białego marmuru.

Ale nadewszystko dominuje czerwień, gorejąca czerwień! Piękna i jedyna w swoim rodzaju jest fantastyczna kraina gorejących canyon'ów!

W KRAINIE GOREJĄCYCH CANYON'OW



„ANGELS LANDIND“ W ZION NATIONAL PARK



Samolot sanitarny

Samoloty sanitarne w Maroku

Napisał

Sławój Składkowski

— Przyjechał pan zawczasie! — powiedział major-lekarz Epaulard, wchodząc do swej kancelarii i zdejmując kask kolonialny ze zroszonej potem głowy. — W zeszłym roku o tej porze, od 22 maja do końca sierpnia, w czasie operacji bojowych przeciwko miejscowości Taza, przewiozłem samolotem sanitarnym czterystu osiemdziesięciu rannych i chorych żołnierzy. W tym roku, zamierzone ekspedycje w góry Atlasu muszą być opóźnione, a może zupełnie zaniechane z powodu wielkich śniegów w górach. Trzeba czekać, aż się rozpuszczą!

Usiedliśmy bezwładnie w szerokich fotelach trzcinowych. Całą moją świadomość skierowałem na wymyślenie pretekstu do... rozpięcia „wykładanego” kołnierza polskiego munduru, w którym przyszedłem zameldować się majorowi Epaulard, naczelnemu lekarzowi w Fezie, dawnej stolicy Maroka.

W przeciwstawieniu do śniegów górskich Atlasu, byłem już zupełnie „rozpuszczony” w upale prawdziwie „afrykańskiego” połud-

nia i ubranie oblepiało mnie, jak kostjum kąpielowy. To też, gdy major „prostu” rozpiął swój mundur, zrobiłem natychmiast to samo, odetchnąłem i — oprzytomniałem. Postanowiłem bronić swej sprawy.

— Jako, majorze, więc tak zupełnie na próżno przyleciałem samolotem z Francji aż tutaj do Afryki, żeby wracać z niczem, nie widząc ani jednego rannego, przewożonego płatowcem sanitarnym?!

— No, tak źle nie będzie, mamy tu ciągle rannych w walkach z niepodbitymi jeszcze plemionami górskimi, tak, że w ciągu paru tygodni uda się panu napewno widzieć kilka sanitarnych transportów powietrznych. Narazie, radzę iść odpocząć po trudach podróży, a od jutra poproszę widywać się ze mną dwa razy dziennie, to napewno coś znajdzie się dla pana.

Wyszedłem z kancelarii i powlokłem się do pawilonu oficerskiego, gdzie dostałem pokój na mieszkanie. Leży on w starym maurytańskim pałacu. Trzy fontanny i dwie stud-

nie chłodzią powietrze. Znużony wyciągnąłem się na łóżku. Przez otwarte drzwi widziałem bukiet błyszczącej w słońcu fontanny. Szmer jej kropeł maleńkich przywrócił mi na myśl bezmiar huczącego oceanu, rozbijającego się o poszarpane skały wybrzeża w Rabat. Usnąłem...

Kilka dni spędziłem w nużącym oczekiwaniu. Zwiedziłem szpital, lotnisko i stację samochodów sanitarnych w Fez. Popołudnie poświęciłem oglądaniu tego najdziwniejszego miasta, jakie widziałem, o którym w geografii napisane jest tylko, że słynie z wyrobu czerwonych czapek—fezek. Codziennie więc mijam wąskie bramy wjazdowe z ustawionymi w nich, jak za czasów biblijnych, celnikami. Widziałem lekarzy, praktykujących jak w dawnym Egipcie na skrzyżowaniu dróg. Godzinami całymi obserwowałem uwagę tłumu, słuchającego pod murami miasta „opowiadaczy” bajek. Zapuszczając się przez bramę Bab Bon Jelound w labirynt stromych uliczek miejskich, wpadałem w zawsze nowy i zajmujący tłum handlarzy miedzi i skór, poganiaczy osłów, uczniów i mędrców, roznosicieli wody, natrętnych przewodników, wreszcie groźnych Arabów, przybyłych tu „konno i zbrojno” z koczowisk.

Wszystko to było osłepiające i niezwykle. Rzeczywistość wielokrotnie przewyższała najbujniejsze opisy, ale... przecież chodziło mi nie o to.

Przybyłem do Maroka, po pokonaniu wielu trudności, by zobaczyć, jak na tutejszych bezdrożach przyoblekła się w formę genialna myśl skromnego porucznika — lekarza rezerwy armii francuskiej, Chassaing'a — przewożenia rannych i chorych w specjalnie zbudowanych samolotach sanitarnych. Wreszcie, cierpliwość moja została wynagrodzona.

Dwunastego maja otrzymał major-lekarz Epaulard wiadomość, że w wysuniętym posterunku w górach Atlasu nad rzeką M'dez, zwanym La Kelaa du Mdez, został ranny w klatkę piersiową wachmistrz pospolitego ruszenia (goum), będącego po stronie Francji, i że należy go przewieźć samolotem do szpitala.

Zawarczały telefony. Co chwila słyszałem: „Rozmowa z prawem pierwszeństwa — lotnictwo sanitarne!” Połączenie następowało natychmiast, gdyż depesze i rozmowy w sprawie lotnictwa sanitarnego mają bezwzględne pierwszeństwo. Stało ostatecznie, że jutro o godzinie ósmej rano polecę samolotem, który zabierze rannego i przewiezie do szpitala w Fez. Ja wrócę do Fez drogą „lądową”, by przekonać się o różnicy transportu powietrzem i po drogach górskich. W tym celu, o godzinie czwartej rano wyjedzie z Fez mjr. Epaulard swym lekkim samochodem, by stanąć możliwie razem ze mną w dolinie górskiej obok posterunku, gdzie ma wylądować samolot.



Przeładowanie rannego, przywiezionego czołgiem sanitarnym, do samolotu

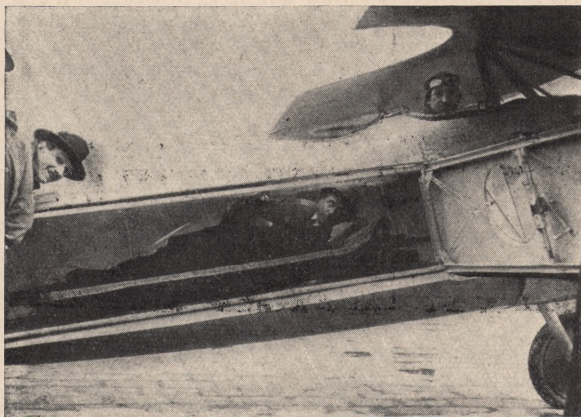
Wieczorem, w przeddzień wyjazdu, przysłała szalona burza z ulewą, tak, że miałem obawy co do możliwości lotu nazajutrz. Rano zabłyśło jednak słońce i o godzinie 1½ jechałem samochodem na lotnisko w Fez.

Samolot sanitarny stał już, wytoczony przed szopy, gotów do drogi. Pilot zwłóczył z wyjazdem, gdyż bał się przylecieć zawczasie. Dolina, gdzie ląduje zwykła samolot, leży o sześć kilometrów od posterunku La Kélaa, trzeba więc przewieźć tam rannego na wozie lub zwierzęciu jucznym, dalej, trzeba ją ubezpieczyć przed napadem górali, a wszystko to wymaga czasu. W razie przybycia wsześniejszego, samolot musi krążyć wkoło nad doliną, nim nadejdą żołnierze z posterunku. Pilot nie może nawet zatrzymać motoru przy braniu rannego w górach, gdyż niemi tam mechanika, któryby puścił w ruch śmigło.

Nadszedł oficer dyżurny lotniska, oświadczając, że dzisiaj jeszcze mówił telefonicznie z La Kélaa, że miejsce lądowania od ósmej rano ubezpieczone jest przez jazdę, a punkt dziewiąta będzie tam dostarczony ranny.

Czas więc ruszać! Postanowiłem odbyć całą podróż leżąc, by wyczuć sytuację rannego. Odkręcono cztery śruby, przytrzymujące lewą ścianę kadłuba samolotu. Z dwóch par noszy, umieszczonych jedna nad drugą,

wyjęto górne i rozłożono na nich worek z kozucha baraniego. Ułożyłem się wygodnie, pospinano kozuch sprzączkami i wsunęto mnie z noszami głową przodem, czyli bliżej motoru samolotu.



Wnętrze kabiny dla rannego

prawie żadne, leżeć bardzo wygodnie, szum motoru głuszą ściany kabiny i człowiek czuje się znacznie bezpieczniej, niż gdy ma głowę wystawioną poza aparat. Po kilku minutach usiadłem w worku i zacząłem wyglądać przez górny otwór w kadłubie samolotu. Dolina Fezu przeszła w lekkiej falistości, później przelecieliśmy nad boczny łańcuchem górskim, wreszcie ujrzelśmy śnieżne szczyty Atlasu,



Kabina samolotu sanitarnego

oblane jaskrawymi promieniami słońca.

W pewnej chwili pilot krzyknął i wskazał mi ręką w dół. Wychyliwszy się, ujrzałem podłużną dolinkę, wtłoczoną w masy skalistych gór. Na jednym jej końcu paliło się ognisko z długą smugą dymu, pasek kamiastej drogi, na niej samochód, wóz konny dwukołowy i jakieś grupy koni i ludzi.

Za chwilę lecieliśmy tuż nad ziemią,

wzdłuż doliny i wnet lądowaliśmy, kierując się pod wiatr. Chociaż teren nie był specjalnie urządzonym lotniskiem, lądowanie odbyło się prawie bez wstrząśnienia.

Mimo zatrzymania samolotu, motor warczy, wstrząsając całym „jestestwem” aparatu. Uwalniam się z worków i wyskakuję z pilotem na ziemię.

Witam majora lekarza Epaular, który czeka tu już od kilku minut po pięciogodzinnej podróży samochodem, majora Boutry, dowódcę bataljonu jednego z pułków legji cudzoziemskiej, jednocześnie komentanta posterunku La Kélaa, oraz lekarza bataljonowego Camentron. Obok stoi kilku jeźdźców arabskich z karabinkami w rękę i paru pieszych żołnierzy z legjonu cudzoziemskiego.

Następuje krótkie przedstawianie się wzajemne, zagłuszone, zresztą, ciąglem warceniem motoru. Cała uwaga zostaje skoncentrowana na rannym. W zawoju arabskim, leży on już na noszach, wyjęty z dwukołowego wozu konnego, którym dojechał tu z posterunku. Szybko przekładają go do worka z kożucha baraniego, rozłożonego na noszach samolotu, ładują przez otwór i zakręcają śruby bocznej ściany. Zaglądam jeszcze raz do rannego. Twarz jego nie wyraża strachu — jest na niej rozlane poddanie się losowi.

Pilot zajmuje swoje miejsce, chwilę kontroluje działanie motoru, potem bierze rozpęd po ziemi i wzbija się w górę, żegnając nas ręką. Jeszcze dwie spirale nad doliną i za chwilę zostajemy w naglej ciszy po odlocie samolotu.

Teraz dopiero można rozmawiać. Korzysta z tej chwili legionista-Czech, wita się ze mną i przedstawia mi „brata Rusa” i Polaka. „Brat-Rus” sprezentował broń i na moje powitanie odpowiedział, jak za dawnych czasów: „Zdrowia żelajem, wasze wysoko-błagorodje!” Polak okazał się poznaczkiem z Jarocina. Uciekł on jeszcze w czasie wojny z armji niemieckiej i jest ordynansem osobistym majora Boutry.

Ten ostatni pokazuje mi wzgórze okoliczne, które zwykle obsadza celem ubezpieczenia lądowania samolotu przed ostrzeliwaniem górali. W tej chwili ścigały się z nich powoli placówki jazdy i piechoty. Dużych oddziałów do ubezpieczenia nie potrzeba, gdyż powstańcy operują jedynie małymi od-

ziałkami, nie przekraczającymi liczby 30—40 ludzi. Zamieszkują stale niedostępne schroniska głównego łańcucha Atlasu, skąd napadają znienacka, polując na ludzi, broń, konie, bydło. To też wszyscy tutaj, nawet pasterze owiec, chodzą stale z karabinami.

Jedziemy do posterunku, eskortowani przez malowniczy oddział jeźdźców arabskich. Gdy wyznałem majorowi Boutry, że nie chciałbym sam na sam spotkać żadnego z tych naszych „opiekunów”, odpowiedział mi, iż są to bardzo wierni ludzie, choćby ze względu na... strach przed zemstą współziomków za poddanie się Francuzom.

Główny posterunek widać zdaleka. Jest to mały zamek, zbudowany z kamieni, z wieżami na rogach, sterczącymi na szczycie skalistego urwiska nad rzeką. Jedyna ścieżka, zaledwie dostępna dla koni, trzymana jest pod lufami stojących na wieżach karabinów maszynowych. Mniejsze ubezpieczające posterunki kompanijne leżą w dolinie wzdłuż rzeki. Na stromych zboczach gór widać ogniska powstańców.

Głębokie, porośnięte krzakami, wąwozy i jary, dochodzące pod same mury posterunków, grożą stale śmiercią z zasadzki. Wnętrze posterunku jest ciasne, lecz czysto utrzymane. Są tam koszary i stajnie. Nad domkiem majora wznosi się taras, z którego widok dokoła sięga paru mil. Jeden z wartowników stale obserwuje horyzont przez lornetkę.

Dzięki obecności ordynansa majora mogłem w czasie obiadu porozmawiać trochę po polsku, mimo, że byłem oddalony przeszło trzy tysiące kilometrów od ojczyzny.

— Jezdem z pana zadowolony — powiedział ordynans, podając mi jedzenie — bo te juchy niemce u nas w bataljonie ciąglem mi gadają, że Polska to jest ino w „Zeitungach” (gazetach), a tero widze, że „pon” ma crzelka i jada pan z naszymi oficerami, znaczy, że pan jest po’lski oficer i że Polska jest naprawdę!

Biedak dopiero za rok otrzyma zwolnienie z legji cudzoziemskiej i zobaczy Polskę.

Po obiedzie odbyliśmy spacer konno do maleńkich wysuniętych posterunków, ubezpieczających główny, znów eskortowani przez oddział Arabów. Nawet oficerowie mieszkają tam w lepiankach bez podłogi i szyb w oknach. Szyby są rzadkością ze względu na niemożność ich dowiezienia po tutejszych drogach. Jedynie okna salki ope-

racyjnej, w izbie chorych głównego posterunku są oszkłone szybami, przywiezionymi przez samolot... sanitarny.

O zachodzie słońca wróciliśmy do głównego posterunku. Noc przespałem, jak kamień, tak, że, niestety, nie słyszałem nawet wycia szakali, żerujących przy odpadkach rzeźni. Rano obejrzałem koszary pospolitego ruszenia Arabów, gdzie miałem sposobność zobaczenia kilku cudnych, palących twarzy kobiecych, nieosłoniętych z powodu pobytu poza miastem.

Na cmentarzu legionistów wyczytałem kilka nazwisk polskich...

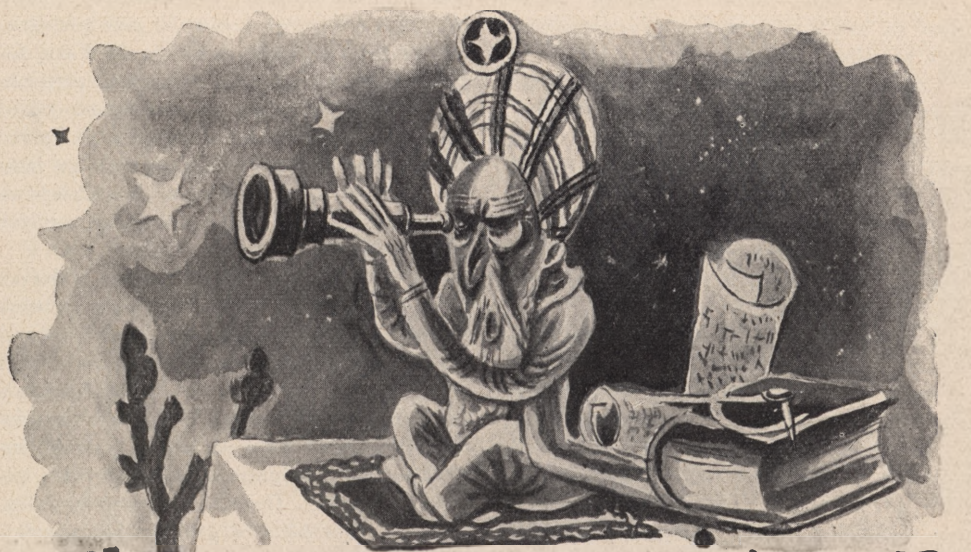
Trzeba było jechać, by móc porównać „wygody” podróży po ziemi i w powietrzu. Zrazu jechaliśmy konno, eskortowani przez jeźdźców, potem samochodem Ford. Musieliśmy go popychać i podkładać kamienie przy wspinaniu się na przełęcze, wychodzić i podtrzymywać przy nagłych spadkach i zakrętach nad przepaściami. Po czterech przeszło godzinach dojechaliśmy do Fez. Potrzebowałem na przelecenie tej samej drogi wczoraj czterdziestu minut, bez wstrząśnięć i niebezpieczeństw. Ale samochód jest nowoczesnym luksusem. Jeszcze rok temu ranni i chorzy odbywali drogę z La Kélaa do Fezu na zwierzętach jucznych, lub dwukołowym wozie arabskim, co trwało... 4 do 5 dni męczącego trzęsienia się i utykania.

Wierna żona rannego wachmistrza, pędząc z La Kélaa na jego koniu, by móc pielęgnować męża w szpitalu, przybyła do Fezu dopiero na trzeci dzień! Zastała męża uśmiechniętego i wypoczętego po czterdziesto-minutowej podróży samolotem odbytej przed dwoma dniami. Czyż trzeba wobec tego jeszcze podkreślać i podnosić dobrodziejstwa transportów, które odbyłem, wioząc rannych molotów?!

Nie będę szczegółowo opisywał dalszych transportów, które odbyłem, wioząc rannych i chorych w tak zwanej powietrznej „karecie” sanitarnej. Jest tam miejsce na dwóch rannych, leżących na noszach i sanitariusza, siedzącego na taburecie. Wszyscy w oszkłonej, ogrzewanej elektrycznością, kabinie, zaopatrzonej w najpotrzebniejsze środki pomocy lekarskiej. Dwieście kilometrów odbyliśmy w ciągu półtorej godziny, bez wstrząśnięć, wysiłków i cierpień rannych.

W ciągu mej trzytygodniowej praktyki przekonałem się, że lotnictwo sanitarne jest obecnie jedynym szybkim i łagodnym środkiem transportu dla ciężko rannych i chorych. Dotychczas przewieziono 3000 rannych i chorych, z pośród których wiele zawdzięcza swe życie szybkości samolotu. To też płatowce sanitarne zaprowadzono już we Francji, Anglii, Hiszpanji, Włoszech i Ameryce. Czas najwyższy na Polskę!





OŚZUKANE GWIAZDY

Ilustrował K. Grus.

Napisał

Fet-Ali-Achmudow

Zamieszczamy powyżej utwór tureckiego pisarza, którego działalność przypada głównie na pierwszą połowę ubiegłego stulecia, lepiej niż niejedno wielotomowe dzieło historyczne zaznajamia nas z obyczajami i życiem w niedawnej przeszłości władców Wschodu, ich dworu i poddanych.

„Oszukane gwiazdy” są pogodną, pełną optymizmu opowieścią o losach szacha-siodlarza Jusupa i w założeniu przypominają znacznie później napisaną opowieść Marc’a Twain’a „Król-Zebrak”.

I.

W początkach panowania szachów z domu Safitydów stolicą Persji był Kazwin. Po rozmaitych wydarzeniach Memed—szach Safityd oddał władztwo synowi swojemu szachowi Abbasowi I. Sześć lat panował szach Abbas i rozpoczął się już rok siódmy jego panowania, kiedy właśnie zdarzyło się to, co tutaj opisujemy.

Był początek wiosny — trzeci dzień po Nowym Roku. O godzinie trzeciej popołudniu szach Abbas siedział w pałacu swoim z piękną odaliską Selmą i sycił się biesiadą, kiedy do pokoju wszedł główny eunuch, Chodża-Mubarek, i wśród należnych pokłonów zameldował, że główny astrolog murza Sadr-ed-Din, prosi szacha, nadzieję świata, o posłuchanie w niezmiernie ważnej sprawie. Szach gestem rozkazał Selmie, żeby odeszła do haremu, eunuchowi zaś rozkazał:

— Przywołaj murzę Sadr-ed-Dina.

Główny astrolog wszedł, wygłosił modlitwy i błogosławieństwa, stanął przed szachem ze złożonymi rękami i czekał. Szach zapytał:

— Co się stało, murzo?

Główny astrolog oznajmił:

— Niech żyje szach, nadzieja świata! Wiadomem mi się stało z ruchu gwiazd, że przed upływem dni piętnastu od roku nowego dwie gwiazdy zbliżą się do siebie: Mars i Skorpion.

A ze zbliżenia tych nieszczęsnych gwiazd nieszczęście wielkie wyniknie dla króla Persji — o czym, jako wierny i oddany sługa

Najwyższego Domu, melduję szachowi, nadziei świata.

Szach był wówczas bardzo młody — minął zaledwie dwudziesty drugi rok jego życia. Wiadomo, jak przyjemne i drogie jest życie w tym wieku — zwłaszcza, gdy się posiada królewski tron. Więc słowa głównego astrologa zasmuciły nad wyraz młodego szacha — zbłądził i bliski był omdlenia. Po dłuższej chwili podniósł głos i rzekł Sadr-ed-Dinowi:

— Możesz odejść, murzo.

Główny astrolog skłonił się i wyszedł.

Przez całe pół godziny rozmyślał gorzko szach nad swoją dołą, a potem zawołał Chodzę-Mubareka.

— Natychmiast pośliferrasza¹⁾, niech się stawia do mnie: wielki wezyr Muechsin, głównodowodzący Zamanchan, minister

skarbu Jacja i główny mułła Achmed-Samad.

Chodża wyszedł — i w parę chwil stawili się przed szachem wezwani dostojnicy. Oddali należny hold i czekali rozkazu. Szach rzekł:

— Zwołałem was na radę w pewnej sprawie i rozkazuję wam: uważnie baczcie. Posiedzenie będzie nadzwyczajne, przeto dozwolonom wam jest się.

Tak też uczynili.

Szach powtórzył doniesienie głównego astrologa i krótko spytał:

— Jak odwrócić odemnie nieszczęście?

Po dłuższym milczeniu z namysłem zaczął mówić wielki wezyr murza Muechsin:

— Jasne, jak słońce, jest oddanie pokornego twego sługi Domowi Najwyższemu.

¹⁾ goniec.

Szach, nadzieja świata, pamięta, że za panowania wielkiego szacha-ojca, skarb państwa był nieznośnie pusty, albowiem głupi ludzie sprawowali wezyrat przede mną. A ja zarządziłem, że każdy w państwie urzędnik winien skarbowi państwa złożyć wysoką sumę w podarunku, i każdy dostojnik, którego dom odwiedzinami swemi uszczęśliwisz, winien złożyć ci w darze drogie tkaniny i kosztowne klejnoty — i znów wysoką sumę pieniędzy. I tak oto stało się, że dziś, w siódmym roku

twego, nadziejo świata, panowania, skarb państwa pełny jest od góry do samego dołu. Zaś jak pusto było przedtem tego żaden język nie wysłowi. Takich rzeczy dokonał najpokorniejszy twój sługa... ale wykombinować coś przeciwko gwiazdom... Alłach! tego... nie potrafię..



Szach Abbas siedział w pałacu

Strach szacha rósł. Zaczął mówić minister skarbu murza Jachja.

— Pokorny twój sługa jest krewnym i tkliwym przyjacielem wezyra. Jemu to zawdzięczam moje dostojenstwo, więc też we wszystkim kroczę śladami jego mądrych stóp. Rozkazałeś, panie, przy wstąpieniu na tron wypłacić hold wojsku i pobory urzędnikom — a mnie z tej przyczyny ogarnął smutek i żal. Podpis mój był pod twoim podpisem, nadziejo świata, i ukaz twój wiernie rozesłałem gubernatorom. Alem wcześniej jeszcze rozesłał im poufne polecenie, by nie śmieli nikomu wypłacać pensji ani żołdu, są bowiem czasy ładu i spokoju, droższy jakby niema, a każdy sam powinien baczyć, by nie cierpiał nędzy. I tak oto zwiększyłem dochody skarbu wielokrotnie. W takich sprawach mam bystry

rozum, ale zniweczyć wpływy gwiazd... Alłach!... na to środków brak w rozumie moim...

Przyszła kolej na przemówienie głównego mułły:

— Alłach Wszechmogący modlitwami wielkich i czystych swoich świętych oby uchował drogocenne zdrowie nadziei świata od klęsk nieba i ziemi! Nic nie wyrazi wierności mojej i oddania twojemu sławnemu domowi. Bez przerwy modłę się za pomyślność twoją i urok i rozkwit potęgi twojej. Za wielkiego ojca twojego — kiedy mi nadanem zostało dostojęństwo głównego mułły, mieszkańcy Persji byli conajmniej w połowie odszczypieńcami-sunnitami. I oto kazaniami wymownymi i wszelkiego rodzaju pogrózkami sprowadziłem wszystkich na drogę cnoty i holdowania dwunastu wielkim imamom. Teraz — dzięki Przedwiecznemu — znajdziesz w Persji nie więcej, niż pięciu-sześciu sunnickich heretyków.

Chciałem zabrać się też do Żydów i Ormian, ich również nawrócić na wiarę szytiską, ale mi mądrzy ludzie odradzili. Mówili, że w każdym państwie jest trochę Ormjan i Żydów, więc trzeba, żeby trochę ich było i u nas.

Gdy jednak życie nadziei świata jest w niebezpieczeństwie z przyczyny ruchu gwiazd, serce moje smaży się w żalu, jak rybka na patelni. Mój maleńki rozum sądzi, że ten przekłety astrolog zna rdzeń rzeczy, ale to jawny zdrajca. Powiedział, jak się będą ruszały gwiazdy, ale ukrył, jak złemu zapobiec! Po dał ci, nadziejo świata, truciznę i nie dał odtrutki. Nawet wielki prorok raczył powiedzieć, że astrologowie — to oszuści. Słowa moje skierowane są przeciwko nim, a nie przeciwko ich nauce, bowiem przepowiednie ich często się sprawdzają. Ale oni sami — to łgarze i lotry.

Główny mułła miał dawne porachunki z głównym astrologiem i korzystał z okazji, żeby starem urogowi dopiec najboleśniej.

Szach czuł się mdło już od godziny, tedy słowa mułły padły na dobry grunt. Gorący gniew wstąpił w szacha. Władca groźnym głosem zawołał Chodzę Mubareka i rozkazał:

— Jeszcze niech za chwilę postawią tu głównego astrologa!

Chodza Mubarek aż przysiadł — i nie upłynął kwadrans, jak wszedł Sadr-ed-Din. Szach podniósł się jak rozjuszony lew:

— Gadzie! Nastraszyłeś mnie przepowied-

nią gwiazd, ale środek przeciw nieszczęściu zataiłeś! Kata!

Wpadł straszny kat z kindzalem za pasem i stryczkiem w rękę. Dusza głównego astrologa zadygotała, jak słaby listek. A szach krzyknął:

— Utnij głowę temu psu — zaraz!

Głównodowodzący Zaman-Chan, aczkolwiek wojskowy, był człowiekiem miękkiego serca. Zlitował się nad głównym astrologiem, wstał i zameldował szachowi:

— Obym ofiarą padł za ciebie! Kto nam powie o środku przeciw gwiazdom, jeżeli zetniemy głowę temu psu? Na białe włosy mojej brody pokornie proszę: zapytaj go wpierw, co czynić, by zapobiec nieszczęściu. Jeżeli nie da trafnej odpowiedzi — natychmiast mu zdejmujemy głowę.

Szach dał znak — kat odsunął się od astrologa i wyszedł.

Gadzie — rzekł szach — mów, jak odwrócić nieszczęście!

Główny astrolog nie wiedział tego, a ze strachu nic już wogóle nie wiedział. Ale przeto powiedział:

— Obym ofiarą padł za ciebie! Można zapobiec nieszczęściu. Potrzeba mi na to godzinę czasu, abym mógł pójść i zajrzeć do tablic, ułożonych przez Uług¹⁾-beka. Poczem wrócę i powiem.

W tablicach astronomicznych Uług-beka nie było wcale mowy o zapobieganiu złym wróżbom gwiazd. Główny astrolog chciał tylko mieć możność zasiągnięcia rady mewlany²⁾ Dżemal-ed-Dina, którego uważał za biegłego od siebie w nauce o gwiazdach.

Szach pozwolił mu odejść, ale w tej samej chwili wszedł Chodża-Mubarek z oznajmieniem, że Dżemal-ed-Din prosi o posłuchanie. Zaczem sam mewlano wszedł z należnymi pokłonami do pokoju, na znak szacha siadł i rzekł:

— Niech żyje nadzieja świata! Pokorny twój sługa z przyczyny starości opuścił pałac szacha — nadziei świata i wybrał sobie siedzenie w kacie. Ale piętnastego dnia po nowym roku zbliżą się do siebie gwiazdy Skorpion i Mars oraz święta osoba szacha. Wyniknie z tego wielkie nieszczęście, zapragnąłem

¹⁾ Władca Tukiestanu (1447-49), wielki miłośnik wiedzy, głównie astronomji.

²⁾ Wysoki dostojnik kościelny.

tedy szczęścia ujrzenia szacha, bym mógł przed obliczem jego ukazać środki przeciw niebezpieczeństwu, nieznane może młodym astrologom.

Szach uradował się niezmiernie i rzekł:

— Naradaliśmy się właśnie nad tą sprawą. O gwiazdach już wiemy — mów o środkach.

Mewlana oświadczył:

— Niechaj szach, nadzieja świata, na te piętnaście dni po nowym roku wyrzeknie się władzy i odda tron jakiemukolwiek przestępcy, który zasłużył na karę śmierci. W ten sposób działanie gwiazd spadnie na głowę tego zbrodniarza, on to bowiem będzie w tym czasie królem perskim. Kiedy nieszczęście przyjdzie i zbrodniarz, który będzie władał tronem, zginie, wówczas szach, nadzieja świata, wyjdzie z ukrycia, znów zawładnie koroną i będzie panował w zdrowiu i wszelkiej pomyślności. Lud niechaj nie wie, że nowy szach jest zbrodniarzem i niech uważa go za prawdziwego króla.

Główny astrolog był uratowany. Z oblicza szacha znikł strach. Bładość ustąpiła, zakwitł rumieniec. Spytał radośnie głównego mułłę:

— Czy masz na widoku tak wielkiego zbrodniarza, żeby zasługiwał na śmierć i oddanie mu berła, korony i tronu?

Główny mułła odpowiedział:

— Nadziei świata, szachowi. Stwórcu, daj życie szczęśliwe! W Kazwinie zjawił się łotr wyjątkowy — nikt, bardziej niż on nie zasługuje na śmierć. Nazywa się Jussup. Niewiadomo, skąd się wziął, ale odkąd zamieszkał w Kazwinie, całe po-

spółstwo i rozmaita hołota zebrali się do niego po naukę, głosi on bowiem wędrówkę dusz, o czym nigdy przedtem nie słyszano. Nicpoń ten kpi sobie z przechodniów bez różnicy ich dostojęstwa, gdyż jest usposobienia kaśliwego i szydliwego i wina pije niewypowiedzianą moc. Pokornie sędzę, że szach, nadzieja świata, temu oto rzezimieszkowi oddać winien koronę i tron, iżby od gwiazd odebrał należytą karę i na zawsze poleciał do piekieł.

Wszyscy obecni na posiedzeniu zgodnie przyjęli ten wniosek i wielkim głosem potwierdzili:

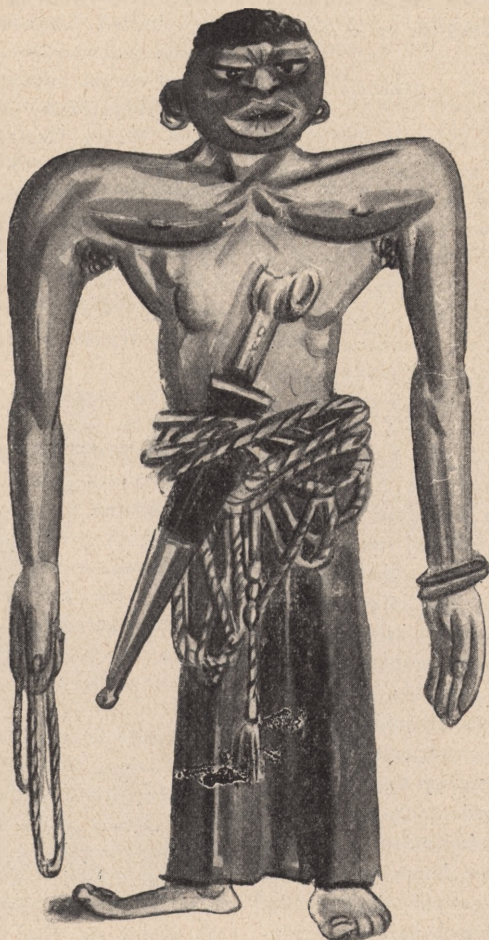
— Tak, siodlarz Jussup zasługuje na karę śmierci i wszystkie plagi niebieskie!

Szach rozweselił się znacznie i rzekł:

— Zgadzam się na jego śmierć. Jutro rano załatwimy to wszystko.

Następnego dnia, z rozkazu szacha przytyli do pałacu wielmoże, szlachta, dygnitarze, uczeni prawnicy, duchowieństwo i wszystkich stopni urzędnicy — od wójta ze wsi, aż do wezyra. Wszyscy nieruchomo i w całkowitem milczeniu stali na swoich miejscach, czekając wyjścia szacha. I oto zjawił się szach w koronie na głowie i z berłem w rękę; miał na sobie naramienniki, wysadzone drogiemi kamieniami, cudny pas i miecz. Wszedł po stopniach i zasiadł na tronie, który stał pod baldachimem na łokieć od ziemi. Zwracając się do obecnych, szach rzekł:

— Oto już siódmy rok, jak za zgodą Najwyższego, panuję nad wami. Każdemu z was wiele możliwości oka-



Wpadł straszny kąt...

wałem pieścić moją i łaskę. Obecni, z powodu pewnych trudności, o których nie mam wcale zamiaru opowiadać wam, zrzekam się panowania, a koronę i tron oddam komu innemu. Człowieka tego wskażą wam: główny mułła, głównodowodzący Zeman-chan, wezyr, minister skarbu, mewlana Dżemal-el-Din i główny astrolog. Trzeba, żebyście wszyscy uroczyście, wspaniałym pochodem udali się do niego. Sprowadźcie go tutaj, posadźcie na tron, uznajcie za króla samowolnego, jest bowiem następcą moim z mego rozkazu.

Po skończonem przemówieniu szach zdjął koronę i położył na tron, zdjął przewspaniałe swoje szaty, pas i miecz i włożył starą zniszczoną odzież. Potem jeszcze raz zwrócił się do ludu i rzekł:

— Teraz jestem żebrakiem z ludu, Abbasem, synem Memeda. Nie szukajcie mnie, bo nie znajdziecie. Ałłach błogosław!

Zszedł z tronu, wyszedł z pałacu i znikł.

Warsztat siodlarza Jussupa mieścił się we wschodniej części placu koło meczetu szacha. Była godzina druga po południu. Siodlarz Jussup wygłosił modlitwę południową, siadł i zaczął szyć uzdę, którą klient obstałował na ten właśnie dzień. Dwaj przyjaciele siedzieli obok niego i słuchali jego mowy. Siodlarz Jussup skarżył się na drożyznę, którą spowodowała posucha i brak wody w okolicach Kazwina. Siodlarz Jussup mówił:

Podziwiam ten nasz rząd. Jest tysiąc sposobów sprowadzenia wody do Kazwina. Ale rząd jest głupi i lekkomyślny. Nie myśli o swoich poddanych ani o wygodach w stolicy.

W tej chwili na przeciwległej stronie placu wzbil się wielki obłok kurzu. Siodlarz Jussup, nie puywszczając z rąk igły, podniósł głowę i ujrzał procesję, która szła w stronę jego warsztatu. Dwunastu szybkobiegaczów w ubiorach z kręconego jedwabiu i w czworokątnych czapach szło na przedzie, za nimi dwunastu chorążych z różnobarwnymi chorągiewkami; potem oddział służby dworskiej—jeden z nich miał na głowie tace, ferraszowie z kijami w rękach. Za nimi główny koniuszy prowadził turkmeńskiego konia z siodłem, wysadzane drogiemi kamieniami; koń miał złotą uzdę, opaski z wielkich pereł i diamentowy kutas na szyi. Poczem w uroczystym

przepychu i całej okazałości jechali: główny mułła, głównodowodzący Leman-chan, wezyr, minister skarbu, mewlana Dżemal-ed-Din, główny astrolog, szanowni prawnicy, duchowieństwo, tudzież inni znani, znakomici i godni mężowie. Pochód zbliżył się do warsztatu siodlarza Jussupa i zatrzymał się. Główny mułła zwrócił się do niego mówiąc:

— Mistrzu Jussupie, los chce, ażebyś w dniu dzisiejszym został naszym królem. Na perskim tronie niema już szacha Abbasa. Okaż nam swoją łaskawość, racz uszczęśliwić nas. Chodź z nami do królewskiego pałacu i uroczyście wstąp na tron.

Oszolomiony siodlarz Jussup nie wiedział co to ma znaczyć. Dygnitarze całego państwa stali przed nim. Główny mułła, który w całej Persji uchodził za solidnego człowieka, tak do niego przemówił... Wszystko to było tak nieprawdopodobne, że siodlarz Jussup oczom własnym nie wierzył. Wreszcie zdobył się na odpowiedź:

— Przepraszam, panie główny mułło, uważam: Waszą Dostojność za iednego z solidniejszych ludzi w Persji i nie wiem czy Wasza Dostojność zwarjował czy żartuje sobie ze mnie. Jestem zwykłym majstrem siodlarskim i nie mam nic wspólnego z koroną i tronem. Jak Boga kocham, nie rozumiem, dlaczego Wasza Dostojność tak sobie ze mną postępuje. Jestem zupełnie zbity z panatyku.

Wtedy przemówił głównodowodzący, LemanChan.

— Majstrze Jussupie, ty jesteś teraz nadzieją świata, a my wszyscy jesteśmy twoimi niewolnikami i psami na twoim progu. Nie przystoi ci prosić nas uprzejmie, winienes rozkazywać nam, jak król. Nie zwarjowaliśmy i nie żartujemy. Dyspozycje Boga Wszechmogącego są bezapelacyjne. Cała Persja uznaje dziś twoją władzę.

I, zwracając się do czterech sługusów, rozkazał:

Przynieście szaty królewskie i przyobleczcie nadzieję świata.

Posługacze weszli do warsztatu z tacą, na której leżały szaty królewskie. Postawili ją na podłodze i zaczęli rozbierać siodlarza Jussupa. Zdjęli z niego zniszczoną odzież i ubrali w szaty królewskie. Siodlarz Jussup nie bronił się. Stał pokornie i pozwalał im robić wszystko co chcieli. Potem główny ko-

niuszy podał mu konia z ową piękną uzdą. Siodlarza Jussupa posadzili na konia i pochód w tym samym porządku ruszył z powrotem do pałacu. Co chwilę rozlegały się krzyki ferraszów: „Na bok, do diabła! Na bok!” Wszyscy mieszkańcy Kazwina, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, wylegli na dachy, zapełnili okna — wszyscy byli zdumieni, nikt z nich bowiem o niczem nie wiedział.

U bram królewskiego pałacu ferraszowie pomogli Jussupowi zejść z konia. Główny mułła i głównodowodzący Zeman-Chan ujęli go pod ramiona i z szacunkiem wprowadzili do sali tronowej. Tam posadzili go na tron królewski i wszyscy dygnitarze, uczeni, prorocy, duchowieństwo, arystokracja, szlachta i urzędnicy kołem otoczyli tron i pokornie złożyli ręce. Główny mułła odprawił modły i włożył koronę na głowę siodlarza Jussupa. Potem znów odprawił modły i zwrócił się do obecnych:

— Powitajcie króla.

Pod niebiosa wzbily się okrzyki powitalne, wesołe dźwięki fletów i rakiety. Na ten znak artylerja forteczna za miastem dała sto i dziesięć wystrzałów na wiwat. Aczkolwiek po znakomitych poetach Saadim i Chafizie upadła poezja w Persji, to jednak znalazło się jeszcze paru poetów, obdarzonych talentem. Zaimprovizowali oni wspaniałe ody

z okazji wstąpienia na tron szacha Jussupa, w których opisywali całą tę uroczystość.

Po skończonej uroczystości główny mułła ogłosił narodowi:

— Rozejść się!

Wszyscy wyszli z pałacu. Pozostał tylko szach Jussup na tronie — a przed nim eunuch Chodza-Mubarek z innymi eunuchami, paru sługusów z naczelnikiem swoim Azymbekiem, a za drzwiami — ferraszowie.

Szach zamyslił się. Po pewnym czasie spytał Chodzę-Murabeka.

— Co tu robicie?

Chodza-Murabek odpowiedział:

— Pokorni my i oddani eunuchowie twojego haremu; jam jest ich naczelnikiem, a oni rozumie się — moimi podwładnymi.

Szach zwrócił się do Azymbeka:

— A wy?

— Nędzni słudzy twoi. Jam jest ich naczelnikiem, a oni, rozumie się, moimi podwładnymi.

Szach Jussup rozkazał:

— Idźcie wszyscy precz, a ty, Chodzo-Mubareku, zostań.

Po ich wyjściu szach Jussup kazał Chodzy podejść bliżej.

— Z twarzy twojej widzę, że jesteś dobrym człowiekiem. Powiedz, dlaczego to się wszystko stało. Bywałeś ciągle w pokojach szacha — niemożliwe, żebyś nie wiedział.

Zupełnie przypadkowo Chodza-Mubarek był człowiekiem uczciwym i sprawiedliwym. Pomyślał:

— Niewolno ukrywać prawdy przed królem — opowiedział wszystko, od początku do końca, szachowi Jussupowi. Szach Jussup zapytał.

— Gdzie jest szach Abbas?

Chodza-Mubarek odpowiedział:

— Przebrał się za żebraka i znikł. Gdzie teraz przebywa — niewiadomo.

Szach Jussup był rozsądnym człowiekiem. Nie czuł strachu przed gwiazdami, ale to nagłe wywyższenie nappełniało go obawą. Z drugiej strony nie widział powodu do abdykacji i zabrał się odrazu do sprawowania rządów. Przedewszystkiem kazał stawić się Asad-bekowi, naczelnikowi ferraszów, i rozkazał mu:

— Weźmiesz dwustu ferraszów i natychmiast uwięzisz głównego mułłę Achmeda



Siodlarz Jussup wygłosił modlitwę...

Samadas, głównodowodzącego Zaman-Chana, wielkiego wezyra Muchsina, ministra murzę Jachję, głównego astrologa murzę Sadr-ed-Dina i mewlanę Dzemal-ed-Dina. Zapakuj ich do lochu w fortecy. Idź — a kiedy spełnisz rozkaz, wróć z doniesieniem.

Asad-bek pokłonił się do ziemi i wyszedł. Szach Jussup przywołał naczelnika służby domowej, Azym-beka, i rozkazał:

— Pokażcie mi harem, potem wszystkie pokoje i moją sypialnię

Zaczem jęli mu pokazywać pokoje.

Pierwszy pokój zasłany był kobiercami, ściany i sufit pokryte były wizerunkami cudownych kwiatów, traw i ptaków. Drugi pokój również zasłany był kobiercami, zaś na ścianach wymalowane były podobizny nieboszczyków szachów z domu Safitydów i znamienitych królewiczów. W trzecim pokoju ściany pokryte były portretami z innych dynastji perskich. W czwartym pokoju wymalowani byli na ścianach starożytni perscy bohaterowie i demony mazenderańskie,¹⁾ o których jest mowa w poemacie „Szach-name“; demony walczyły z sobą, miały rogi i ogony. Na ścianach piątego pokoju wymalowane były wojny, które prowadził szach Izmael-Safi.

Z rozkazu szacha sprowadzono natychmiast wielkiego szatnego. Otworzył pokój i szafy w pokoju. Szachowi pokazano rzadkie i piękne ubrania i klejnoty, drogie szale kaszmirskie, tkaniny z czystego jedwabiu, kolczyki, pierścienie z drogich kamieni, naszyjniki z doborowego koralu. Szach Jussup miał trzy córki: czternasto- i dwunasto- i ośmioletnią, oraz dwóch synów: sześć- i czteroletniego. Wybrał dużo ubrań i klejnotów i rozkazał Chodzy-Mubarekowi:

— Zanieś to wszystko mojej żonie. Mieszka na Drugiej Kazwińskiej w starym domu. Powiedz, żeby o mnie była spokojna i żeby jutro przysłała tu dzieci, to dam jeszcze.

Chodza-Mubarek wziął dwóch feraszów, którzy ponieśli rzeczy i poszedł.

Słońce już zaszło. Naczelnik służby poprosił szacha do pierwszego pokoju. Zapalono czerwone świece i nakryto do stołu. Szach dopełnił obrządku mycia, zmówił modlitwę przed jedzeniem i siadł do stołu. Podano du-

żo rozmaitych potraw. Po kolacji przyniesiono dzban i miednicę — szach wymył ręce.

Poczem udał się do sypialni. Rozkazał jeszcze:

— Naczelnik straży niech rozstawi warty jak zawsze.

Nakrył się koldrą i zasnął.

Następnego dnia szach Jussup raczył zejść do sali audjencjonalnej i kazał przywołać mulłę Ramazana, Kurban-beka, murzę Dzemal i murzę Zeki, dla których poczuł przychyłność, przyjaźń i zaufanie. Urząd głównego mulły powierzył mulle Ramazanowi, głównodowodzącym zamianował Kurban-beka, któremu nadał tytuł chana, wezyrat powierzył murzie Dzemilowi, a ministerstwo finansów przydzielił murzie Zeki. Urząd głównego astrologa zniósł, jako szkodliwy dla państwa. Nowomianowanym szach rozkazał, ażeby do wszystkich prowincji, wszystkim gubernatorom rozesłał rozporządzenia i ukazy, wedle których wzbronione zostaje od-tąd skazywać prawowiernych na śmierć bez powodu, bez powodu obcinać prawowiernym uszy tudzież wylupywać oczy.

Potem szach rozkazał z królewskich śpi-chrów wydać bezpłatnie ludowi dużo rozmaitego jada i napoju. Rozkazał odgrodzić studnie na ulicach, żeby przechodnie od-tąd nie wpadali do studni. Zwołał naradę z ludzi biegłych i świadomych rzeczy i rozkazał im zaopatrzyć Kazwin w wodę.

Potem wprowadził zmiany w sądownictwie. Rozkazał zniżyć podatki gruntowe, zabrać się do budowy dróg, mostów i karawan-serajów, zmniejszyć liczbę prawników, żeby ich nie było zbyt dużo, wydać zapomogi wdowom i paralitykom i natychmiast wypłacić zaległe pensje urzędnikom i żołd żołnierzom.

Tydzień upłynął od dnia wstąpienia na tron szacha Jussupa. Codziennie lud widział coraz to inne dowody jego mądrości i sprawiedliwości. Przyszły dla Persji dni szczęścia i pomyślności.

Ale rodzaj ludzki nigdy nie jest zadowolony.

Mieszkańcy Kazwina nie widzieli teraz, żeby dzień w dzień wieszano ludzi na stokach fortecy i szubienicach w śródmieściu, ani jak kat wydłubywał ludziom oczy. To ich niepokoiło. Z początku mówili:

— Zdaje się, że nasz nowy król jest bardzo dobrym i łagodnym człowiekiem.

¹⁾ Mazenderan — prowincja Persji na południowym wybrzeżu morza Kaspijskiego. Uważana była za siedzibę demona.

Potem zaczęli rozprawiać o jego dobroci i łagodności. Zdecydowali, że wypływa ona z głupoty i słabości charakteru. Poza tem odnależli w Szachu tysiące innych wad. Słowem, życie pod panowaniem dobrego i łagodnego króla wydało im się ciężkiem, nieznośnem.

Wydaleni z posad urzędnicy skorzystali z tego nastroju ludu. Przyszło im na myśl, że powstanie miałoby swoje dobre strony — i po tygodniu wybuchły w Kazwinie rozruchy.

Pierwszym spiskowcem był dymisjonowany główny koniusz.

Spotkał na ulicy byłego skarbnika, podszedł do niego i zaczął rozpytywać.

— Czy to ty, murzo Chalibie? O, jakżeś się zmienił...

A co mówisz o naszym nowym szachu?

Murza Chalib odpowiedział:

— Lud odwrócił się już od naszego szacha. Pocichu nazywa go durniem i łotrem.

— Murzo Chalibie, lud jest

mańdrzejszy od nas — jak Boga kocham! Lud ma rację. Postapiliśmy jak osły. Posadziliśmy siodlarza na tron, a on nas pozbawił stanowisk.

Skarbnik zawołał:

— Posadziliśmy go na tron, bo tak nakazał szach Abbas

Nie było rady.

— To prawda. Wtedy jeszcze panował nad nami szach Abbas i winniśmy byli ulegać jego rozkazom. Ale teraz nie ma już szacha Abbasa. Nic nam nie przeszkadza zrzucić z tronu tego bluźniercę, który, jak mówią ludzie, wierzy w wędrówkę dusz. Za-

bijemy go i posadzimy na tron królewicza z domu Safitydów.

Skarbnik skinął głową.

— Pięknie mówisz i zgadzam się z tobą. Ale czego my we dwóch możemy dokonać? Chodźmy do naczelnika artylerji, zapytamy go, co o tem myśli. Przecież i on dostał dymisję.

Poszli do domu naczelnika artylerji.

Ten wysłuchał ich uważnie i rzekł:

— Ale się nie uda bez zgody naczelnika kawalerji Bakyr-chana. Wielki to mój przyjaciel Baryk-chan. Pozwólcie mi przeciągnąć go na naszą stronę.

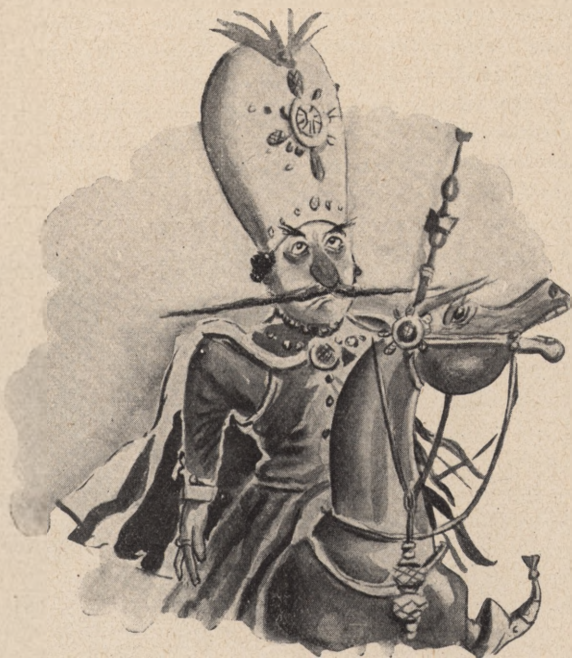
Jeżeli zgodzi się Bakyr-chan, to zgodzi się i Farada-chan, naczelnik piechoty. Farada-chan jest jego bratem stryjecznym i szwagrem i słucha go we wszystkim. A wy opuście już mój dom i prosto odemnie idźcie do byłego Kazwińskiego - generał-gubernatora. Przeciągnijcie go na naszą stronę, a on niech po-

mówi z byłym naczelnikiem miasta i z naczelnikiem dzielnic. Niech się dowie co o tem myślą.

Spiskowcy rozeszli się.

Sprawa była szybko załatwiona i zdecydowana. Spiskowcy postanowili w środę rano otoczyć i zająć pałac szacha, zrzucić z tronu szacha Jussupa i zabić go. A potem wybrać nowego szacha z domu Safitydów.

W oznaczonym dniu rano, jeszcze zanim otwarte zostały bramy pałacu piesi i konni w pełnem uzbrojeniu otoczyli pałac szacha. Szach Jussup rozkazał wobec tego bram nie otwierać, bowiem tego rodzaju wystąpien-



Siodlarza Jussupa posadzili na konia

spodziewał się od pierwszej chwili wstąpienia na tron.

Zwolennicy szacha Jussupa natychmiast dowiedzieli się o wszystkim i zaczęli tłumnie, z bronią w rękę, gromadzić się w pobliżu pałacu. Z początku próbował układow z buntownikami, ale bezskutecznie. Wobec czego rozpoczęła się strzelanina. Potem obie strony przeszły do walki na szable i kindżały. Krew płynęła jak woda. Z obu stron razem padło około sześciu tysięcy ludzi. W końcu zwolennicy szacha Jussupa zaczęli słabnąć, gdyż lud, który wyszedł z miasta i z dużą ciekawością przyglądał się walce, przyłączył się w końcu do buntowników, ci bowiem stali bliżej. Wobec takiej przewagi zwolennicy szacha Jussupa zostali zwyciężeni i każdy z nich myślał już tylko o zbawieniu duszy przez ocalenie ciała.

Buntownicy wyłamywali bramy pałacu i wpadli do wnętrza i zaczęli szukać szacha Jussupa. Nie znaleźli go. Szach Jussup padł. Jedni mówią, że był wśród swoich w walce i zagrzewał ich swoją obecnością, i w walce został zabity. Inni, że niepostrzeżenie wyszedł z tłumu i zbiegł. Słowem — ani wśród poległych nie znaleziono jego trupa, ani też później nigdzie go nie widziano.

Buntownicy rozgromili pałac szacha a stamtąd poszli na rynek i obrabowali wszystkie sklepy i karawan-seraje. Potem przeszli do dzielnicy żydowskiej i ormiańskiej. Tutaj wszystkich do cna rozgromili, wiele zaś osób zabili.

Po zachodzie słońca każdy wrócił do domu na wypoczynek.

Bunt ucichł.

Następnego dnia przywódcy spisku udali się do fortecy i uwolnili głównodowodzącego Zeman-chana, wezyra murzę Muchsina, Dżemal-ed-Dina i głównego astrologa.

Opowiedzieli o przebiegu wydarzeń wczorajszych i zapytali:

— Którego królewicza z domu Safitydów uważacie za godnego korony i tronu?

Mawlana Dżemal-ed-Din rzekł:

— Boże zachowaj! Jaki dziś dzień?

Główny koniuszy odparł:

— Szesnasty dzień po nowym roku.

Mawlana uradował się i rzekł:

— Nie płaczcie! Bunt był wczoraj, a więc nieszczęście już się stało. Z królewiczów Safitydów żaden nie nadaje się do panowania. Wszyscy są głupi i ślepi. Jednych oślepił szach Izmael II, innych sam szach Abbas. Wszyscy oni są do niczego. Królem naszym znów będzie szach Abbas.

Główny koniuszy rzekł:

— Byliśmy z jego panowania zadowoleni, działo się nam pod nim wysmienicie. Zupelnie zbytecznie abdykował i uciekał. Nie wiemy nawet, gdzie przebywa:

Mawlana powiedział wesoło:

— Końskie lby nie wiedzą, ale my wiemy i sprowadzimy go.

Zaczem wszyscy wstali, poszli do domu, w którym ukrywał się szach Abbas i przywiedli go do pałacu królewskiego.



Eunuch Chodza-Mubarek



...krew płynęła, jak woda

Szach Abbas znów wstąpił na tron i życie lat. Poddanymi swoimi rządził, jak ojciec. w Persji poszło dawnym trybem — jakgdyby Starszego swego syna kazał zabić, dwu nigdy nie było wypadku z Jussupem. młodszym synom kazał wykluć oczy. Z tej przyczyny tron po nim objął dopiero wnuk.

Szach Abbas panował jeszcze czterdzieści

Spolszczył *M. Wer-cz.*

SPROSTOWANIE: W Nr. 14 „Naokoło Świata”, przed treścią artykułu p. t. „Ponowne ukazanie się widma w operze” pominęte zostało nazwisko autora, którym jest p. Jan Kazimierz Strzelecki z New-Yorku.



Model Jean Patou
„Les petits Bateaux”

Świat kobiecy

(Korespondencja własna „Naokoło Świata”)

Napisała

Parisetta

„Ruch feministyczny zabił wdzięk kobiecy”. twierdzą zazwyczaj zatwardziali wrogowie naszych dążeń ku równouprawnieniu. Z pogardliwym uśmiechem wskazują na nasze płaszczki męskiego kroju, męskie filcowe kapelusiki, męskie trzewiki, rękawiczki i crêpe de Chine'owe sukienki, przypominające męską koszulę... A ponieważ to wszystko jest nadzwyczaj wysubtelnione i noszone przez wiotkie osobki, które wdzięcznie uwydatniają charakter każdego stroju, powstaje zaniepokojenie z powodu „nielojalnej” konkurencji...

Pewna moja znajoma postanowiła naocześnie przekonać poważnego senatora, zaciętego przeciwnika dopuszczenia Francuzek do urn wyborczych, że kobieta zawsze jest i zostanie sobą. Zaprowadziła go więc na pierwszy ogień, do wielkich sklepów, gdzie struszek doznał niemal zawrotu głowy. Miał wrażenie, że się znajduje w jakimś olbrzymim ulu.

„Co to jest? Co za bójka?” — zapytał przerażony. — „Ce n'est qu'une bataille de rubans” — odparła z uśmiechem moja znajoma. Rzeczywiście wrywano sobie zawzięcie wstążki lila i *en bleu pervenche*, przeznaczone do odrobienia letnich sukienek. To samo działo się przy kwiatach, przy koronkach i muślinach drukowanych, w których tak miło będzie znosić nadchodzące upały.

— „Czy to wszystko nie zaprzecza waszej teorii o zgubnych dla kobiecości wpływach ruchu feministycznego?”

— „Zaprzecza, zaprzecza, tylko chodźmy stąd jak najprędzej!” — odrzekł biedaczek. Zlitowano się nad nim i wyprowadzono na świeże powietrze. Lecz czekało go wiele jeszcze innych niespodzianek.

„Chez Patou” — rzucano szoferowi.

I po odpowiednim manewrowaniu pomiedzy falami samochodów, tramwajów, autobusów etc..., samochód zajechał pod wspólny pałacyk na Rue Saint Florentin, do którego rezolutnie wszedł senator. W samym



Photo Henri Manuel

Kapelusz firmy Madelein Hay



Londyn. Na „Garden Party” w Grosvenor House lady Sybil
Dwison i miss Bowsfield

już hall'u unosiła się woń subtelnych perfum, wskazująca, że już dużo tędy przeszło elegantek... Na drugim zaś piętrze, po pięciu salonach przepelnionych wykwintną publicznością, w której przeważał... (tak, proszę Panów) męski element, przesuwały się kolejno milu'kie modelki, prezentujące wszelkiego rodzaju stroje, począwszy od pyjamy, której bluzka w tym roku, idąc widocz-



Model Jean Patou
„Eleganta”

nie za modą surducików, sięga poniżej kolan i przypomina strój chiński, a skończywszy na stroju do konnej jazdy, który wzoruje się zlekka na mundurze kawalerji angielskiej.

Lecz pomiędzy temi dwoma okazami z garderoby męskiej, (zauważył to z triumfem senator) przesunęło się kilkadziesiąt sukien, płaszczów i *ensembles*, nie mających nic wspólnego z marynarkami, żakietami i frakami panów.

Naogół, można scharakteryzować kolekcję Patou w następujący sposób: widoczna tendencja zaznaczenia linii stanu na miejscu właściwem; olbrzymi wpływ sportu na kostjumy i skromniejsze popołudniowe sukienki; posługiwanie się karbowanemi tkaninami, które prowadzą do ustalenia szerszych spódnic i które przeważają w sukniach, godety zaś i fałdy przeznaczono dla ozdoby płaszczyków. Jako odrobienie letnich sukienek — mnóstwo żabotów koronkowych, *crêpe de chine*'owych i muslinowych; stosowanie sukienki do podszew-

ki każdego niemal płaszczyka i naodwrot. Kilka „ensembles” (płaszcz i sukienka) z *beige*'owej koronki, przeznaczonych na tor wyścigowy lub na bardzo wykwintne zebrańia. Wszystkie sukienki t.zw. „chemisier”, jak również kostjumy, „*robes tailleur*” lub płaszczyki uzupełnia, wyłaniająca się z kieszonki, dewizka, często w postaci ze „arczka na czarnej wstążeczce z mory, wysadzanego brylancikami. W ten sam sposób nosi się również małe lusterko, z kształtu podobne do medaljonika. Dużo drukowanych muslinów, wzorowanych czasem na jaskrawych kwiatach naszych krakowskich chustek lub na tkaninach szkockich: jedwabny szkocki fularek w wielu wypadkach zastąpił batikowany szalik; co do kolorów, powodzenie *bleu pervenche* (barwinkowego) coraz więcej wzrasta, zarówno jak

i *beige rosé*, natomiast lila i fioletowy już nas trochę zmęczyły.

Przed wyjściem z tej światyni mody, elegancka nasza feministka zanotowała sobie trzy modele, których nie omieszkła zamówić:

Nr. 1 „Boccace” — Biała pikowa sukienka odrobiona czarnymi i zielonymi naszytymi. Dostosowany do niej płaszcz jest czarny, podszyty na białą.

Nr. 2. „Les Bâteaux” — Sukienka z białej jedwabnej alpagi o szafirowych deseniach i plisowanej spódnicy. Żabot z plisowanego „linon”.

Nr. 3. „Elégante” — płaszcz z *beige’owego crêpe romain*, rozszerzający się u dołu za pomocą godenów i ozdobiony kołnierzykiem z rysiego futerka, które Patou nazywa „la fourrure d’été par excellence”.

Ponieważ wydało się mej znajomej, że przeciwnik jej nie jest jeszcze dosyć przekonany, zaprowadziła go do dwóch pierwszorzędných domów mód: do Jane Blanchot i do Lewis’a. U pierwszej widać jeszcze dużo jasnego filcu, który tak miło będzie towarzyszył trykotowym i muślinowym sukienkom w Deauville i w Chamonix. Kapelusiki, które reprodukuje, mogą dać mniej więcej pojęcie o *genre* Jane Blanchot. Pierwszy u góry jest z *beige’owego* filcu, odrobionego również *beige’owem* piórkiem t. zw. „*tigré*”, czyli pomalowaniem w brązowe centki. Zlekką obszerniejsze rondo jest podniesione z lewego boku. Drugi kapelusik (po tej samej stronie u dołu) jest z filcu „*b’eu de Roy*”. Z przodu wycięty motyw, naśladowujący liść klonu, uwydatnia podłączoną plisowaną *crêpe de chine’ę* w błękitne, lila, czerwone, żółte, zielone i pomarańczowe krataczki. Szalik, również plisowany u dołu, jest z tejże *crêpe de Chine’y*.



London season. Stroje na wyścigach w Ascot

— „Czy to wszystko nie jest czarujące, panie senatorze?

— No tak, bo może feminizm jeszcze tu nie dotarł.

— Chodźmy więc do Lewis’a.

— Lewis — rendez-vous wszystkich niemal aktorek Zatręsienie kapeluszy. Dużo pasterek w żywych kolorach, jak naprz. pierwszy kapelus z fioletowej Georgette’y i jedwab.



Model Jean Patou „Boccace”

nego włosia; lecz i sporo filcowych foremek.

Uroczą Angieleczką, miss Irène W. przymierza właśnie *beige'owy* toczek (drugi z prawej strony) z filcu, ozdobiony z przodu brylantową klamerką. Zamówiła sobie parę kapeluszy po kilkaset franków, za które płaci

bez najmniejszego oporu towarzyszący jej niemłody jegomość....

— Oto jest najniebezpieczniejszy wpływ feminizmu, zażartował senator.

— Tak, lecz bynajmniej nie przynosi ujemny kobiecemu wdziękowi, odparła niemiłosierna jego towarzyska, przeciwnie.....

Parisette.

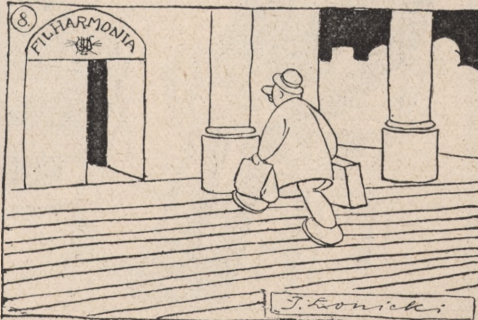
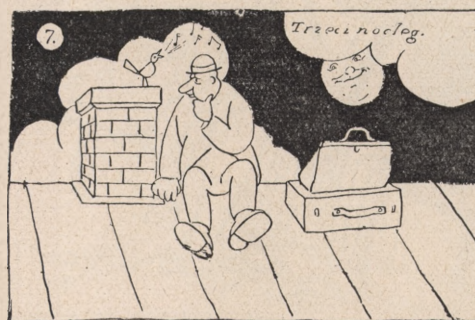
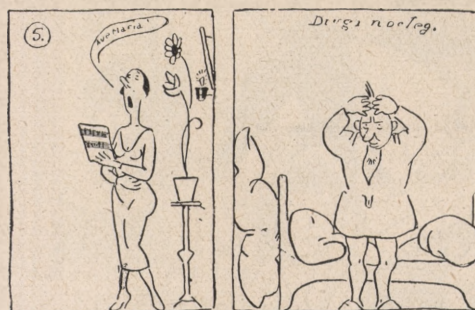
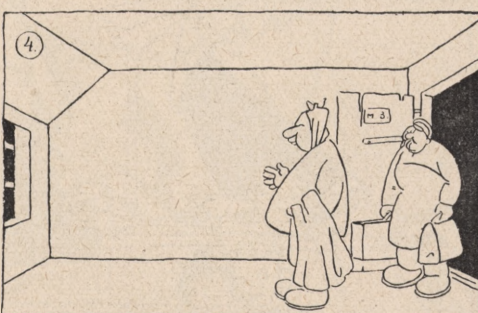
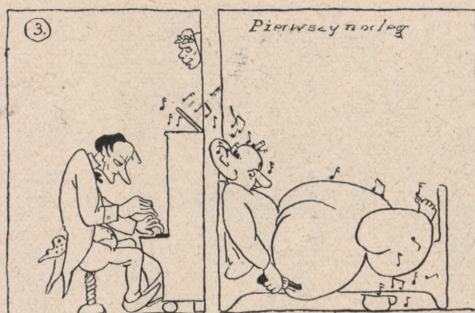
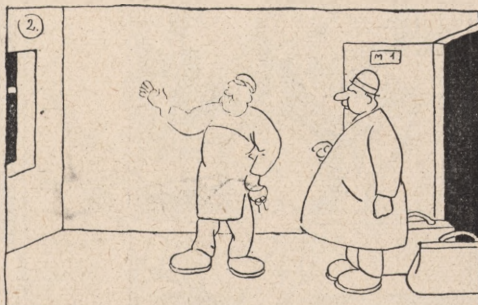


Letni kostjum z białej uwełny z kolorowym haftem

Z teki humorysty

Muzykalna stolica -- czyli jak pewien obywatel szukał
spokojnego noclegu i gdzie go znalazł

Rys. L. Łonicki



Z teki

Co kto myśli na koncercie



humorysty

pewnego muzyka w Warszawie

rys. Świdwiński





I TURNIEJ ZADANIOWY

Od numeru niniejszego do grudniowego na łamach tego działu ukaże się 20 zadań rozmaitego typu. Każdemu z uczestników za rozwiązanie zadania turniejowego zalicza się pewna ilość punktów, które będą zsumowane. Nagrody turniejowe otrzymają osoby, które zdobędą największą ilość punktów. Udziała je wydawnictwo „Naokoło Świata” proporcjonalnie do liczby rozwiązujących (przeciętnie 1 nagroda na 25 osób). Prócz tego, za rozwiązanie wszystkich zadań z bieżącego numeru przewiduje wydawnictwo specjalne nagrody miesięczne w drodze losowania.

Rozwiązujący winien podać swoje nazwisko i imię, oraz dokładne miejsce zamieszkania. Rozwiązania pseudonimowe w zasadzie są dopuszczalne, jednak z warunkiem podania nazwiska do wiadomości redakcji działu. Rozwiązania zbiorowe nie uwzględniamy.

Nadsyłać rozwiązania należy w kopertach zaklejonych pod adresem: Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12, — „Rozrywki umysłowe” — dołączając do rozwiązań bieżący kupon, który umieszczany jest w każdym zeszytyście na oddzielnej karcie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa co 15-go każdego następnego miesiąca po wyjściu zeszytu.

Nagrody turniejowe: gratisowe prenumery ty „Tygodnika Ilustrowanego” z dodatkami i „Naokoło Świata” na rok, na pół roku

i kwartał, oraz najwybitniejsze dzieła współczesnych pisarzy w wydaniu firmy „Gebethner i Wolff” z własnoręcznymi dedykacjami autorów.

Nagrody miesięczne: nowości beletrystyczne ostatniej doby.

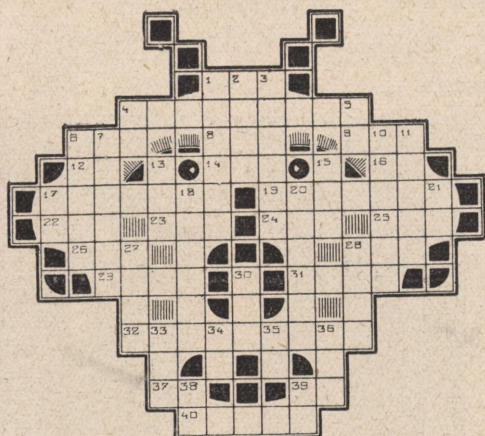
Pozatem w poddziale: „Rozrywek umysłowych” p. t. „Galerja laureatów naszego działu” umieszczone zostaną podobizny nagrodzonych.

1. KRZYŻÓWKA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Wyrazy w krzyżówce czytają się w dwóch kierunkach — poziomym (od lewej strony ku prawej) i pionowym (z góry do dołu), przyczem każdy wyraz zawarty jest między czarnymi lub zakreślanymi kwadratami, względnie między jedną z linii bocznych krzyżówki, a czarnym, czy też zakreślanym kwadratem.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Gwiazdozbiór zwierzyńcowy. 4. Uznana powaga. 6. Ogród rozkoszy. 8. Zwierzę ssące drapieżne. 9. Zaimkę osobowy. 12. Przyimek. 14. Tuzy. 16. Miara powierzchni. 17. Postrzęganie. 19. Spazmowe drganie przełyku. 22. Owady błonkoskrzydłe. 23. Odłam lodu. 24. Istota złego. 25. Zarośle drzew. 26. Gatunek muchy. 28. Roślina kwiatowa dwuliścienna. 29. Oleisty tłuszcz. 31. Rozbijać, bić. 32.



Więzień kryminalny. 37. Nuta. 39. Miara handlowa wina. 40. Ryba członkopromienna.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Wydzierżawienie. 2. Bożek miłości. 3. Wymierzanie. 4. Wykrzyknik bólu. 5. Zaimbek. 6. Roślina. 7. Czas przeszły chwilowy. 10. Naciągnąć. 11. Sznur z pętlą. 13. Środek lecarski. 15. Narząd wzroku. 17. Rzeka we Włoszech. 18. Przenośnie — ciągi. 20. Rodzaj zwierzokrzewu. 21. Starożytna jednostka wagi. 27. Jednostka pracy. 28. Przewiew. 30. Cios, cięcie. 33. Pociągnięcie piórem. 34. Moneta farnowska. 35. Na tem miejsu! 36. Liczba mnoża zaimka osobowego. 38. Muł naniesiony przez wodę. 39. Linja obrotu ziemi. Ułożył Jot-Kot

2. SZARADA LITEROWA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Pierwsza pierwszą zawsze jest,
lub spółnikiem czasem bywa.
Druga pierwszą w takim słowie
co pieniądzem się nazywa.
Trzecia z czwartą (tylko małe),
gdy spojrzymy z góry na nie:
trzecia czwartą będzie wtedy,
czwarta trzecią zaś zostanie.
Piątą w piątym miejscu kładą
co inaczej zwą szaradą.
Szósta, siódma, ósma w rzędzie
wypoczynku nazwą będzie.
A od pierwszej do ostatka
cała mieści się zagadka.

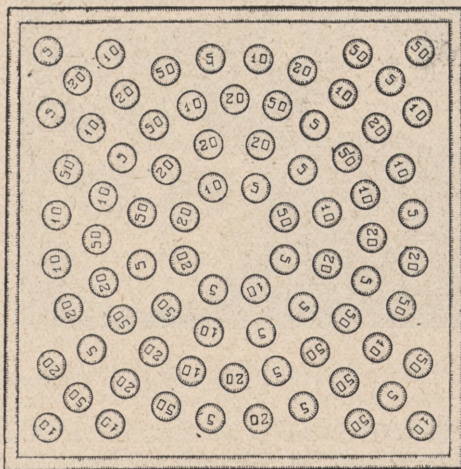
Cała szarada polega na wyszukaniu ośmiu liter, które w podanym porządku utworzą nazwisko odważnego człowieka.

Fr. Morawski.

3. ZADANIE Z MONETAMI.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Na kwadratowym stoliku rozłożono 80 monet: 20 pięćdziesięciogroszówek, 20 dwudziestogroszówek, 20 dziesięciogroszówek i 20 pięciogroszówek.



Należy, nie przesuwając monet, rozdzielić powierzchnię stołu na cztery równe części w ten sposób, by suma pieniędzy w każdej była jednakowa.

Jagri.

4. ZADANIE MATEMATYCZNE.

(Za rozwiązanie 4 punkty).

Z istniejących dziesięciu cyfr (0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 i 9) utworzyć pięć par w ten sposób, by, po uprzednim połączeniu takowych poszczególnymi znakami działaniami matematycznymi ($-$, $\times$, $:$, $\sqrt{\quad}$, m^n) suma w ten sposób otrzymanych pięciu liczb wyniosła:

- | | |
|-------|--------|
| a) 25 | c) 100 |
| b) 50 | d) 200 |

Uwaga: za rozwiązanie każdego z czterech przypadków rozwiązujący otrzymuje po 1 punkcie, wszystkich — 4.

Jan Goliński.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania Krzyżówki oraz Zadania z monetami zostaną umieszczone na łamach naszego działu.

5. REBUS.

(Za rozwiązanie 5 punktów).



Ułożył i wykonał Awdančzyk z Podlasia.

GALERJA

LAUREATÓW NASZEGO DZIAŁU.



P. Roman Kosela
z Sandomierza —
zdobywca 1-ej na-
grody w I Konkur-
sie



P. Stan. Jaroszewska
z Warszawy — na-
grodzona za rozwią-
zanie wszystkich za-
dań w I Konkursie

SPROSTOWANIE: W numerze 14 „Naokoło Świata” w Zadaniu numizmatycznym zamiast jednej sylaby *ro* winno być *uo*; z u-

wagi na niniejsze sprostowanie — *termin nad-
syłanie rozwiązań z Nr. 14 PRZEDŁUŻA
SIĘ O JEDEN MIESIĄC.*

ROZWIĄZANIE ZADAŃ KONKURSU II

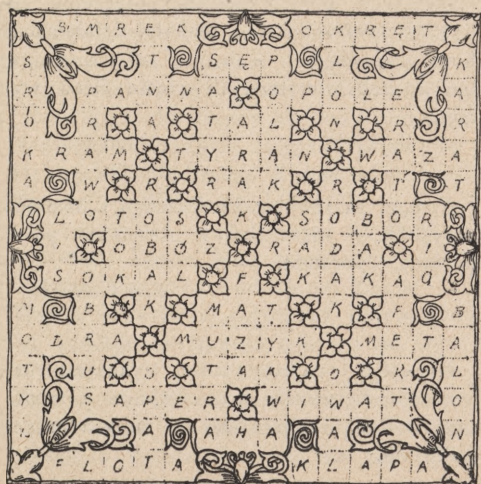
„Naokoło świata” Nr. 12.

6. WIELKANOCNY FIGIELEK
REBUSOWY.

Z-uch-baba. Zuch baba.

„Naokoło Świata” Nr. 13.

7. KRZYŻÓWKA.



Rozwiązanie wykonał porucznik Stefan
Wątróbski z Brześcia nad Bugiem.

8. ZAGADKA.

Fu-ra. Fu-ja-ra.

9. UKŁADANKA.

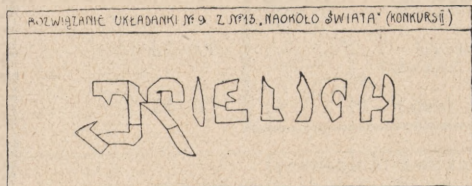


10. REBUS-SATYRA.

Książę Radziwiłł Panie Kochanku płatał
różne figle i kawały.

Spis uczestników 2-go konkursu oraz na-
grodzonych zostanie umieszczony w numerze
następnym.

Jak było do przewidzenia, największą sprzeczność w rozwiązaniach wywołała *Układanka*, pomimo, że przy uważnem rozglądaniu części można odrazu dojrzeć kształty liter. Wielka ilość rozwiązań stanowi istny materiał do działu humorystycznego, który ze względów technicznych nie możemy podać do wiadomości czytelników. Natomiast należy się miejsce oryginalnemu rozwiązaniu por. *Stefana Wątróbskiego* z Brześcia n. Bugiem,



który zresztą nadzwyczaj pięknie wykonał rozwiązanie *Krzyżówki* (patrz wyżej), za co znajdzie się pomiędzy dodatkowo nagrodzonymi.

Wielkanocny figielek rebusowy został procentowo najtrafniej rozwiązany, chociaż nie brakło nierzeczowych dwuwierszów i dowcipnych określeń w rodzaju *baba ma wiele uszu*.

W *Krzyżówce* uwzględniliśmy zmiany w rodzaju *sroka-kawka*, *motyl-komar*, *smrek-abies-krzew*, *flota-kurta* i t. d., które na dal-sze rozwiązanie wpływu nie miały.

Zagadka znalazła kilku zwolenników *lokomotywy (!)*.

Bardzo łatwy *Rebus-satyra*—jak się domy-slił p. Zygmunt T. z Warszawy — miał cel nieco uboczny — godził w rodzaj nieudol-nych rebusów, zamieszczanych notorycznie w pewnych pismach stołecznych i prowincjonalnych. Rebus ów jest wskazówką dla

naszych czytelników i autorów — jak rebusów układać *nie należy*.

ODPOWIEDZI.

Aka — *Łódź*. Dziwnym zbiegiem okoliczności krakowskie „*Nowości Ilustrowane*” zamieściły w Nr. 23 z b. r. krzyżówkę o identycznym wzorze z nadesłaną przez Sz. P. Nie chcąc być posądzonym o plagiat, rezygnujemy z krzyżówki, pomimo, że najidealniej odpowiada najsurowszym wymaganiom.

Ks. Arlitewicz J. — *Smardzewice, Korab-ski A.* — *Kraków, Korneljon* — *Dąbie, Psarska Z.* — *Borysław, Sełkowicz W.* — *Lwów, Siedzieniewski H.* — *Warszawa*. Skorzystamy przy okazji.

Fizkantówna J. — *Warszawa*. Mój Boże! Gdyby dyskwalifikacja wyglądała w ten sposób, moglibyśmy pomiędzy *drze* i *doi* postawić znak równania i najmocniej Panią prze-prosić.

Kalinowski K. — *Kielce*. Układanie krzyżówek w jednakowych deseniach nie zalecamy. Rebusów Sz. P. nie zamieściliśmy ze względów złego technicznego wykonania. *Teitelbaum W.* — *Warszawa*. Częściowo wykorzystamy.

N. K. i S. M., Nowiczy K. i W.—*Warszawa*. Krzyżówka P. nie odpowiada zasadniczym warunkom — słowo całkowicie powinno się rozciągać między czarnymi kratkami, względnie linjami bocznymi; pozatem — należy wystrzegać się wprowadzania słów obcych.

Przybyła O. — *Włodzimierz*. Za pomysły krzyżówki oraz oryginalną konikówkę, które w najbliższym czasie pójda, — dziękujemy!

Sawicki T. — *Warszawa*. Racja po stronie Pana.

J. K.

DZIAŁ GRAFOLOGICZNY

Znany grafolog p. Z. P. obejmuje w piśmie naszym dział grafologiczny. Czytelnicy, życzącą mieć ocenę swego pisma, zechcą do niego napisać list: papier *nielinjowany*, najmniej 3 strony, pismo ma być zwykle, swo-

bodne, codzienne; można w różnym usposobieniu, nie przepisywać! na kopercie, dodać wyraźnie *Dla grafologa* i tytułem honorarium dla niego, dołączyć w liście 2 Złote.

T r e ś ć N u m e r u 15-g o

	<i>Str.</i>
<i>Paweł Nikodem:</i>	
Pół wieku osadnictwa polskiego w Brazylii (12 ilustr.)	5—32
<i>J. O.:</i>	
Fatalna 13-ka (5 ilustracyj J. Mucharskiego) . . .	33—44
<i>J. Czarnecki:</i>	
Jaskinie morawskie (7 ilustracyj)	45—54
<i>Stanisław Burzyński:</i>	
Arterie miast i ich tętno (17 ilustracyj)	55—72
<i>Inż. T. Niedzielski:</i>	
Mieszkańcy Marsa (7 ilustracyj W. Josta)	73—82
<i>Zdzisław Kleszczyński:</i>	
Europejska przygoda miss Mary Pickford (8 ilustracyj B. Nowakowskiego).	83—90
<i>Edward Kuryło:</i>	
Kapłanki Terpsychory (12 ilustracyj i jeden karton , <i>Poul Super:</i>	91—116
Y. M. C. A. na trzech kontynentach (6 ilustracyj) . .	117—128
<i>Kazimierz Szymański:</i>	
Dzieje papieru (10 ilustracyj)	129—142
<i>B. Szarlitt:</i>	
Republika wróbli (5 ilustracyj)	143—148
<i>J. G.:</i>	
Telegraf starożytnych (3 ilustracje Walczaka) . . .	149—154
<i>Sz.:</i>	
Nowoczesny nurek (4 ilustracje)	155—160
<i>Edward Mycielski-Trojanowski:</i>	
Czarownik z Seregeti Plain (5 ilustracyj K. Sopoćki)	161—172
<i>Janina Stefańska:</i>	
W krainie gorejących Canyon'ów (7 ilustracyj i jeden karton)	173—196
<i>Stawoj Składkowski:</i>	
Samoloty sanitarne w Maroku (5 ilustracyj)	197—206
<i>Fer-Ali-Achmudow:</i>	
Oszukane gwiazdy (7 ilustracyj K. Grusa)	207—228
<i>Parisetta:</i>	
Świat kobiety (7 ilustracyj)	229—236
Z teki humorysty rys. L. Łonicki i Świdwiński. . .	237—242
Rozrywki umysłowe	243—250
Dział grafologiczny	249—250
Na kolorowych wklejkach przed tekstem: Czwarty Konkurs dla czytelników Naokoło Świata i kupony zniżkowe do teatrów.	

Okładkę trójbarwną wykonał W. G.

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, potłuskującą, skłoną do wągrów i pryszczy oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych
używać należy N^o 2.

TOW. AKC.

„Jr. Karpiński”

W WARSZAWIE

JEDYNE W SWOIM RODZAJU

PIECYKI KAFLOWE PRZENOŚNE

systemu patentowanego 5-o kanałowego „HEKLA” grzeją dłużej i silniej, niż piece pokojowe, są od nich tańsze, estetyczniejsze, oszczędzają 75% opału

POLSKIE ZAKŁADY CERAMICZNE

„HEKLA” H. GALLASI S-ka

Nowy-Swiat Nr. 62 (w podwórzu), tel. 36 32

UWAGA. Dostawa kafli kwadratowych, berlińskich i majolikowych, posadzki terrakotowej i płytek glazuranych ściennych w ilościach wagonowych

Wszelkie roboty i instalacje zdruśkie

CZEKOLADA

WEDLA

NAJLEPSZE
SUROWCE
i STARANNY PRZERÓB
OTO TAJEMNICA DOBROCI
CZEKOLADY
WEDLA

SMACZNA

POŻYWNA

UKAZAŁ SIĘ Nr. 4 — 5

(Kwiecień — Maj)

Miesięcznika Ilustrowanego

„MUZYKA”

redagowanego przez

MATEUSZA GLIŃSKIEGO

Obszerny ten zeszyt, wydany w pięknej szacie i ozdobiony licznymi ilustracjami, zawiera następujące artykuły: C. JELLENTY („Idee muzyczne Norwida“), E. GANCHE'A („Nieznany prelud Chopina“), M. GLIŃSKIEGO („Aleksander Skrjabin“), A. SKRJABINA („Myśli i Aforyzmy“), B. HUBERMANA („O grze skrzypcowej“), V. d'INDY'ego („Rozważania o muzyce modernistycznej“), Z. JACHIMECKIEGO („Pokłosie muzyczne z podróży po Italji“), FL. SCHMITT'a (ś. p. André Caplet“), A. TANSMANA („O mej twórczości muzycznej“). W bogatym dziale bieżącym szereg sprawozdań (m. i. sprawozdanie z festiwalu muzyki nowoczesnej w Pradze), impresje muzyczne, przegląd prasy i nowych wydawnictw, kronika i t. d. W dodatku utowym pieśń LUCJANA KAMIŃSKIEGO „Kolem, oj kole“ oraz nieznany utwór Chopina („Prelud as-dur“).

*Numer zawiera 100 str., 25 ilustracji
i kosztuje zł. 2.50.*

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Kapucyńska 13.



„MIMOZA-MOTOR”

WYTWORNE MYDŁO
TOALETOWE

Sześć tygodni we Francji

STUDJA I WYCIECZKI

Po raz pierwszy zorganizowano w paryskim uniwersytecie, podczas wakacyj letnich, kurs wszelkich studiów francuskich. Rozróżnia się dwa periody: pierwszy, od 11/VIII — 9/VIII, obejmujący studia przygotowawcze oraz jednogodzinne lekcje fonetyki, udzielane przez dyrektora Instytutu Fonetycznego w paryskim uniwersytecie — dwugodzinne odczyty praktyczne (lek-tura, gramatyka, konwersacja) urządzone przez poszczególne oddziały studujących. Popołudniu odbywają się konferencje na temat historii Francji, oraz rezultatów wizytacji Paryża.

Drugi, od 9/VIII — 23/VIII — obejmuje kurs wyższy pod kierownictwem najzdolniej-szych profesorów uniwersytetu i oddziału prawniczego. W 36 konferencjach (rano) omawia się kwestje rozwoju literatury, polityki, sztuki oraz stosunków ekonomicznych — po wojnie świato-wej. — Popołudniu znów zwiedza się dzisiejszy Paryż.

Podczas tych sześciu tygodni w Paryżu, organizuje się w każdą sobotę i niedzielę wy-cieczki celem zwiedzenia starych zabytków sztuki, co jest miłą rozrywką podczas mozolnych dni pracy.

Wreszcie podróż w małych grupach, pod kierownictwem profesorów, która prowadzi studujących podług ich wyboru do trzech części Francji: połudn., wschodn. i zachodn., stano-wi nader zachęcające zakończenie. Organizacja tej podróży może być objęta przez członków kursu uniwersyteckiego

Kierownictwo kursu tego spoczywa w ręku HENRI GOY, dyrektora biura informacyj-nego — Bureau de Renseignements Scientifiques — Sorbonne — znanego już organizatora kur-sów cywilizacji francuskiej. Do niego też musi się zwrócić każdy, który pragnie otrzymać do-kładne informacje w tej sprawie.

JEDENASTY ROK ISTNIENIA

JEDYNY W POLSCE DWUTYGODNIK BIBLIOGRAFICZNY

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

POD REDAKCJĄ

prof. HENRYKA MOŚCICKIEGO

Wychodzi punktualnie 1 i 15 każdego miesiąca

Przynosi w każdym numerze:

KOMPLETNĄ BIBLIOGRAFIĘ DRUKÓW Z CAŁEGO TERENU RZECZYPO-
SPOLITEJ POLSKIEJ, OPRACOWANĄ NA PODSTAWIE DANYCH, GROMA-
DZONYCH PRZEZ WYDZIAŁ PRASOWY MINISTERSTWA SPRAW
WEWNĘTRZNYCH

Na treść „Przeglądu Bibliograficznego” składa się poza tem:

Dłuższy artykuł, poświęcony ogólniej-
szym zagadnieniom *bibliografii, literatury,
krytyki literackiej, wybitniejszym wydawnictwom
i książkom i t. p.* — przy zapewnionem
współpracownictwie *najcenniejszych sił na-
ukowych i literackich.*

Dział „Nowości Księgarskich”, zawiera-
jących recenzje *o najważniejszych wydawni-
ctwach bieżących.*

Obraz *całości kształtu produkcji wydawniczej
polskiej w dziale „Ze świata książek”.*

Recenzje *wybitniejszych dzieł literatur:
francuskiej, angielskiej i niemieckiej w dziale
„Z literatur obcych”.*

Treść *najważniejszych czasopism polskich
w „Przeglądzie czasopism”.*

Wyjątki z recenzji *najwybitniejszych kry-
tyków polskich w „Głosach prasy”.*

„Kronika” *najważniejszych zdarzeń
w świecie wydawniczym.*

„Przegląd Bibliograficzny” daje zatem
obraz całego ruchu wydawniczego w Pol-
sce i najciekawszych jego przejawów za-
granicą.

Jest on niezbędnem czasopismem dla
każdego interesującego się najważniejsze-
mi przejawami kultury.

„Przegląd Bibliograficzny” prenumerowa-
ny przez wszystkich księgarzy polskich,
jest najlepszem pismem do ogłoszeń księ-
garskich, antykarskich, pomocy nauko-
wych i szkolnych, materiałów piśmien-
nych i t. p. Do ogłoszeń o książkach po-
szukiwanych i zaofiarowanych.

CENA NUMERU 40 GROSZY

Prenumerata kwartalna: w Warszawie (bez
odnoszenia do domu) zł. 2.—; z przesyłką
pocztową (w Warszawie i na prowincji)
zł. 2.50; zagranicą zł. 3.—

Ceny ogłoszeń: Cała strona zł. 70.—; pół
strony zł. 40.—; $\frac{1}{4}$ strony zł. 23.—; $\frac{1}{8}$ strony
zł. 12.—, $\frac{1}{16}$ strony zł. 7.—. W rubryce
„Książki poszukiwane i zaofiarowane”:
wiersz jednoszpaltowy 50 gr.

*Okladek płóciennych do rocznika
1924 dostarcza administracja pisma
po cenie 2 zł. za egzemplarz. Na
poleconą przesyłkę należy dołączyć
50 groszy.*

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Zgoda 12, telefon 178-14, 104-32.



*Znaczk
do zbiorów
ilustr. cennik 1.50*

NAJWIĘKSZY SKŁAD W POLSCE

*Unia Specjalista
Filatelisty*

Jerzy Krzyżanowski, Łódź, Andrzeja 4

TOWARZYSTWO „OLEUM”

WARSZAWA, MAZOWIECKA 7—LWÓW, BATOREGO 26

POLECA JEDYNE W SWOIM RODZAJU



CAR OIL olej samochodowy
typu amerykańskiego, da-
jący gwarancję racjonalne-
go zużycia motoru.

CZYSTOL olej pyłochron-
ny, chroniący od kurzu.

CARFAT smar samochodowy.

AGROL olej do maszyn
i narzędzi rolniczych.

W BLASZANKACH: 2-u, 5-cio,
10-cio i 20-to LITROWYCH

80 oddziałów prowincjonalnych w większych miastach
Rzeczypospolitej.

S t a c j e b e n z y n o w e

z a d a c z e w s z e d i e

W. CHOJECKI

MARSZAŁKOWSKA 122

DYWANY

KRAJOWE I ZAGRANICZNE
WSZYSTKICH WYMIARÓW

PLEDY, CHUSTKI

SWETRY

FIRANKI

KOŁDRY

MATERJE

MEBLOWE

NARZUTY

NA KOZETKI NAJPIĘKNIEJSZYCH BARW I DESENI

PORTJERY, CHODNIKI

WYKWINTNE

CZEKOŁADKI

CZEKOŁADA

CUKIERKI

KARMEŁKI

MARMELADKI

A. KIERSKI

WARSZAWA

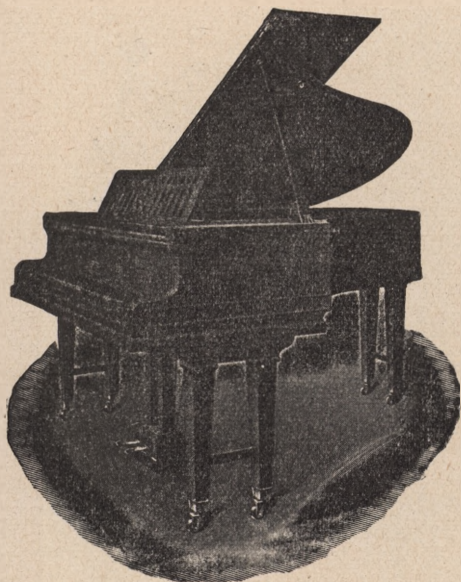


TRIOLAN

MYDŁO PRZETŁUSZCZONE HYGIENICZNE JE-
DYNE RZECZYWIŚCIE UDELIKATNIAJĄCE CERĘ

Tow. Akc. FRYDERYK **PULS** w WARSZAWIE

DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE.



FORTEPIANY
I PIANINA
WIELKOPOLSKIEJ FABRYKI
FORTEPIANÓW I PIANIN
ANTONI DRYGAS

DOZNAŁY

UZNANIA WIRTUOZÓW
ŚWIATOWEJ SŁAWY

SKŁADY FABRYCZNE
W POZNANIU

ODDZIAŁ W WARSZAWIE
ŚWIĘTOKRZYSKA 27

ROK ZAŁOŻENIA FIRMY 1898

FARB

NAJWIĘKSZA W POLSCE ZAŁ. W R. 1880 FABRYKA FARB I LAKIERÓW
W. KARPINSKI & W. LEPPERT.

LAKIER

WARSZAWA - JEROZOLIMSKA № 30.
OFERTY NA ŻĄDANIE.

POKOSTY



Wykwintne Czekoladki

Fuchs
Warszawa



CUKRY
KAKAO
PRALINY
CZEKOLADA

Riese i Piotrowski

SKŁAD FABRYCZNY

WARSZAWA

ELEKTORALNA 23 (pr. podwarszawski)

MYDŁO „KONIK”



dla
delikatnej
białej
cery